

KAROL GJELLERUP

PIELGRZYM KAMANITA

ROMANS STAROHINDUSKI

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY

F. MIRANDOLI



SPIS RZECZY

SPIS RZECZY	2
I. MISTRZ ŚLE POZDROWIENIE MIASTU PIĘCIU WZGÓRZ	4
II. SPOTKANIE.....	7
III. KU WYBRZEŻOM GANGI	9
IV. GRA W PIŁKĘ.....	13
V. MAGICZNY PORTRET.....	16
VI. TERASA BEZTROSKI.....	19
VII. W CZELUŚCI.....	25
VIII. PAK RAJSKIEGO KWIATU.....	28
IX. POD ZNAKIEM ZBÓJNIKÓW.....	31
X. WIEDZA TAJEMNA.....	36
XI. TRĄBA SŁONIA.....	41
XII. U GROBU ŚWIĘTEGO VAJASRAWY.....	45
XIII. ŚWIATOWIEC.....	50
XIV. MAŁŻONEK.....	56
XV. ŁYSY KLECHA.....	60
XVI. W BOJOWEM POGOTOWIU.....	63
XVII. BEZDOMNY PIELGRZYM.....	67
XVIII. W PRZEDSIONKU GARNCARZA.....	72
XIX. MISTRZ.....	76
XX. NIEROZSĄDNE DZIECIĘ.....	79
XXI. SKUTKI POŚPIECHU.....	84
XXII. W RAJU ZACHODNIM.....	90
XXIII. TANY BŁOGOSŁAWIONYCH.....	92
XXIV. DRZEWO KORALOWE.....	95
XXV. PAK ROZKWITA.....	97
XXVI. ŁAŃCUSZEK Z AMULETEM.....	100
XXVII. SĄD BOŻY (SACCAKIRIYA).....	103
XXVIII. NAD BRZEGIEM NIEBIAŃSKIEJ GANGI.....	106

XXIX. ZAPACH KORALOWEGO DRZEWA.....	109
XXX. WSZYSTKO PRZEMIJA.....	112
XXXI. ZJAWISKO NA TERASIE.....	114
XXXII. SATAGIRA.....	119
XXXIII. ANGULIMALA.....	123
XXXIV. JASKINIA OSZCZEPÓW.....	126
XXXV. CZYSTA OFIARA.....	132
XXXVI. BUDDA I KRYSZNA.....	137
XXXVII. WIĘDNĄCY RAJ.....	143
XXXVIII. W PAŃSTWIE STUTYSIĘCZNEGO BRAHMY.....	146
XXXIX. ZMIERZCH ŚWIATÓW.....	149
XL. W GAJU KRYSZNY.....	152
XLI. ŁATWA SENTENCJA.....	157
XLII. CHORA MNISZKA.....	162
XLIII. NIRWANA MISTRZA.....	166
XLIV. TESTAMENT VASITTHI.....	173
XLV. NOC I ŚWIT WSZECHŚWIATA.....	177

I.

MISTRZ ŚLE POZDROWIENIE MIASTU PIĘCIU WZGÓRZ.

Onego czasu wędrował Budda po kraju Magadha i przybył w okolice miasta Rajagaha. Dzień chylił już się ku końcowi, gdy mistrz dostojny stanął pod miastem pięciu wzgórz. Łagodne promienie słońca słały się po zielonej roztoczy równi, polach ryżowych i łąkach, podobne błogosławiącej dłoni bóstwa. Dołem wlokły się małe chmurki, utkane, zda się, ze złocistego pyłu. To ludzie i woły wracali z roboty w polu. Cienie drzew dłużyły się po ziemi i leżały na niej, obramione niby tęczową jakąś glorią kolorów. Z gęstwy rozkwieconych ogrodów i parków strzelały w górę naczółki bram, terasy, kopuły i wieżycy miasta, cudnie, niezrównanie barwne, jakby zrobione były z topazów, ametystów czy opali. Poza miastem sterczały skaliste wzgórza.

Mistrz zatrzymał się wzruszony przepięknym widokiem. Radośnie witał znane kształty, tyle mu wspomnień niosące. Posłał spojrzenie ku Szarej Skale, Szerokiemu Garbowi, Grani Jasnowidza i Jastrzębiemu Wirchowi, który to piękny szczyt wznosi się niby dach ponad innemi. Potem zapatrzył się na Wibharę, górę, z której biją gorące źródła, mieszczące w swem łonie czeluść z pięknem drzewem sattapani, która była pierwszą w tych stronach schroną dla bezdomnego... pierwszym spoczynkiem wśród ostatniej pielgrzymki poprzez samsarę do nirwany.

Pamiętał czas, kiedy w pełni rozkwitu życia, ciemnowłosy, rozradowany młodością i zaledwo dochodząc wieku męskiego, wbrew życzeniom spłakanych i żalących się rodziców, porzucił książęcy pałac w północnej krainie Sakjów i, kierując swe kroki ku dolinie Gangesu, tutaj zaszedł, na onem spoczął dłużej miejscu, udając się co dnia z miseczką żebraczą po jałmużnę do Rajagahy. W tamtej czeluści właśnie odwiedził go król Bimbisara, władca kraju Magadha, zaklinając bez skutku, by wrócił do rodziców i życia światowego. Tam to król, porwany słowami młodego ascety, nabrał doń takiego zaufania, że niebawem został uczniem zakonu Buddy.

Minęło pół wieku i przez ten czas zmienił nie tylko tok własnego losu, ale także losy świata w inne skierował łożysko. Cóż za różnica pomiędzy dniem dzisiejszym a owym dniem

pierwszym w czeluści, spędzonym pod cieniem sattapani. Był on wówczas człowiekiem, który szuka i walczy o zbawienie. Miał przed sobą straszliwe duszne walki i okrutne, a bezowocne umartwienia i tortury, które, gdy o nich mówić, budzą przerażenie wśród słuchaczy. Długo trwało, zanim, przeszedłszy krąg bolesnych ćwiczeń, zdobył objawienie przez zagłębianie się w duchu własnym i z walk tych wyszedł jako najwyższy, skończony, doskonały Budda ku zbawieniu i szczęściu całego świata.

Poprzedni żywot jego był podobny zmiennemu przedpołudniu dnia w porze deszczów, kiedy to ciągle naprzemian połyska jasne słońce i cień zaściela ziemię, monsun pędzi po niebie i spiętrza chmury, a groźna, piorunowa burza zbliża się, to znów oddala, budząc gromowe echa. Teraz napełniony był pogodą i ukojem wieczoru, takim samym jaki był wokół, wzrastając, zda się, w miarę zbliżania się tarczy słońca do skraju widnokręgu. Słońce życia jego zniżało się także ku zachodowi. Dzieło skończone zostało, pokój świata zabezpieczony, królestwo prawdy ugruntowane, a nauka zbawienia ogłoszona. Trwałości onego dzieła pilnowały rzesze wędrowników doświadczonych i umocnionych w wierze, mnichów i mniszek, oraz uczniów i wyznawców świeckich płci obojga. Mieli oni wszelkie dane, by żyć wedle nauki i szerzyć ją dalej. To też, po rozważaniach w ciągu minionego dnia przyszedł do przekonania, że niebawem już porzuci ziemię, na której dopełnił misji swej, zbawienia siebie i innych, oraz że wejdzie w zasłużoną dobrze nirwanę.

Spoglądając wokół z smętną lubością, rzekł mistrz do siebie:

- Uroczą jest, zaprawdę, Rajagaha, miasto pięciu wzgórz, i piękne okolice jego. Błogosławione żyzne pola, pociągające oczy, okolone drzewami i łyskające strumykami łąki, oraz skalne, pokryte krzewiną wzgórze. Po raz ostatni oto oglądam je z tego miejsca. Raz jeszcze obejrzę się ku tej rozkosznej dolinie od kresu drogi mojej, a potem zniknie mi wszystko z przed oczu na zawsze.

Dwa jeno jeszcze gmachy miasta połyskały w promieniach słońca, wieża pałacu królewskiego, skąd Bimbisara zobaczył go, gdy szedł drogą jako pielgrzym i skromną postacią swą ściągnął na siebie uwagę króla krainy Magadha, oraz zwieńczenie kopuły świątyni Indry, gdzie w ciągu lat długich zabijano na ofiarę bóstwu tysiące niewinnych stworzeń, zanim słowem swym wyzwolił ludzi z krwawego zabobonu.

Po chwili zatoneły w mroku szczyty wież królewskich, a tylko wieńczący świątynię owal kopuły Indry z złotych utworzony parasoli¹, jaśniał dostojnie, jakby unoszące się w powietrzu

¹ Złoty parasol jest symbolem władzy.

znamię królewskiego miasta². Symbol ów czerwienił się coraz to bardziej, szkarłatniał, odcinając się purpurowo na granatowym tle wysmukłych koron drzew. Ów lasek, oddalony jeszcze dosyć, był celem podróży mistrza. Ten gaj mangowy, poza miastem położony, był podarunkiem ucznia i zwolennika, imieniem Jwaka, przybocznego lekarza królewskiego, a obszerny klasztor, stojący pośród drzew, służył mnichom za wygodne i bezpieczne schronisko.

Mistrz wysłał przodem do onej posiadłości klasztoru dwustu braci, towarzyszących mu pod wodzą krewnego swego Anandy, albowiem chciał uradować duszę swoją samotnością wędrowni. Wiedział, że o tejże samej godzinie wieczornej nadejdzie do klasztoru również od zachodniej strony korowód młodych nowicjuszków pod wodzą mądrego ucznia Sariputty. Mistrz oglądał w duchu swym, kontemplacją wyćwiczonym i jasnowidzącym, co się dzieje w odległości. Widział jak się przybyli witają serdecznie z sobą, jak sobie szukają miejsc, składają płaszcze podróżne i miseczki żebracze, słyszał hałas i nawoływania godne rybaków swarzących się o plon połowu. Nader przykrą była mu myśl, że znaleźć się mógł wśród tego zgiełku, to też z podwójną rozkoszą lubował się ciszą, zatopiony w sobie, podobny wędrownemu lwu, który nie łaknie zdobyczy, ale poi się urokiem otoczenia.

Umyślił nie iść miastem ku mangowemu gajowi, ale przemocować w pierwszym napotkanem domostwie podmiejskiem, gdzieby go chciano przyjąć na spoczynek.

Tymczasem zgasła purpura na szczytach, a resztki poświaty wylały się na łąki, które zdały się prześwietlone od wnętrza, jakby ziemia była szmaragdem, z ukrytem w wnętrzu słońcem. Dał objęły fioletowe uroczone mgły, a bliższy plan zatonał w purpurowym oparze, w którym roztopiły się kształty realne przedmiotów i stały zmienne. To co dalekie stało się bliskiem, skupienia rozwiały się, rzeczy rozproszone związały w jedno... wszystko na ziemi objął ruch, drzenie świetliste, nienazwany miraż wieczoru...

Krok samotnego wędrowca spłoszył nietoperza o skórzastych skrzydłach. Odczepił pazury od drzewa salowego i poleciał z cichym piskiem ku niedalekim sadom podmiejskiej wsi, chcąc zaspokoić głód.

Mrok już zapadł głęboki, kiedy mistrz dostał się w podgrodzie miasta Rajagahy.

² Rajagaha - miasto królewskie, dzisiejszy Rajgir o 10 mil na poł. wschód od Patny.

II.

SPOTKANIE.

Mistrz znalazł się przy pierwszym domu, którego białe ściany połyskiwały szafirowo wśród zieleni, i umyślił wejść. Zbliżywszy się atoli do drzwi, zauważył wiszącą na drzewie sieć do łowienia zwierza i ptaków. Zawrócił zaraz i poszedł dalej, gardząc domem łowcy.

Podmiejskie osiedla nawiedził niedawno pożar, przeto mistrz musiał iść dosyć długo, zanim natrafił na ludzkie domostwo. Była to obszerna zagroda bogatego bramina. Mistrz wszedł w bramę, ale nagle posłyszał kłótnię dwu żon kapłana. Swarzyły się o coś, miotając słowa grubjańskie i krzykliwe. Mistrz zawrócił tedy ponownie i, przeszedłszy próg, ruszył dalej.

Ogród bramina, zabudowania i park jego zajmowały znaczną przestrzeń, to też mistrz uczył znużenie, a przytem bolała go prawa stopa, skaleczona ostrym krzemieniem. Dotarł do następnego domu, widocznego już zdala. Promień światła słał się w poprzek drogi, wymykając się przed kraty okiennic i otwarte naściężaj drzwi. Gdyby nawet ślepiec przechodził mimo, musiałby spostrzec ów dom, bowiem dolatał z wnętrza hulaszczy śmiech, pobrzęk pucharów, dudnienie stóp tańczących par, oraz słodkie tony siedmiostrunnej viny. W progu stała piękna dziewczyna, przybrana w dostatnią, jedwabną szatę, uwieńczona jaśminowem kwieciem i, ukazując w uśmiechu czerwone od żucia betelu zęby swoje, zapraszała uprzejmie:

- Wędrowcze, wstąp! W domu tym gości uciecha!

Ale mistrz minął dom radości, wspominając w duchu własne słowa:

- Najweselszy śpiew płaczem jest zakonowi świętych, szaleństwem taniec, głupotą dziecięcą pokazywanie w bezcelowym uśmiechu zębów. Zaprawdę, starczy zachwyconym patrzaniem w oblicze prawdy sam jeno uśmiech oczu.

Dom sąsiedni stał w pobliżu, ale dolatał tam pobrzęk viny, przeto Budda minął go i stanął przy następnym. Zobaczył dwu rzeźników, zajętych gorliwie ćwiartowaniem zarzniętej właśnie krowy. Korzystając z resztek światła, krajali mięso ostremi nożami.

Mistrz poszedł dalej.

Pod następnym domem stało mnóstwo misek i garnków, świeżo zrobionych w ciągu

długiego, pracowitego dnia. Koło garncarskie znajdowało się pod smukłą tamaryndą, a garncarz zdjął zeń właśnie miskę i niósł ku poprzecznie wytoczonym.

Mistrz przystąpił do garncarza, pozdrowił go i rzekł:

- Jeśli nie jest ci to przykrem, o potomku Bhagów, przenocuję w przedsionku domu twego.

- Nie jest mi to wcale przykre, panie! - odrzekł garncarz. - Ale znajduje się u mnie już pewien znużony wędrowiec. Jeśli jemu nie będzie to nie na rękę, tedy nocuj wedle upodobania.

Mistrz zaczął rozważać.

- Samotność jest to najlepszy towarzysz. Ale pielgrzym ten stanął tu po długiej wędrówce, minąwszy domy ludzi trudniących się rzeczami złemi. Nie wszedł do domu kłótni i niegodnych uciech, a wkroczył do przedsionka poczciwego garncarza. Tedy mogę z nim, zaprawdę, spędzić noc.

Wkroczył do przedsionka i spostrzegł siedzącego w kącie na macie młodego męża o szlachetnych rysach twarzy.

- Jeśli pozwolisz, pielgrzymie, - rzekł - to spędzę noc w tym przedsionku.

- Obszerny jest, bracie, przedsionek garncarza, czynń tedy, czcigodny, co ci się podoba.

Mistrz rozłożył matę pod ścianą, usiadł na niej, skrzyżowawszy nogi, i trwał tak wyprostowany w nabożnym skupieniu. Spędził w ten sposób pierwsze godziny nocy, a młody pielgrzym uczynił to samo.

W końcu rzekł mistrz do siebie:

- Ciekawym, czy pielgrzym ów śpi, czy modli się. Spyta go!

Zwrócił się do nieznanego i rzekł:

- Czemuż to, o pielgrzymie, stałeś się człowiekiem bez ojczyzny?

Pielgrzym odparł:

- Minęły dopiero pierwsze godziny nocy. Jeśli mi tedy, o czcigodny, użydziesz swej uwagi, opowiem czemu stałem się człowiekiem bez ojczyzny.

Mistrz skinął głową na znak zgody, a młody pielgrzym tak zaczął:

III.

KU WYBRZEŻOM GANGI.

Zowią się Kamanita, urodziłem się w Ujjeni, w mieście położonem daleko na południu, w górzystym kraju Avanti. Rodzice moi byli zamożni, chociaż niezbyt wysokiego rodu. Ojciec mój, kupiec z zawodu, dał mi doskonale wykształcenie. Opasawszy biodra sznurem obrzędowym, posiadałem wszystkie umiejętności, przystojne młodzieńcowi wyższych sfer, tak, że ogólnie sądzono, iż kształciłem się w Takkasili³. Byłem jednym z pierwszych w zawodach wręcz, oraz w walce na miecze, posiadałem piękny, należycie wyćwiczony głos i umiałem grać na winie. Umiałem na pamięć wszystkie pieśni Bharaty i wiele innych jeszcze, a metryka nie miała dla mnie tajemnic, tak, że pisywałem sam wiersze pełne uczucia i głębokich myśli. W rysunkach i malowaniu niewielu zdołało mnie prześcignąć, a mój sposób sypania wzorów z płatków kwiatnych budził ogólny podziw. Pozatem po mistrzowsku barwiłem kryształ, znałem się na klejnotach, zaś żadne papugi, ni wrony gadające nie umiały tak mówić jak moje. Osiągnąłem też wielką wprawę w grze sześćdziesięciopolewej, w grze w patyczki, w strzelaniu z łuku, rzucaniu piłki wszelkich odmian, a także w odgadywaniu zagadek i rozmowie przez kwiaty. To też wszedłem, o czcigodny, w przysłowie w Ujjeni i powiadano: Uzdolniony wszechstronnie, jak Kamanita.

Kiedy doszedłem do dwudziestu lat życia, ojciec zawołał mnie i rzekł:

- Synu mój, ukształcenie twe ukończone, czas tedy, byś się rozejrzał po świecie i zaczął zawód kupiecki, ku czemu nadarza się właśnie doskonała sposobność. W tych dniach wysłał nasz król poselstwo do króla Udeny w Kosambi, daleko stąd na północy, gdzie mieszka przyjaciel mój, Panada. Od dawna wiem od niego, że można zrobić na północy dobry interes, dostarczając wytworów naszego przemysłu, zwłaszcza kryształów górskich, proszku sandałowego, wykwinnych plecionek trzciniowych i tkanin. Nie mogłem się nigdy odważyć na tak daleką wyprawę kupiecką, a to z powodu licznych niebezpieczeństw, czyhających w drodze. Ale nic się przydarzyć nie może temu, kto podróżuje z poselstwem, to też chodźmy, synu drogi, spojrzeć na dwanaście wozów ładownych, zaprzężonych w woły, które przeznaczyłem dla ciebie w drogę. W zamian za nasze produkty przywieziesz mi muślinu z

³ Rodzaj starohinduskiego Oxfordu w Pendzabie.

Benares, oraz pierwszorzędnej jakości ryżu, a będzie to, jak sędzę, bardzo piękny początek twej kupieckiej kariery. Przy sposobności poznasz inne kraje, obyczaje i ludzi, a także obcować będziesz z osobistościami wyższych sfer, wykwiłtnemi i zajmującemi wysokie stanowiska, co jest rzeczą nader korzystną, gdyż, zdaniem mojem, kupiec winien być zarazem światowcem.

Ze łzami radości podziękowałem drogiemu ojcu memu i w kilka dni potem opuściłem dom rodzicielski.

Serce mi biło rozkosznie, gdym sunął przez miasto na czele karawany wozów, pośród wspaniałego orszaku poselstwa, a potem, za bramami ujrzał ścielący się przede mną ogromny, nieznany świat. Każdy dzień podróży był mi świętem, a siedząc wieczór przy ogniskach obozowych, pośród lasu, z którego głębin dochodziły głosy tygrysów i panter, w otoczeniu starych, dostojnych mężów, czułem się uniesionym w zaczarowaną krainę baśni.

Przebywszy rozległe bory Vedisy i połogie pasmo gór Vindhja dostaliśmy się w bezkresną równię północną, gdzie oczom naszym ukazał się świat zgoła nowy. Nie sądziłem nigdy, by ziemia mogła być tak płaska i rozległa. W miesiąc niespełna po wyjeździe, ujrzelśmy pewnego wieczoru z szczytu wzgórza, porośłego palmami, dwie złociste wstęgi, wijące się skrajem widnokregu, otoczone mgłami oparu, zbliżające się ku sobie po szmaragdowej roztoczy łąk. Wstęgi owe łączyły się z sobą w stronie wschodniej.

Stałem zapałtrony i nagle uczułem, że ktoś dotyka mego ramienia.

Kierownik poselstwa królewskiego stał przy mnie.

- Spójrz, Kamanito! - powiedział. - Oto tam łączą swe nurty święta Jamuna i najświętsza Ganga.

Mimo woli wzniosłem w górę dłonie, a poseł ciągnął dalej:

- Dobrze czynisz, Kamanito, pozdrawiając modlitwą święte rzeki. Ganga płynie z osiedla bogów w północnych górach lodowych, czyli bierze swój początek w tem co wiekuiste, zaś Jamuna bieży z bohaterkiej krainy zamierzchłej starożytności, w jej wodach przeglądają się zgliszcza świętego miejsca słońca⁴, a nurty przecinają ową równię, gdzie walczyli z sobą o władztwo Panduingi i Kuruingi, gdzie Karna obozował srogie, gdzie sam Krysna kierował wozem bojowym Arjuny... Po cóż ci to zresztą przypominać... wszakże znasz dobrze wszystkie pieśni bohaterkie.

Nieraz już, stojąc na wyniosłym cyplu, spoglądałem na płynące obok siebie jednym korytem błękitne fale Jamuny i żółte Gangi i widziałem, że nie mieszają się kasta bramińska z

⁴ Hastinapura.

kastą wojowników. Wydawało mi się zawsze, że w szumie tych fal słyszę szczęk oręża, tony rogów, tętent kopyt i rzenie rumaków, oraz wrzaski słoni bojowych, a serce biło mi w piersiach żywo, bowiem przodkowie moi brali udział w tych walkach mocarnych, a piasek Kurukczetry pijał ich krew bohaterską.

Z pełnym uwielbienia podziwem spojrziałem na wojownika, w którego rodzie żyły tak szczytne wspomnienia, on zaś ujął mnie za rękę i powiedział:

- Chodź, mój synu, i przypatrz się miastu, które jest celem twojej pierwszej podróży.

Obeszliśmy mały, gęsty zagajnik, słońcy widok od wschodu.

Mimo woli wydałem okrzyk podziwu.

Przed sobą ujrzałem cud-miasto lśniące w zachodzie słońca, jakby je zbudowano ze szczerego złota. Tak, złotem było Benares zanim grzechy mieszkańców sprawiły, iż metal przemienił się w kamień i wapno. Mury, wieże, masy domów, terasy, przystanie z licznymi basenami do kąpielii (ghatami), przyozdobionymi w kioski, oraz kopuły, w istocie, naprawdę złote, wszystko to wprawiło mnie w zachwyt nieopisany.

Z zabudowań świątynnych buchały czerwono-brunatne dymy, z miejsc palenia zwłok wznosiły się szafirowe słupy w powietrze, miasto objęły obłoki barwy perłowej masy, a przez nie przebłyskały przeróżne kolory, żarząc się w ukryciu tej nieuchwytnej przysłony. Posowa ta odbijała się w nurtach świętej rzeki, na której roily się niezliczone czółna o barwnych żaglach, zdobne w sztandary, a mimo oddali widać było mnóstwo ludzi w basenach i na schodach wiodących ku wodzie. Dolatał szmer radosny, niby pbrzęk ula, a wiatr niósł go falami, tak że rozdzwiewczał i przycichał ponownie.

Pojmiesz, o czcigodny, że patrząc mniemałem, że mam przed sobą raczej gród trzydziestu trzech bóstw niżli miasto ludzkie, zaś cała dolina Gangi rajem mi się wydała. Zaprawdę, miałem dobre przeczucie, bowiem tutaj raj ziemski rozwarł się przede mną.

Tejże jeszcze nocy spałem pod gościnnym dachem zacnego Panady, a skoro ranek nadszedł, pośpieszyłem do najbliższego ghatu i z nieopisanym uczuciem rozkoszy zanurzyłem się w świętym nurcie, splórkając z siebie nie tylko kurz podróży, ale i grzechy żywota. Z powodu młodego wieku były one lekkie. Nie zapomniałem napełnić świętą wodą wielkiej flaszki, którą miałem zamiar zawieźć ojcu. Niestety, jak się dowiesz, nigdy nie dostała się ona w jego ręce.

Szlachetny Panada, starzec siwowłosa, zaprowadził mnie na targowisko i dołożył tylu starań, że w ciągu kilku dni sprzedałem bardzo korzystnie przywiezione towary, nabywając w zamian dużą ilość produktów północy, cenionych w naszych okolicach.

Wszystkich tych transakcyj handlowych dokonałem, zanim poselstwo zaczęło wybierać

się w drogę powrotną. Nie martwiło mnie to jednak wcale, mogłem bowiem teraz z całą swobodą zwiedzać miasto i zażywać różnych przyjemności, co czyniłem w pełnej mierze, a towarzyszem moim był syn Panady, młody Somadatta.

IV.

GRA W PIŁKĘ.

Pewnego pogodnego dnia udaliśmy się do jednego z ogrodów publicznych miasta. Był to wspaniały park nad samym brzegiem rzeki, pełen niezrównanych drzew, wielkich stawów z lotosami, marmurowych pawilonów i jaśminowych altanek, a w tej porze dnia panował w nim ruch ożywiony.

Zająwszy miejsca w pozłocistej huśtawce, kazaliśmy się służbie bujać, słuchając jednocześnie weselących duszę miłosnych tonów kokili i pogwaru uczonych papug. Nagle doleciał naszych uszu ochoczy pobrzęk bransolet nożnych, a przyjaciel mój zatrzymał huśtawkę, zerwał się i zawołał:

- Doskonaleśmy trafili! Oto nadchodzą najpiękniejsze dziewczęta Kosambi, córki najzamożniejszych i najdostojniejszych rodów, by za pomocą gry w piłkę oddać cześć bogini, zamieszkującej lasy Vindhji. Poszczyliło ci się, przyjacielu, bo podczas tego obrzędu można im się napatrzeć do woli. Chodźmy co prędzej skorzystać ze sposobności.

Pospieszyłem oczywiście za przyjacielem.

Dziewczęta pojawiły się na obszernej platformie, wykładanej mozaiką z drogich kamieni. Oczy patrzących rozkoszowały się urodą tego grona dziewcząt, pięknnością połyskliwych szat jedwabnych, wonnych zwojów muślinu, perłami i klejnotami ich naszyjników, oraz złotymi bransoletami na maleńkich, zgrabnych nóżkach, ale stokroć jeszcze więcej uroku posiadała sama gra, ujawniająca ponętne ruchy, cudne postawy i odsłaniająca zarysy kształtów ich ciał.

Przez czas jakiś owe gazelookie dziewczęta zabawiały się kunsztowną mimiką i tańcem, potem zaś, po onym wstępie ustąpiły, a na estradzie pozostała jedna jedyna, ta która zajęła potem całe serce moje.

Cóż mam mówić o jej piękności, czcigodny panie? Nie będę się silił tego opiewać, musiałbym bowiem być samym chyba Bharatą, chcąc ci dać bodaj słaby odbłask jej uroku. Starczy gdy powiem, że owa cudna dziewczyna o twarzy księżycowej miała nieskazitelną budowę ciała, a każdy jej członek promieniał czarem młodości. Przypominała żywo boginię szczęścia i piękna, tak iż każdy włoszek mego ciała najeżył się z niewysłowionego zachwyty.

Po chwili zaczęła podrzucać piłkę, czcząc w ten sposób boginię, której zdawała się być

wcieleniem. Rzuciła ją niedbale na ziemię, gdy wznosiła się w powolnym odskoku, uderzyła ją silnie wierzchem przecudnej swej dłoni o długich, śnieżysto-białych palcach, a kiedy, sięgnawszy znacznej wysokości, spadała, chwyciła ją w rękę. Rzuciła piłkę z wolna, w tempie średnim, to znowu szybko, raz pobudzając ją do lotu, to znowu hamując jej skoki. Używała na przemian ręki prawej i lewej, pędziła piłkę w różne strony i zmuszała do nawrotu. Widzę z twego pełnego zrozumienia spojrzenia, o czcigodny, iż znasz się na grze w piłkę, otóż powiem jeno, że nie widziałem dotąd, by ktoś równie zręcznie wykonał ćwiczenie, które zwiemy gitamargą i curnapadą.

Potem dziewczyna wykonała coś, czego dotąd nie widziałem i o czym nie słyszałem wcale. Wzięła dwie złociste piłki i, tańcząc rytmicznie w pobrząku bransolet, podrzucała je miarowym, błyskawicznym ruchem, tak, że utworzyło się coś w rodzaju lśniących prętów klatki, w której tkwiła sama mistrzyni, niby czarodziejski ptak.

W pewnym momencie skrzyżowały się spojrzenia nasze i do dziś nie wiem, o czcigodny, czemu nie padłem martwy na ziemię, by zbudzić się natychmiast w raju. Prawdopodobnie czyny mego poprzedniego życia, których skutki w tym życiu ponosić muszę, nie zostały jeszcze jak należy odcierpiane, gdyż całe me życie dotychczasowe to jeno szereg niebezpieczeństw, których nie widzę końca. Słowem, zostałem żywy.

W chwili tej jednak wymknęła się jej jedna z posłusznych dotąd piłek i wielkim skokiem spadła z estrady. Niezwłocznie rzuciło się za nią kilku młodych ludzi, a pewien bogato ubrany młodzian i ja dopadliśmy piłki jednocześnie. Wzięliśmy się za bary, gdyż żaden nie chciał ustąpić drugiemu. Ponieważ umiem walczyć wręcz, powiodło mi się obalić go za pomocą podstawienia nogi. Padając, zerwał mi z szyi łańcuszek kryształowy z amuletem, ale ja pochwyciłem piłkę. Pieniąc się z gniewu, wstał i cisnął mi łańcuszek pod nogi. Amulet stanowił kamień, zwany „okiem tygrysa”, nie był on drogocenny, ale posiada pono moc ochrony przeciw złemu spojrzeniu, i oto teraz właśnie, gdy na mnie spojrzenie takie padło, nie miałem go na sobie.

Nie myślałem o tem jednak na razie, trzymałem bowiem w dłoni piłkę, której dotykały jej przecudne paluszki. Jako zręczny gracz wykonałem rzut tak dobrze obmyślony, że piłka odbiła się od skraju estrady, a potem, jakby ujarzmiona, wróciła tuż pod dłoń mistrzyni, która nie przestała ni na chwilę utrzymywać drugiej piłki w ruchu. Za moment zawirowały w powietrzu obie piłki i znowu rozbłysły złote pręciki klatki, a liczni widzowie dali głośny wyraz swego uznania i podziwu.

Na tem skończyła się gra ku czci Lakszmi, dziewczęta znikły z estrady, a my udaliśmy się do domu.

Po drodze powiedział mój towarzysz, że dobrze jest, iż nie mam żadnych spraw na dworze, gdyż młodzieniec, na którym zdobyłem piłkę, to syn samego ministra, a z spojrzenia jego wywnioskował, iż żywi ku mnie nienawiść nieprzejednaną.

Nic sobie z tego nie robiłem, rozmyślając jeno nad tem, by się dowiedzieć, kim jest moja bogini.

Nie chciałem pytać wprost, a nawet kiedy Somadatta zaczął czynić przytyki, udałem obojętnego, chwaliłem w wyrazach fachowych jej zdolności, dodając jednak, że w ojczyźnie mojej nie brak równie zręcznych piłczarek. Mówiąc tak, w sercu błagałem mą niezrównaną mistrzynię o przebaczenie.

Tę noc spędziłem, oczywiście, bezsennie, zamykając po to jeno oczy, by przywołać sobie na pamięć precudne zjawisko. Dzień następny spędziłem w najdalszym zakątku ogrodu, gdzie cień wysmukłej mangi użyczał niejakej ochłody memu, żarem miłości nękanemu, ciału. Marzyłem tam z winą, jedyną powiernicą w dłoni. Gdy tylko jednak nadeszła pora zachodu, a zmniejszony upał dnia pozwolił na wyjście, namówiłem Somadattę, by zwiedził wraz ze mną park miejski. Uczynił zadość mej woli, mimo iż pragnął zobaczyć pojedynek przepiórek. Ale daremnie przeszukałem wszystkie kąty. Było tam dużo dziewcząt i zabawiały się w różne sposoby, wodząc mnie z miejsca na miejsce fałszywymi obietnicami, ale nie było pośród nich onej jedynej, istotnej wyobrazicielki bogini Lakszmi.

Potem udałem, że mam niesłychaną chęć poznania życia nad rzeką i wypłuskania się w nurtach. Zwiedziliśmy wszystkie ghaty i baseny kąpielowe, wsiedliśmy do barki i zmieszaliśmy się z flotylą statków, snujących się co wieczór po falach Gangesu. Pływaliśmy długo, aż zagasły promienie słońca i zabłyśły pochodnie i lampjony, i wreszcie, straciwszy nadzieję, musiałem dać znak wiosłarzowi, by przybił do brzegu.

Po ponownej nocy bezsennej zamknąłem się w pokoju i, chcąc czemś zająć rozróżnionego ducha, zanim przyjdzie pora udania się na poszukiwania dalsze, usiłowałem za pomocą farb i pędzla utrwalić swą cudną zjawę w chwili, kiedy tańcząc igrała z piłkami. Nie byłem w stanie przełknąć jedzenia i wzorem onej słodko śpiewającej *cakory*, żywiącej się jeno promieniami księżyca, karmiłem się blaskiem księżycowego oblicza ukochanej, mimo że było jeno wspomnieniem, ufny, iż dnia tego ujrzę ją znowu w parku.

I tym jednak razem doznałem rozczarowania. Somadatta chciał mnie zabrać do domu gry, gdyż zajadły był na kości jak Nal, kiedy weń wstąpił demon Kali, ale oświadczyłem, że jestem znużony. Gdy odszedł, miał udać się do domu, poszedłem z powrotem ku rzece i szukałem ukochanej, z podobnym niestety co wczoraj wynikiem.

V.

MAGICZNY PORTRET.

Pewny, że zasnąć nie zdołam, nie kładłem się - wcale onego wieczoru, jeno usiadłem na przeznaczonym do modłów pościelisku trawy u wezłowia łoża i spędziłem przystojnie noc na miłosnej kontemplacji i modłach do Lakszmi, pani lotosów oraz jej ziemskiej zjawy. Gdy tylko zabłysło słońce, wziąłem się na nowo do malowania.

Pracowałem przez kilka godzin, gdy nagle wszedł Somadatta. Schowałem co prędzej pod łóżko przybory malarskie, a uczyniłem to zupełnie machinalnie.

- Widzę - powiedział - że wielki zaszczyt spadnie na dom nasz, bowiem wyjdzie zeń człek święty. Pościsz, jako przystało ascecie i wyrzekasz się łoża. Ni śladu odbicia ciała twego nie widzę na poduszkach pościeli, a kołdra nie posiada najmniejszej fałdy. Mimo, żeś wychudł skutkiem postów, ciało tve jednak nie utraciło całej wagi, o czym świadczy bodaj odcisk na tej oto trawie, gdzie spędziłeś noc na bogobojnych rozmyślaniach i modlitwie. Zdaje mi się jeno, że pokój ten napełniony jest przedmiotami zgoła nieprzystojnymi świętemu. Na stolyczku nocnym widzę, nietkniętą co prawda puszkę z maścią, miseczkę z proszkiem sandałowym, naczynie z wonną wodą, oraz spodeczki z korą cytrynowego drzewa i betelem. Na ścianach spostrzegam wieńce z żółtych liści amarantu, gitarę... ale, ale... gdzież to jednak podziiała się paleta, która wisiała zawsze na tym oto gwoździu?

Zmieszany, nie wiedziałem, co powiedzieć, on zaś odnalazł bez trudu paletę i tak ciągnął dalej:

- Cóż to za szkaradny czarownik utrwalił na tem oto drzewie, przy pomocy magicznych sztuczek, wizerunek zabawiającej się piłką dziewczyny? Wszakże niedawno paleta była czysta, sam ją zawiesiłem na ścianie. O... to zaiste dzieło szatana, który chce opętać zaraz z początku zmysły młodego ascety. Albo może uczynił to bóg jakiś? Wiadomo, że bogowie lękają się potęgi ascetów. Żarliwość twoja jest tak ogromna, że spłonąć od niej mogą lasy Vindhji, zaś bezmiar twych zasług może wyprowadzić z równowagi osiedle niebian. Ha... wiem już czyje to dzieło! Dokonał go bóg niewidzialny, władający kwietnymi strzałami, mający rybę w herbie... tak jest, to Kama, bóg miłości, od którego wywodzi się imię twoje... Tak, dostrzegam to jasno, widzę ponadto, że użył na pokusę Vasitthi, córki bogatego złotnika

tutejszego.

Na dźwięk imienia ubóstwianej, posłyszany po raz pierwszy, serce zaczęło mi bić gwałtownie i twarz moja okryła się bladością.

- Widzę - zauważył żartowniś - że cię, przyjacielu drogi, wielkiego nabawiły strachu sztuczki owego czarownika Kamy. Musimy też w istocie uczynić coś, by ująć jego szatańskim zakusom. Przyda się tu rada kobieca. Pokażę ten portret ukochanej mej Medini, siostrze mlecznej pięknej Vasiitthi, która również brała udział w zabawie, a ona powie co czynić należy.

Powiedziawszy to, chciał odejść z wizerunkiem, ja jednak, domyśliwszy się jego zamiaru, poprosiłem, by poczekał, gdyż chciałem dodać napis. Nabrawszy na pędzel ślicznej purpurowej farby, po krótkim namyśle skreśliłem czterowiersz, opisujący w prostych wyrazach grę w piłki złociste. Czytając na wspak, można się było dowiedzieć, że jedną z piłek, którą jej odrzuciłem, było moje serce, wracające do niej, mimo, że je upuściła. W poprzek przez wiersze, z góry na dół czytany, znaczył wiersz ów, że cierpię z powodu rozłąki, zaś z dołu do góry znaczył, iż mimo wszystko nie straciłem nadziei.

Nie powiedziałem nic o tem Somadacie, to też niezbyt był zachwycony mą sztuką rymotwórczą, zbyt prostą, zdaniem jego. Jak zawsze każdy, zachwycony własnym konceptem, radził mi, bym opisał przestrach boga Kamy z powodu mej ascezy i jego sztukę, jaką mnie pokonał za pomocą magicznego wizerunku.

Gdy Somadatta odszedł, nabrałem otuchy, uczyniony bowiem został krok stanowczy, który mógł mnie doprowadzić do upragnionego celu. Mogłem teraz jeść i pić, to też pokrzepiwszy się, wziąłem z ściany winę i wnet rozszumiały struny tonami radosnymi i stęsknionymi zarazem, ciągle wyrażając niebiańskie imię Vasiitthi przeróżnymi akordy.

Grałem jeszcze, gdy Somadatta, wróciwszy po kilku godzinach, zjawił się z wizerunkiem w ręku.

- Grająca w piłkę morderczyni twego pokoju ducha - powiedział - ułożyła także wiersz. Nie ma tam co prawda nadmiaru zdrowego sensu, natomiast pismo jest niezwykle powabne.

Trudno powiedzieć, z jakim zachwytem zobaczyłem drugi czterowiersz, wypisany pociągnięciami pędzla, przypominającymi delikatne, zwiewne gałązki kwietne. Nie mógł w nim Somadatta odkryć sensu, bowiem odnosił się właśnie do tego, o czym nie wiedział, a świadczył, iż wiersz mój czytała w wszystkich kierunkach, co mnie utwierdziło w mniemaniu, że jest wykształcona i sprytna. Odpowiedź była powabna, żartobliwa, a oświadczyły me przyjęła jako zwykły, towarzyski komplement, któremu nie należy przypisywać zbyt wielkiego znaczenia.

Próbowałem, rozumie się, odcyfrować ów wierszyk w sposób powyż wspomniany, w nadziei odkrycia jakiegoś wyznania, czy może nawet wyznaczenia schadzki, atoli daremnie. Powiedziałem sobie, że świadczy to o wysokiej obyczajności i wstydlivosti dziewczęcej. Ukochana okazała, że potrafi śledzić wszelkie ścieżki męskiego ducha, ale nie tak łatwo sprowadzić ją na tę drogę, którą kroczy miłość lekkomyślna.

Rozczarowany nieco, doznałem zaraz pociechy ze słów Somadatty.

- Owa pięknobrewa - powiedział - nie jest co prawda wielką poetką, ma jednak za to dobre serce. Wiedząc, że dawno nie widziałem się z jej siostrą mleczną, ukochaną mą Medini sam na sam, zaś w towarzystwie można jeno oczyma rozmawiać, postanowiła, że spotkamy się jutro w nocy na terasie domu jej rodziców. Dzisiaj jest to niemożliwe, albowiem ojciec jej wydaje ucztę, tedy musimy poczekać. Może miałbyś ochotę towarzyszyć mi w tej wycieczce?

Roześmiał się chytrze, ja również roześmiałem się i przyrzekłem mu, że pójdę. W najlepszym usposobieniu będąc, chcieliśmy właśnie wziąć się do gry sześćdziesięcioczerpolowej, by zająć umysł w sposób przystojny, gdy nagle stanął przed nami służący i zawiadomił, iż jakiś cudzoziemiec chce się ze mną rozmówić.

W przedśionku zastałem posłańca ambasadora, który mnie zawiadomił, iż winienem się sposobić do drogi i stanąć tejże jeszcze nocy z wozami w podwórzcu pałacu królewskiego, gdyż poselstwo wyrusza z pierwszym brzaskiem z powrotem do kraju.

Rozpacz moją wyobrazić sobie łatwo. Pewny byłem, iż obraziłem któreś z bóstw. Zebrawszy myśli, pobiegłem do ambasadora i nakłamałem mu bez namysłu o pewnej transakcji, która nie doszła jeszcze do skutku, a nie może być załatwiona w tak krótkim czasie. Płacząc rzewnie, błagałem go, by mi darował bodaj jeden dzień jeszcze.

- Wszakże mówiłeś przed tygodniem, że wszystko pokończone! - zdziwił się.

Zapewniłem go, że nadarzyła mi się niespodzianie okazja znacznego zysku, od którego wiele zawisło. I nie kłamałem wcale, jakiemuż bowiem zyskowi przyrównać można było zdobycie tej niezrównanej dziewczyny? Z wielką biedą powiodło mi się utargować zwłokę jednodniową.

Dzień następny zszedł na przygotowaniach do drogi, to też mimo tęsknoty czas mi się nie dłużył zbytnio. Gdy mrok zapadł, wozy stały gotowe do odjazdu, tak, że mogły ruszyć, gdy się jeno zjawię o świcie.

VI.

TERASA BEZTROSKI.

Gdy już noc zstąpiła głęboka, udaliśmy się wraz z Somadattą, przybrani w ciemne szaty, wysoko zakasane, z mieczami w rękach, ku zachodniej stronie domu bogatego złotnika, zbudowanego jak pałac prawdziwy, posiadającego obszerną terasę, opartą o stromą skałę, pod którą rozwarta była głęboka czeluść. Wydostaliśmy się na nią przy pomocy długiej tyki bambusowej, wykorzystując zręcznie nieliczne załomy ukrytej w cieniu skały i przelazłszy z łatwością przez okalający ją mur, znaleźliśmy się na terasie przyozdobionej palmami, drzewami asoki, oraz przepyszными kwiatami wazonowemi. Księżyc, nie oświetlający skały, oblewał jasną poświatą terasę i przy jego blasku zobaczyłem moją piękną pogromczynię, bawiącą się sercem mem niby piłką, obok niej zaś drugą dziewczynę. Ujrawszy ją, zacząłem drzeć całym ciałem, tak, że nie chcąc upaść, musiałem objąć ramieniem parapet terasy i to dotknięcie zimnego kamienia przywróciło mi zmysły. Somadatta pospieszył do swej ukochanej, która na jego widok zerwała się z lekkim okrzykiem.

Opanowawszy zmieszanie, zbliżyłem się do Vasitthi, która wydała się zdumioną obecnością moją i wahała się, czy ma zostać, czy odejść. Rzuciła mi nieśmiało spojrzenia płochliwej antylopy, a ciało jej chwiało się, niby witka krzewu, muskana powiewem. Mnie ogarniać znowu zaczęło wzruszenie, włosy mi się zjeżyły, oczy rozwarły szeroko i z trudnością wielką wyszeptalem kilka słów, wyrażających zachwyt, iż ją spotykam. Spozrzeglwszy jak jestem wzburzony, uspokoiła się, usiadła i dłonią podobną lotosowi, wskazała miejsce obok siebie. Po chwili, głosem drżącym precudnie wyraziła zadowolenie, iż nadarza się sposobność podziękowania mi za tak zręczne odrzucenie piłki, że nie musiała przerywać gry świętej. W razie przeciwnym cała zasługa poszłaby wniwecz, a bogini, obrażona źle dopełnioną ofiarą, rozgniewałaby się, albo odmówiła jej błogosławieństwa.

Odparłem, że nie należy mi się podzięka, a proszę jeno o przebaczenie tego, co było moją własną winą, gdy zaś nie zrozumiała, ośmieliłem się przypomnieć jej, że przyczyną fałszywego uderzenia piłki i jej odskoku w bok było spojrzenie, jakie mi rzuciła. Zarumieniła się i zaprzeczyła żywo, twierdząc, że owo spojrzenie nie zmieszało jej wcale.

- Myślę - odparłem - że na moment doznałaś oszołomienia i źle uderzyłaś piłkę, widząc w

mem spojrzeniu niewysłowny podziw i uwielbienie bezgraniczne.

- Nie ma mowy o uwielbieniu, - rzekła - wszakże w ojczyźnie widywałeś chyba zręczniejsze mistrzynię w tej grze.

Z słów tych wywnioskowałem z przyjemnością, iż była już o mnie mowa i że słowa, jakie wyrzekłem do Somadatty, zostały jej wiernie powtórzone. Zadrżałem jednocześnie, uświadomiwszy sobie owo lekceważące wyrażenie i pospieszyłem wyjaśnić, że mówiłem tak z rozmysłem, by ukryć przed przyjacielem słodką tajemnicę serca.

Nie chciała wierzyć, lub udawała, że nie dowierza, ja zaś zapomniałem o lękliwości, nabrałem animuszu i zapewniłem, iż od pierwszego spojrzenia na nią, bóg miłości zasypał mnie kwiatami swych strzał. Powiedziałem, że musiała być w bytach poprzednich moją, gdyż inaczej trudno sobie wyobrazić tę nagłą miłość. Jeśli zaś tak jest, zakończyłem, to i w jej sercu zbudzić się musiało uczucie i ona poznała we mnie chyba małżonka swego z czasu dawnych wcieleń na ziemi.

Nastawałem na nią coraz to mocniej, aż w końcu ukryła na mych piersiach rozognioną, zalaną łzami twarz i ledwo dosłyszalnym głosem wyznała, iż jej się przydarzyło to samo, że byłaby umarła niezawodnie, gdyby jej siostra mleczna nie przyniosła na czas wizerunku przeze mnie namalowanego.

Zaczęliśmy się całować i pieścić bez końca i rozkosz nas ogarnęła niewysłowna, gdy nagle uświadomiłem sobie konieczność rychłego wyjazdu. Cień padł na szczęście moje i westchnąłem ciężko.

Spytała przerażona czemu wzdycham, a gdy mi jej wymieniłem powód, padła na poły zemdlona na ławkę, łzy nieutulone polały się z jej oczu, a szlochaniem zatrzęsło jej piersią. Daremnie usiłowałem pocieszyć ukochaną, daremnie zaręczałem, że gdy tylko minie pora deszczów, natychmiast powrócę i nie opuszczę jej już, choćby mi wypadło zostać wyrobnikiem dziennym w Kosambi. Przysięgałem, że rozpacz moja z powodu rozłąki jest równie wielka i że jeno nieunikniona konieczność zmusza mnie do odjazdu. Mówiłem zgoła na wiatr, bo ledwo spytała o przyczynę, a ja zacząłem jej szczegółowo opowiadać, dlaczego zaraz o świcie muszę ruszać, przekonałem się, że nie słucha co mówię, i nie rozumie wcale. Zawodząc, żaliła się, że chce wracać do ojczyzny, są tam bowiem dziewczęta piękniejsze od niej i umieją lepiej rzucać piłką, jak to sam zresztą powiedziałem.

Na próżno przysięgałem, dowodziłem, uparła się przy swoim, a łzy płynęły coraz to obficie. Trudno się dziwić, że jej padłem do stóp, ucałowałem ręce i z płaczem przyobiecałem, że nie pojadę. Vasitthi objęła mnie w swe cudne, miękkie ramiona, całowała setki razy, śmiała się i płakała na przemian i czułem się niewymownie szczęśliwy.

Co prawda, wysnuła stąd zaraz taki wniosek:

- Widzisz, nie ma konieczności odjazdu, gdyż pojechalbyś w takim razie mimo wszystko!

Gdym zaczął ponownie wyłuszczać rzecz całą, zamknęła mi usta pocałunkiem i powiedziała, że pewną jest miłości mojej, a nie mówiła zgoła serjo o mej chęci powrotu do dziewcząt ojczystego miasta. Godziny mijały niepostrzeżenie na pieszczotach i pogadance, zdając się snem i nie skończyłoby się to chyba nigdy, gdyby nie Somadatta i Medini, którzy się zbliżyli do nas, zawiadamiając, iż czas najwyższy wracać.

W podwórzu zastaliśmy wszystko gotowe do odjazdu. Zawołałem przywódcę karawany i wysłałem go do ambasadora z zawiadomieniem, że nie załatwiłem swych spraw, przeto muszę zrezygnować z powrotu pod opieką poselstwa. Przesłałem pozdrowienie dla rodziców i poleciłem się jego dalszej życzliwości.

Zaledwom się wyciągnął na łożu, by nieco wypocząć i przespać kilka godzin, zjawił się sam ambasador. Zerwałem się przerażony, złożyłem mu ukłon głęboki, on zaś spytał ostrym głosem, co ma znaczyć takie postępowanie, potem zaś rozkazał mi iść z sobą.

Zacząłem mówić o wiadomej transakcji handlowej, ale przerwał gniewnie:

- Nie kłam! Wiem ja, co znaczy, gdy młokos jak ty, nie chce opuścić obcego miasta. Wszakże wszystko załatwione, bo towary spakowane, a wozy zaprzężone stoją w podwórzu!

Oblawszy się rumieńcem, zadrzałem, schwytany na kłamstwie. Ale gdy mi kazał iść, narzekając, że stracił przeze mnie parę godzin porannego chłodu, oparłem się z całą stanowczością, której się widocznie nie spodziewał. Z tonu władczego przeszedł do pogroźek, potem zaczął prosić, wspominając, że rodzice moi dlatego tylko zdecydowali się wysłać mnie w tak daleką podróż, że pewni byli opieki poselstwa w jedną i drugą stronę.

Argument ten był źle wybrany, uświadomiłem sobie bowiem, że nie będę mógł wrócić do Vasitthi, zanim się nadarzy drugie urzędowe poselstwo do Kosambi, na co można było czekać długo. Postanowiłem pokazać ojcu, że sam potrafię przeprowadzić karawanę i nie lękam się niebezpieczeństw dalekiej podróży.

Ambasador przedstawiał mi owe niebezpieczeństwa w barwach nader ponurych, ale wszystko to nie zdało się na nic. Opuścił mnie gniewny, mówiąc, że nie jego winą będzie, jeśli gorzko pożałuję uporu i głupoty swojej.

Doznałem wielkiej ulgi, mogłem się bowiem teraz w zupełnym spokoju oddać marzeniom o Vasitthi i rozmyślając o niej, zasnąłem twardo, iż zbudziłem się dopiero o godzinie, w której trzeba się było udać na terasę, gdzie czekały kochanki nasze.

Spotykaliśmy się co noc i za każdym razem odkrywaliśmy nowe skarby w skłonności serc i dusz naszych, a zarazem większą odczuwaliśmy tęsknotę, by zobaczyć się znowu.

Bardziej srebrnym wydawało nam się w czasie owym światło księżyca, chłodniejszym marmur, wonniejszym zapach pełnych jaśminów, upojniejszym i miłośniejszym głos kokili, senniejszym poszum palm i bardziej obiecującym niespokojny szept asokowych liści, niż kiedy indziej i gdzie indziej w świecie.

O, jakże dobrze pamiętam owe przepyszne asoki terasy, pod którymi siadywaliśmy tak często lub przechadzali się, zwarci miłosnym uściskiem. „Terasa Beztroski” nazwana została od onych drzew, albowiem „drzewem beztroski” lub „ukojeniem serc” zwał poeci asokę, a nigdzie piękniejszych niż tam nie widziałem. Lancetowate, ciągle drżące liście połyskiwały w księżycu, szmerząc z cicha w nocnym powiewie, a pośród nich widniały złocisto żółte, pomarańczowe i szkarłatne kwiaty, chociaż rozpoczęła się dopiero pora vasanty. Jakże jednak nie miały kwitnąć wspaniale, kiedy przecież asoka rozwiera pąk swój w chwili, gdy korzenia jej dotknie stopa pięknego dziewczęcia.

Pamiętam, ach, zda mi się, że to było wczoraj dopiero, stałem pewnej księżycowej nocy na terasie, obok uroczej sprawczyni przedwczesnego kwitnienia asoki. Księżyc był w pełni. Pochyleni na parapecie, spoglądaliśmy poprzez głęboki cień urwiska na rozległą dolinę. Snuły się po niej srebrne wstęgi obu rzek, łączących się w miejscu świętem, zwanem „trójzlewiskiem”, bowiem ogólne było mniemanie, że w punkcie tym łączy się z niemi również Ganges niebiański. Ową nadziemską rzekę ukazała mi Vasiṭṭhi ponad szczytami drzew. Jest to nasza „droga mleczna”, która tam, na północy nosi owo wzniosłe miano.

Rozmawialiśmy potem o mocarnym Himavacie na dalekiej północy, skąd wytryska święta Ganga, o tem, że na szczytach jego lodowych mieszczą się osiedla bogów, a niezmierzone lasy i głębokie pieczary dają schronisko wielkim ascetom. Chętniej jednak śledziłem spojrzeniem bieg Jamuny.

- Oo... - zawołałem - gdybym posiadał baśniową łódkę z perłowej konchy, użaglona pragnieniem, a sterowaną wolą własną, kazałbym jej płynąć pod prąd, aż do źródła. Zaprawdę, powstałoby wówczas z gruzów święte miasto słoni, z wskrzeszonych jego pałaców doleciałby pogłos ucztujących i rzucających kości, a piaski Kurukczetry oddałyby poległych w boju. Wstałby sędziwy Bhisma w srebrnej zbroi, z białymi włosami, siedzący na wysokim wozie bitewnym, i miotałby gładkie strzały we wrogów swoich. Nadbiegłby również mężny Fagadatta na ogromnym słoniu swym, rozgorzałym męstwem, wywijającym groźnie trąbą, ukazałby się również zręczny Krysna, pędzący czworokonny wóz Arjuna w najgęstszej cizbie nieprzyjaciół. O, jakże zazdrościłem ambasadorowi jego przynależności do kasty wojowników, gdy mi powiedział, że przodkowie jego brali udział w onym niezapomnianym boju. Źle jednak uczyniłem. Nie tylko bowiem ród daje przodków, ale sami jesteśmy

przodkami swymi. Może byłem sam pośród walczących? Jestem jeno synem kupca, ale od najwcześniejszej młodości czułem niezwykły pociąg do zapasów rycerskich i rzec mogę śmiało, że na miecze nie każdy sprostać mi zdoła.

Vasitthi objęła mnie namiętym uściskiem, nazwała swym bohaterem, i zapewniła, że jestem niewątpliwie jednym z owych półbogów, o których mówią pieśni stare. Nie wiedzieliśmy oboje, czyjem jestem wcieleniem, albowiem, jak mówiła, uświadamiający zapach drzewa koralowego przytłumiała nam tu woń kwiatów asoki.

Spytałem ukochanej, co to znaczy. Nie słyszałem o tem drzewie, nie znałem też wielu legend, których na północy było nierównie więcej, niżli u nas na południu, wśród gór.

Opowiedziała mi, jak to raz Kryszna czasu podróży po świecie Indry wygrał w zapasach niebiańskie drzewo koralowe i zasadził w swoim ogrodzie. Drzewo ono wydaje purpurowe kwiaty, których zapach rozchodzi się wkoło, a kto odetchnie tym zapachem, ten sięga pamięcią w odległą przeszłość, w czasy prastare i przypomina sobie minione wcielenia swoje na ziemi.

- Ale jeno święci - dodała swawolnie - mogą już za życia doczesnego oddychać tą wonią, my zaś na pewno świętymi nie zostaniemy. Ale to nic! Chociaż nie byliśmy Nalem i Damajanti, chociaż nie znamy imion swoich dawnych, kochaliśmy się niezawodnie jak oni. Miłość i wierność nie przemija, zmieniają się jeno jej kształty i nazwy, one są tonem, my lutnią. Lutnia ulega strzaskaniu, inna zostaje nastrojona, ale melodia ta sama zostaje. Brzmi tylko raz pełniej i piękniej, raz ciszej i gorzej, jak i moja vina nowa lepsza jest od starej. My jesteśmy lutniami, na których bogowie grają rozkoszne pieśni.

Przytuliłem ją do serca, zdumiony takimi myślami kochanki, ona zaś, odgadując snąc myśli moje, dodała z cichym uśmiechem:

- Źle czynię, mówiąc tak, i bramin nasz domowy gniewa się na mnie za to. Winnam, jak powiada, jeno modlić się do Kryszny, myślenie pozostawiając kapłanom. Ponieważ mi przeto jeno wierzyć wolno, wierzę, iż byliśmy ongiś Nalem i Damajanti.

Podniosła modlitewnym ruchem dłonie w stronę drzew, których liście drżały, kwiecie lśniło i wygłosiła *sloki*, jakimi błagała asoki błędząca po lesie Damajanti. Wiersze owe w jej ustach nabrzmiały nową poezją i rozpleniły się bujniej, niż latorośle w żyźniejszy grunt przesadzone.

O wy, które beztroskich nosicie imiona,

O wy, którym serca ukojność jest dana...

Użyczcież pokoju sercu biednej dziewczyny!

Kwietnemi oczyma patrzące i liści mówiące poszumem

Powiedzcież, gdzie pan mego serca, gdzie Nal mój przebywa jedyny...

Spojrzała na mnie miłośnicie, łzy w jej oczach zalśniły w świetle księżyca i rzekła drżącymi wargami:

- Gdy będziesz daleko od miejsca, gdzieśmy byli szczęśliwi, wspomnij, że stoję tu oto i modłę się do drzewa asoki, twoje jeno miast Nala wymawiając imię.

Otoczyłem ją ramieniem i zamknęłem usta pocałunkiem.

W tej chwili zaszumiało w koronie drzewa i szkarłatny kwiat spłynął na nasze zbliżone do siebie twarze. Vasitthi wzięła go w rękę, ucałowała i podała mi, ja zaś ukryłem go na piersi swojej. W alei leżało na ziemi sporo kwiatów. Medini, siedząca na ławce obok Somadatty wstała i, podniósłszy złocisty kwiat w górę, powiedziała, zbliżając się ku nam:

- Patrz siostrzo! Kwiaty zaczynają już opadać, niedługo będziesz się mogła w nich wykapać.

- Vasitthi, - ozwał się mój żartobliwy przyjaciel - nie powinna używać do kąpieli kwiatów żółtych, jeśli ciało jej kwitnąć ma jak jej miłość, ale same jeno szkarłatne, jak ów kwiat, który Kamanita dopiero co ukrył na piersiach. W księdze miłości napisano: miłość, która się rodzi i przemija, posiada barwę szafranową, szkarłatną natomiast jest barwa miłości, którą widzą wszyscy i która nie kończy się nigdy.

Roześmiali się oboje z Medini wesoło, a Vasitthi odparła poważnie, ale uśmiechała się przytem, ściskając dłoń moją:

- Mylisz się, drogi Somadatto. Moja miłość nie posiada barwy kwiatu. Słyszałam, że miłość prawdziwa nie jest czerwona, ale czarna, jak czarna stała się szyja Sziwy, kiedy ten bóg połknął truciznę, od której zginąć miały wszystkie stworzenia świata. Tak się dzieć winno, nawet trucizna nie może być straszną miłości prawdziwej i ochotnie ją przyjąć winna, by ocalić ukochanego. Stąd też barwę swą czerpie raczej z rzeczy ponurych niżli radosnych.

Tak mówiła onej nocy umiłowana moja Vasitthi, stojąc pod rozkwitłymi drzewami beztroski.

VII.

W CZELUŚCI.

Pielgrzym, do żywego poruszony wspomnieniami, zamilkł na chwilę, przetarł dłonią czoło, westchnął, a potem ciągnął dalej.

W czasie owym żyłem, drogi bracie, w nastroju tak radosnym, że niemal stopami nie tykał ziemi i śmiałem się głośno, słysząc, że ktoś zwie świat ten padołem płaczu i wysiła swe myśli i pragnienia, by nie odrodzić się ponownie pośród ludzi.

- Cóż to za cymbał, Somadatto drogi! - zawołałem. - Czyż istnieje w wszechświecie miejsce równie błogosławione jak „Terasa Beztróski”?

Niestety, pod terasą była czeluszka.

Właśnie zeszedliśmy w nią, kiedym wydał powyższy okrzyk i zaraz przekonałem się, że szczęśliwość ludzka zaprawiona bywa goryczą, bo w tejże samej chwili napadło na nas kilku zbrojnych ludzi. Z powodu ciemności nie mogliśmy zobaczyć ilu ich jest, ale na szczęście plecy osłaniała nam skała i, upewnieni, że tylko z przodu niebezpieczeństwo zagraża, zaczęliśmy walczyć w obronie życia i miłości naszej. Zaciąwszy zęby, w milczeniu głębokim, odpieraliśmy i zadawaliśmy ciosy, zaś przeciwnicy wyli niby wilcy, zagrzewając się do męstwa, a z głosów tych wywnioskowaliśmy, że jest ich ośmiu lub dziesięciu. Mimo sprawności w robieniu bronią, sytuacja nasza była groźną, ale niebawem kilku napastników legło na ziemi, a ciała ich przeszkadzały innym, bali się bowiem upaść i narazić na rany naszych mieczy. Cofnęli się widocznie kilka kroków, gdyż nie czuliśmy już na twarzach ich gorącego oddechu.

Szepnąłem Somadacie kilka słów i usunęliśmy się trochę w bok w nadziei, że napastnicy uczynią wypad na dawne stanowisko nasze i potrzaskają miecze o skałę, my zaś natrzemy na nich z flanki. Mimo, że postępowaliśmy ostrożnie, zdradzić nas musiał szelest, gdyż spodziewany atak nie nastąpił, natomiast ujrzałem cienki snop światła snujący się po skale. Był to błysk ślepej latarki, przy której dostrzegłem wielki brodawkowaty nos i parę oczu.

Miałem pod ręką drąg bambusowy, który nam służył do zejścia na dół, przeto chwyciłem go lewą dłonią i pchnąłem silnie w tym kierunku. Rozległ się krzyk, światło zgasło, a latarka roztrzaskała się o kamienie. Wszystko to świadczyło, że trafiłem gdzie trzeba, to też

korzystając z tej chwili zamieszania, zaczęliśmy co tchu uciekać w kierunku skąd przybyliśmy. Wiedzieliśmy, że czeluść zwięza się tu i ściany jej obniżają jednocześnie tak, iż z jakimś trudem można się wspiąć na wierzch. Szczęściem to było dla nas, że napastnicy zaniechali zaraz pogoni po ciemku, gdyż w chwili wdrapywania się po stromej ścianie opuściły mnie siły i uczulem, iż broczę krwią z licznych ran. Przyjaciół mój był również ranny, jeno lżej nieco.

Znalazszy się na górze, pocięliśmy odzież i przewiązaliśmy jako tako rany, a potem wspierając się wzajem, dowlekliśmy się do domu, gdzie kilka tygodni musiałem przeleżeć w łóżku.

Nękało mnie potrójne cierpienie. Rany i gorączka trawiły moje ciało, tęsknota za ukochaną gryzła duszę, a w dodatku drżałem o jej własne życie. Delikatna, wrażliwa istota przerażona była napaścią, otrzymawszy w dodatku wieść, że odniosłem ciężkie rany, nie mogła znieść tego i zapadła poważnie na zdrowiu. Wierna siostra mleczna krążyła jednak od łóżka do łóżka i dzięki jej nie brakło nam wieści, ani porozumienia myślowego. Kwiaty stały się pośrednikami, że zaś oboje byliśmy biegli w mowie kwiatów, zwierzałyśmy się sobie przez nie z wielu obchodzących nas żywo rzeczy. Gdy potem odzyskaliśmy po trochu siły, zaczęły przechodzić z ręki do ręki misterne wierszyki i sytuację nazwaćby było można wcale znośną, gdyby nie to, że wraz z powrotem zdrowia (co u obojga postępowało równym krokiem), stawał przed nami problem przyszłości i napępiał serca nasze troską i smutkiem niemałym.

Dowiedzieliśmy się niebawem, kto spowodował ów napad nocny. Syn ministra, który walczył ze mną w parku o piłkę Vasiłthi, najął morderców i nasłał ich na mnie podstępnie. On to był, szatański, przeklęty Satagira. Spostrzegł, że po odjeździe poselstwa zostałem w mieście, a powziąwszy podejrzenie, wyszedł me nocne wizyty na terasie.

Zapadła się w fale nasza wyspa szczęśliwości. Ale choćbym nawet zdecydował się narażać codziennie życie swe, by objąć w ramiona kochankę i choćby Vasiłthi zgodziła się była na to, bym przybywał na terasę, myśli tej nie można było w czyn wprowadzić. Szatański Satagira widocznie zawiadomił rodziców Vasiłthi o schadzkach nocnych, gdyż pilnowano jej odtąd bacznie i, pod pozorem nadwątlonego jeszcze zdrowia, zabroniono wychodzić na terasę po zachodzie słońca.

Miłość nasza straciła punkt oparcia. Mimo iż miłość chętnie ukrywa się przed światem, nie mieliśmy innego wyjścia jak spotykać się w owym parku publicznym, gdzie po raz pierwszy ujrzałem boską jej postać, a potem szukałem daremnie. Ale czemuż nam to było. Kradzione minuty, trwożne, szybkie słowa, wymuszone ruchy i ciągły strach przed ciekawymi, śledzącymi nas może nawet spojrzeniami. Vasiłthi zaklinała mnie, bym opuścił

miasto, gdzie mi z jej przyczyny ciągle zagraża niebezpieczeństwo. Czyniła sobie gorzkie wyrzuty, że owej pierwszej, niezapomnianej nocy uparła się i zmusiła mnie do pozostania w Kosambi, przez co omal nie wpadłem w otchłań śmierci, i drżała na myśl, że w każdej chwili zginąć mogę z ręki skrytobójcy. Jeśli nie wyjadę niezwłocznie, mówiła, to uczynię ją morderczynią kochanka. Wypowiadając te słowa, szlochała z cicha, a ja wystawiony na ludzkie spojrzenia, stać musiałem spokojnie, nie mogąc jej utulić w ramionach i zcałować z policzków rześzystych łez, toczących się strumieniem. Oświadczyłem, że pojedę, ale, nie godząc się na takie pożegnanie, chcę mieć z nią ostatnią schadznię za wszelką cenę.

Nadeszło właśnie kilka osób, Vasitthi spojrzała na mnie jeno błagalnie, ale to nie zdołało zachwiać mem postanowieniem. Sposób dokonania tego pozostawiłem ukochanej, ufając, że pod wpływem tęsknoty, oraz obawy o mnie potrafi przy pomocy chytrej i w sprawach miłosnych bieglej Medini obmyśleć sposób wyjścia. Nie zawiodłem się, albowiem tejże jeszcze nocy zawiadomił mnie Somadatta o powziętym i ułożonym szczegółowo planie.

VIII.

PAK RAJSKIEGO KWIATU.

Tuż pod murami miasta Kosambi, po stronie wschodniej, znajduje się piękny lasek sinsapowy, będący właściwie świętym gajem, a świątynia, co prawda w smutnym już dzisiaj stanie, widnieje na małej polance. Od dawna nikt nie składa ofiar Krysznie w prastarej świątyni, albowiem bogu temu wybudowano olbrzymi tum w mieście, nakryty wspaniałą kopułą. W rozwalinie zamieszkały sowy, oraz pewna kobieta, utrzymująca pono stosunki z duchami, które jej pozwalały przenikać przyszłość. Było to dla niej źródłem dochodu, gdyż za pewną opłatą prorokowała ludziom co ich czeka. Nie brakło nigdy ciekawych, schodzili się do niej po zachodzie słońca, a zwłaszcza pełno tam bywało par zakochanych, tak że złośliwi twierdzili, jakoby owa kobieta zajmowała się raczej stręczeniem, niżli świętobliwością. Nie wchodząc w istotę rzeczy, obraliśmy starożytną świątynkę za miejsce spotkania naszego, gdyż było nam to bardzo na rękę.

Następnego dnia wyruszyłem z moją karawaną z miasta i to w porze, kiedy ludzie udawali się po zakupy, lub do sądu, wybierając z rozmysłem najludniejsze ulice, tak że odjazd mój nie mógł pozostać tajemnicą dla zwolenników Satagiry. Po kilku godzinach marszu, zatrzymaliśmy się jednak w pewnej wsi i tam, ku wielkiemu zadowoleniu mych ludzi kazałem rozłożyć obozowisko na noc. Sam dosiadłem świeżego konia i okryty ciemnym płaszczem jednego ze służby zawróciłem o zachodzie słońca do Kosambi.

Noc była już zupełna, gdym dotarł do lasu sinsapowego. Wjeżdżając ostrożnie w gęstwę, poczułem rozkoszny zapach lotosów nocnych na stawie, poświęconym Krysznie, i niebawem ukazał się oczom moim, najeżony na poły rozpadłymi posążkami bogów dach świątyni, rysujący się ostro na tle gwiazdzonego nieba. Zsiadłszy z konia, znalazłem się pośród przyjaciół moich, a Vasitthi rzuciła się z okrzykiem radości w moje ramiona. Całowaliśmy się, tulili do siebie, szeptali w zachwycie i zamieniali przysięgi miłosne, a z tego upojenia zbudziło mnie muśnięcie szuwaru po twarzy, wrzask przelatującej sowy, oraz chrapliwy głos pękniętego dzwonu brązowego.

Medini pociągnęła za sznur zwisający u starego dzwonu modlitewnego i wypłoszyła przez to sowę z niszy. Medini uczyniła to nie tyle w celu przywołania wróżychy, ile dlatego,

iz stara ukazała się właśnie w progu świątyni zła niewymownie, bowiem nikt nie wzywał jej dotąd, ani kołatanem, ani dzwonieniem, jak to było w zwyczaju.

Medini powiedziała staruszce, że wielka sława świętości, jaką posiada, skłoniła ją i tego młodzieńca... tu wskazała na Somadattę... do zasięgnięcia jej rady w sprawach utajonych przed ludźmi, zaś wróżycha podniosła oczy w niebo i zapewniła, że bogowie nie odmówią pomocy, albowiem konstelacje znajdują się właśnie w bardzo korzystnym położeniu. Zaprosiła oboje do wnętrza przybytku Kryszny, szesnastotysięcstkrotnego małżonka, który ochotnie spełnia pragnienia serc kochających. Ja i Vasiłthi zostaliśmy w gaju, zachowując rolę sług przybyłych z państwem swoim.

Nie zdołałem opowiedzieć co teraz nastąpiło, bo chwile te zostały mi w wspomnieniach jako nierozwiązalny chaos. Przysięgaliśmy sobie, że śmierć nas jeno rozdzielić zdoła, zapewniałem, że wrócę po ukończonej porze deszczów, potem zaś zastanawialiśmy się, w jaki sposób skłonić rodziców naszych, by dali przyzwolenie na nasz związek. Oczywiście całowaliśmy się i obejmowali nieskończoną ilość razy. Jeśli takich chwil nie przeżyłeś, o czcigodny, to pojąć nie zdołasz, w jak dziwny sposób rozkosz łączyła się w nas z rozpaczą, albowiem każdy uścisk przypominał, że może być ostatnim, może już nawet jest ostatnim w tem życiu.

Po pewnym czasie Medini i Somadatta wyszli z świątyni, a wróżycha chciała i nam wyjawić przyszłość, przeciw czemu jednak zaprotestowała żywo Vasiłthi.

- Nie przeżyłabym złej wróżby! - zawołała.

- Czemuż ma być złą? - zdziwiła się stara, która zapewne z racji swej świętości niejednej milej w życiu doznała przygody. - Wszakże i skromnej parze służących może sprzyjać szczęście! - dodała zachęcająco.

Ale Vasiłthi nie dała się skusić i, łkając, objęła mą szyję.

- O jedyny mój - zawołała. - Czuję doskonale, że przyszłość nasza będzie smutna wielce. Wiem, iż cię nie zobaczę już nigdy na tej ziemi.

Słowa te przejęły mnie dreszczem lodowatym i usiłowałem wyperswadować kochance nieuzasadnioną obawę. Dlatego jednak może właśnie, iż była nieuzasadniona, słowa me pozostały bez skutku. Łzy spływały po licach Vasiłthi, patrzyła na mnie miłośnie i tuliła do piersi ręce moje.

- Życie nas rozdzieli! - zapewniała. - Ale mimo to pozostaniemy sobie wiernymi i ujrzymy się w raj, gdzie zostaniemy połączeni na zawsze! O Kamanito, przysięż mi to, a doznam większej otuchy, niż zdolne są mi dać twe najgorętsze słowa. Słowa są bezsilne wobec nadpływającej już fali losu, jak szuwały wobec zalewu, natomiast wszechpotężna jest

wola, rodząca nowe życie, niezłomnym jest postanowienie.

- Jeśli o to jeno idzie, droga Vasitthi, - odparłem - znajdę cię wszędzie. Po cóż jednak myśleć o życiu innym, skoro jeszcze w tem spotkać się możemy i spotkamy...

- Tu, na ziemi wszystko jest niepewne i nawet moment, w którym rozmawiamy, nie jest naszą bezsporną własnością. Zgoła inaczej rzecz się ma w raju...

- Ach! - westchnąłem - droga Vasitthi, więc raj istnieje? W którejż go szukać stronie?

- Tam gdzie zachodzi słońce - odrzekła z pełną wiarą - istnieje raj niezgłębionego szczęścia, nieogarniętego światła i każdy się tam odrodzi na łonie lotosu, o ile ma odwagę pogardzić doczesnością i skierować myśl swoją na owo miejsce zaziemskiego bytowania. Pierwsza chwila tęsknoty za owym rajem, pierwsza czysta myśl i pierwszy dobry czyn sprawiają, że na krystalicznych wodach jeziora pojawia się pąk, który rośnie i pęcznieje w miarę życia dobrego i szlachetnego, kurczy się zaś, maleje i zatapia w miarę złych myśli, słów, czy czynów człowieka. Są one niby robactwo, co podgryza jego łodygę.

Oczy jej błyszczały niby świece, głos zaś brzmiał jak najśłodsza muzyka.

Podniosła dłoń i, wskazując połyskujące ponad czubami drzew gwiazdy drogi mlecznej na tle nieba, zawołała:

- Spójrz, Kamanito! Oto Ganga niebieski. Przysięgnijmy na jego srebrzyste fale, zasilające wodą rajskie jeziora lotosów, że duchy swe kierować będziemy nań przez całe życie w tym celu, by tam przysposobić wiekuiłą ojczyznę miłości naszej.

Porwany jej słowami, wstrząśnięty do głębi, podniosłem rękę i serca nasze zadrżały jednocześnie na myśl, że oto w onej chwili, w niesiężnych dalach wszechświata, kędyś ponad niedolą ziemskiego bytu ukazują się dwa pąki wiekuiłej miłości.

Wyczerpana do reszty Vasitthi padła w me ramiona i zwiła jakby nieżywa, ucałowawszy poprzód, na pożegnanie, usta moje.

Złożyłem ją na łonie Medini, dosiadłem konia i, nie mając odwagi oglądać się poza siebie, odjechałem co prędzej.

IX.

POD ZNAKIEM ZBÓJNIKÓW.

Dostawszy się do wsi, gdzie zostawiłem karawanę na nocnych leżach, zbudziłem ludzi i parę godzin przed wschodem słońca wędrowaliśmy w kierunku południowym.

W ciągu jakichś dni dwunastu nie zaszło nic szczególnego. Pod koniec tegoż dnia, znaleźliśmy się w rozkosznej dolince lesistych okolic Vedisy. Czysty potoczek wił się poprzez zielone łąki, a na lekkim wzgórzu stało potężne drzewo *nyagrodha*, którego ogromna, gęsta, nieprzenikniona dla światła korona rzucała czarny cień na murawę, zaś liczne konary przybyszowe, wrosnięte w ziemię, tworzyły niby cały las, gdzie nie jedna, ale dziesięć karawan jak moja, wygodne mogły znaleźć schronienie.

Miejsce owo zauważyłem już, jadąc w stronę Kosambi, i z góry obrałem na spoczynek w drodze powrotnej. Kazałem się tedy zatrzymać i wyprząc woły, które z wielką lubością weszły w fale, napiły się orzeźwiającej wody, a potem zaczęły sycić się szmaragdową trawą wybrzeża. Ludzie, odświeżeni również kąpielą zgromadzili gałęzie na ognisko dla zgotowania posiłku, ja zaś po wykąpaniu ułożyłem się pośród korzeni pnia głównego i zatonąłem w marzeniach o Vasitthi, potem zaś zasnąłem smacznie.

Wtem krzyk straszliwy przywiódł mi przed oczy ponurą, zaiste, rzeczywistość. Wokoło nas roili się ludzie, jakby czarami z pod ziemi wyrosli, a z pobliskich krzaków wynurzało się ich coraz więcej. Rzucili się na wozy ustawione w półkole i na ludzi moich, którzy uzbrojeni dobrze i wprawni w władaniu orężem, bronili się dzielnie. Pospieszyłem im z pomocą i położyłem znaczną liczbę napastników trupem. Nagle ujrzałem przed sobą straszliwą postać. Piersi i plecy zbója były obnażone, na szyi zaś widniał potrójny naszyjnik z ludzkich palców. Po raz pierwszy tedy w życiu ujrzałem potężnego przywódcę bandy zbójnickiej, Angulimalę, owego srogiego, krwiożerczego potwora, który niszczył wsie, miasta i kraje całe, mordował ludzi i z wielkich ich palców robił sobie naszyjniki. Pewny byłem, że wybiła ostatnia moja godzina.

Potwór wytrącił mi jednym ciosem miecz z dłoni, czego nie mógł chyba uczynić żaden zwykły człowiek, i niebawem ległem na ziemi z spętanymi rękami i nogami. Ludzie moi padli wszyscy trupem z wyjątkiem starego sługi, który dostał się, jak ja, do niewoli, nie odniósłszy

ran. Napastnicy po zwycięstwie raczyli się pod olbrzymim drzewem hojnie naszymi zapasami.

Angulimala zdarł mi z piersi ów kryształowy łańcuszek z okiem tygrysa, który mi matka zawiesiła na szyi przed odjazdem jako amulet, boleśniej jeszcze atoli odczułem stratę szkarłatnego kwiatu asoki, który nosiłem od owej pamiętnej nocy na sercu. Rozejrzawszy się wkoło, dostrzegłem go w trawie w tym właśnie miejscu, gdzie uwijali się najmłodszy z bandy, przyrządzając ucztę z mięsa zarżniętej pospiesznie krowy i znosząc pękate flaszki z wódką. Kwiat podobny był małemu płomyczkowi, ale zniknął z wolna pod brudnymi stopami zbójców, wdeptywany w ziemię, tak że niebawem straciłem go całkiem z oczu. Rozmyślałem nad tem, że może moja Vasiṭṭhi stoi w tej chwili pod koroną drzewa na terasie i pyta o mnie. Jakże dobrze, iż drzewo nie może jej powiedzieć co się ze mną dzieje, gdyż ze strachu niezawodnie wyzionęłaby ducha, ujrawszy mnie w takim otoczeniu.

W oddaleniu kilkunastu kroków ode mnie zabawiał się straszliwy Angulimala wraz z swymi powiernikami. Flaszka krążyła ciągle, twarze biesiadników stawały się coraz to czerwieńsze, a słowa ich gwałtowne, tak że w końcu doszło do zwady. Jeden tylko człowiek, o którym powiem potem, pozostał spokojnym.

Nie znałem jeszcze wówczas zbójckiego języka. Widać stąd jak źle oceniamy, które wiadomości są nam najużyteczniejsze. Radbym był bardzo rozumieć ową mowę, gdyż wątpliwości nie ulegało, że o mnie właśnie sprzeczał się zbójcy. Wnioskowałem o tem z min i ruchów, a zwłaszcza z płomiennych spojrzeń, jakie z pod krzaczastych brwi rzucał na mnie przywódca, na którego piersi kosmatej połyskał w tej chwili mój amulet, mający dawać osłonę przed złem spojrzeniem. Dowiedziałem się później, iż wzbudziłem jego nienawiść przez zabicie ulubieńca jego, najlepszego wojownika całej bandy, i dlatego mnie jeno nie kazał od razu zamordować, by zemstę swą nasycić widokiem powolnej śmierci na torturach, jakim mnie poddać zamierzył.

Inni nie chcieli się atoli zgodzić, by w ten sposób utracić bogaty okup, który był wspólną wszystkich własnością. Najsilniej oponował pewien człowiek, wyglądający na kapłana, posiadający łysą, czy ogoloną głowę i on jeden umiał poskramiać dzikiego Angulimalę. Jego to jedynie twarz pozostała bladą przez cały ciąg uczt. Po długim oporze, podczas którego herszt bandy kilka razy zrywał się z siedzenia i chwycił miecz, zwyciężył na moje szczęście zawodowy pogład na rzecz.

Banda Angulimali składała się z tak zwanych „okupników”, a regułą zasadniczą było u nich wysyłanie jednego z dwu pojmanych jeńców, w celu przyniesienia okupu. W razie schwymania ojca i syna posyłano ojca po okup dla syna, z dwu braci wysyłano starszego, gdy

wpadł im w ręce mistrz i uczeń, posyłali ucznia, gdy zaś pan i sługa, tedy sługa musiał iść po okup dla pana swego. Dlatego to zwali się „okupnikami”. Z powyższych względów zostawili przy życiu starego sługę mego ojca, a wymordowali resztę ludzi karawany. Starzec był jeszcze rzeński, a przy tem sprytny i obrotny, tak że nieraz sam prowadził karawanę z towarami.

Zdjęto mu więzy i wysłano tegoż jeszcze wieczoru, przed odejściem udzieliłem mu poufnego zlecenia, po którym rodzice poznać mieli, że mówi prawdę, zaś Angulimala doręczył mu liść palmowy z wrytym znakiem. Był to rodzaj glejtu, chroniącego wysłańca przed innymi rozbójnikami, gdy będzie w drodze powrotnej wioził znaczną kwotę okupu. Nazwisko Angulimali wzbudzało taki postrach, że żaden zbójca, ten nawet, który rzucał się na konwój, wiozący podarki królewskie, nie ważyłby się tknąć jego własności.

I mnie uwolniono niebawem, gdyż trudno było przypuszczać, bym się miał narażać na daremną próbę ucieczki. Pierwszą rzeczą, jaką uczyniłem, odzyskawszy wolność, było, iż pospieszyłem ku miejscu, gdzie leżał kwiat asoki. Niestety, nie znalazłem ani jednego barwnego płatka. Brutalne stopy zbrodniarzy zmieniły delikatny płomyk kwietny w miazgę nie do poznania. Czyż miał to być znak złowrózby, że to samo spotka szczęście nasze?

Zażywałem pewnej swobody pośród niebezpiecznej kompanji, która oczekiwała okupu, mogącego nadejść za jakieś dwa miesiące.

Nastąpiła właśnie bezksiężycowa połowa miesiąca, to też rozboje i kradzieże były na porządku dziennym. Czas ten poświęcony był straszliwej bogini Kali i przeznaczono go na pracę zawodową, tak że co nocy banda napadała kogoś, lub włamywała się do zagród i domów. Często plondrowano całe wsi. Piętnastej nocy, czasu ostatniej kwadry księżyca, urządzono wspaniały obrzęd ku czci okrutnej bogini. Przebijano przed jej posągiem nie tylko mnóstwo wołów i czarnych owiec, ale także zamordowano kilkunastu jeńców. Stawiano tych nieszczęsnych przed ołtarzem i otwierano im tętnice, tak że krew tryskała prosto w potworne, rozwarte usta obwieszonych czaszkami ludzkimi postaci. Potem zaczęła się dzika orgja, podczas której bandyci pili aż do zupełnej nieprzytomności, oraz zabawiali się z bajaderami, które w tym celu, w sposób zuchwały porwano z pewnej wielkiej świątyni. Angulimala stał się wspaniałomyślnym pod wpływem napitku i uszczęśliwił mnie również piękną młodą dziewczyną. Wspomniawszy ukochaną Vasisithi, odrzuciłem ofertę, a bajadera wybuchła wobec tej hańby gorzkimi łzami. Zbójca uczuł się dotkniętym do żywego, zerwał się i byłby mnie na miejscu zamordował, gdyby nie ów łysogłowy kapłan, który wyrzekł parę słów tajemniczych. Na ich dźwięk opadło ramię zbója i usiadł na nowo do uczyty, poskromiony i obezwładniony.

Ów dziwny człowiek, który mi oto po raz drugi uratował życie, był synem bramina. Nie przeszkadzało mu to jednak przywozić uroczystościom ku czci potwornej Kali i plugawic rąk krwią ofiar. Urodzony pod zbójnicką konstelacją, jął się tego rzemiosła i zrazu wstąpił do bandy „morderców”, ale po namyśle, powodowany względami filozoficznymi, przeszedł do „okupników”. Z domu rodzicielskiego wyniósł skłonność do religijnych dociekań, oraz naukowych badań. W bandzie Angulimali pełnił funkcje ofiarnika-kapłana, a bezprzykładne szczęście, towarzyszące stale bandzie, przypisywano na równi uczoneści jego, jak i męstwu przywódcy. Zaslugą jego było, że zbójnictwo ujął w pewnego rodzaju system filozoficzny, w pewien systemat, zarówno pod względem technicznym, jak i moralnym. Spostrzegłem ze zdziwieniem niemałym, iż zbójcy posiadają pewne ugruntowane silnie podstawy moralne i że nie czynią rzeczy, któreby z nimi stały w sprzeczności. Z tego też zapewne powodu nie uważali się oni za gorszych od innych ludzi.

Wykłady mistrza owej przedziwnej wiedzy odbywały się zazwyczaj w księżycowej połowie miesiąca, kiedy to, pominąwszy dorywcze rozboje, praca zawodowa ustawała. Słuchacze siadywali gęstymi rzędami półkolem w kucki na polanie leśnej, zaś czcigodny Vajasrawa pośrodku na skrzyżowanych nogach. Potężna jego, bezwłosa czaszka połyskiwała w świetle, a cała postać przypominała wedyckiego nauczyciela, wtajemniczającego członków leśnej pustelni w arkana wiedzy. Wrażenie mąciły jeno dzikie, zbójcekie twarze uczniów, nie mające z świętością nic wspólnego. Widzę do dziś owe zgromadzenia niesłychane, słyszę, zda mi się, poszum olbrzymiego boru, dolata mnie ryk tygrysa i zachrypty poszczek pantery. Poprzez odgłosy te płynęły spokojne, miarowe słowa Vajasrawy, tętniące, wyraźne, których głębokie brzmienie było dziedzictwem niezliczonych pokoleń udgatarów, śpiewaków wedyckich pieśni ofiarnych.

Dopuszczano mnie do prelekcji owych, gdyż Vajasrawa powziął ku mnie pewną sympatię. Twierdził nawet, że urodziłem się pod zbójnicką konstelacją, i że przyłączę się w swoim czasie do sług bogini Kali, to też uznał za potrzebne, bym słuchał jego nauki, która rozbudzi drzemiące skłonności.

Dowiedziałem się przeto mnóstwa ciekawych rzeczy o rozmaitych sektach bogini Kali, zwanych powszechnie rzezimieszkami i zbójcami, oraz o ich przeróżnych zwyczajach i obyczajach. Niezwykle pouczające i niezwykle były tematy czcigodnego mistrza. Oto niektóre z nich dla przykładu: - *O użyteczności wszetecznic dla wprowadzania w błąd policji.* - *O znamionach przekupności u wyższych i niższych urzędników, oraz wysokości sum potrzebnych.* - Do szczytu sprytu i znajomości człowieka, oraz niesłychanej logiki wniosowania doprowadził nauczyciel w rozprawie na temat: - *W jaki sposób i czemu lotrzyk*

poznaje łotrzyka na pierwszy rzut oka, zaś nie czynią tego ludzie uczciwi, oraz jakie korzyści stąd płynąć mogą. - Podobnie świetną była prelekcja na temat: - *O głupocie strażników nocnych w ogóle. Interesujące wskazówki dla początkujących.* - Podczas tych wszystkich wykładów tętniła omrocz leśna śmiechem tak ochoczym, że zbiegano się zewsząd do obozowiska, pytając co się stało.

Również i czysto techniczne, fachowe zagadnienia umiał niezrównany mistrz przedstawiać słuchaczom w sposób pociągający, to też nie zapomnę nigdy jak pouczał, w jaki sposób wyłamywać bez hałasu ścianę, lub robić podkopy w sposób odpowiedni. Dawał lekcje poglądowe należytego sporządzania różnego rodzaju narzędzi do włamań, a zwłaszcza tak zwanego „węzgo pyska” i nożyc w kształcie szczypców raka, potem zaś uczył jak stosować cichą muzykę, by wy badać, czy mieszkańcy czuwają, oraz manekina w kształcie zrobionej z drzewa głowy, który wystawiony przez drzwi, lub okno daje poznać, zali rzekomy napastnik został spostrzeżony czy nie. Wszystko to demonstrował nauczyciel w sposób bardzo praktyczny i łatwy, przejawiając wielki talent pedagogiczny. Po tej lekcji technicznej następowały dalsze wywody. Vajasrawa dowodził, że podczas włamania należy koniecznie zgładzić wszystkich, którzyby mogli potem świadczyć na niekorzyść, a także, uzasadniał tezę, iż złoczyńca wolnym być winien od szablonowej moralności mieszczuchów, zachowując charakter szorstki, srogi, popędliwy, gwałtowny, a ponadto zamiłowanym być jeno w pijaństwie i wszeteczności. Wykłady te zaliczyć muszę, zaprawdę, do najgenialniejszych, jakie słyszałem.

Aby ci, o czcigodny, dać należyte wyobrażenie i głębi onego ducha, zacytuję kilka ustępów z jego komentarza do prastarych *sutrów* bogini Kali, stanowiących wiedzę tajemną rozbójników. Komentarz ów posiadał wśród nich dostojeństwo kanonu.

X.

WIEDZA TAJEMNA.

Sutram 476. brzmi: *SĄDZICIE, ŻE I BOSKIE?... NIE... NIEODPOWIEDZIALNOŚĆ... Z POWODU PRZESTRZENI, PISMA I TRADYCJI!*

Czcigodny Vajasrawa komentuje tekst w sposób następujący:

„*Sądzicie że i boskie?...* to znaczy, kary, albowiem w poprzednich *sutrach* była mowa o karach, jakie wymierza władza, albo panujący, a mianowicie:

Okaleczenie nosa, rąk, nóg, kocioł z wrzątkiem, wieniec smolny, paszcza smocza, bieganie pod różgami, kozioł męczeński, wkraplanie gorącego oleju, ścięcie, rozdarcie przez psy, wbijanie żywcem na pal.

Wszystko to przemawiało za tem, że zbójca winien uniknąć schwywania, a w razie, gdy nastąpi, winien starać się umknąć z niewoli.

Niektórzy sądzą, że zbójcom zagrażają również kary boskie. Otóż *sutram* ów powiada: *nie...* a to z powodu... *nieodpowiedzialności*, która udowodniona jest w trojaki sposób, mianowicie przez filozofję, Wedy i pieśni bohaterskie.

„*Z powodu przestrzeni...*” Słowa te zawierają następującą naukę filozoficzną: Jeśli odcinam głowę zwierzęciu, czy człowiekowi, to miecz mój przesuwają się tylko pomiędzy niepodzielnymi cząstkami ciała, gdyż nie może ich, z powodu niepodzielności, naruszyć. Przecina on tedy jeno pustą przestrzeń jaka się pomiędzy nimi znajduje. Pustej przestrzeni, z racji tejże jej pustości, żadnej krzywdy uczynić nie sposób, bowiem szkodzić temu, czego nie ma, znaczy nie szkodzić wcale. Przecinając pustkę, nie można ściągnąć za ten czyn żadnej na siebie odpowiedzialności, wobec czego kara boska miejsca mieć nie może. Jeśli tak się rzecz ma z zabójstwem, to podobnie być musi z innymi czynami zbójczymi, za które ludzie wymierzają kary łagodniejsze.

Tyle powiada rozum. A teraz cóż mówi Pismo? Święte Wedy uczą, iż jedyną istnością rzeczywistą i realną, jednym zarazem bóstwem jest... *Brahman*. Jeśli zaś tak jest, to wszelkie zabójstwo polega wyłącznie na złudzeniu. Wypowiada to niedwuznacznie Weda w miejscu, gdzie bóg śmierci Jama poucza młodego Nasiketę o znaczeniu owego tekstu, mówiąc:

*Kto zabijając sądzi, że zabija,
Kto zabitym będąc, sądzi że umiera,
Błądzi zaprawdę straszliwie!
Kto zabił bowiem nie zabił, a zabitego skon nie dosięga.*

Owa niezmiernie głęboka prawda przedstawiona jest w sposób bardziej jeszcze przekonywający

W pieśni bohaterskiej o Krysznie i Arjunie. Kryszna, sam przez się odwieczny, nieprzemijający, wiekuisty, wszechpotężny i niewyobrażalny jest istotą najwyższą, bóstwem najdostojniejszym, które dla dobra ludzi postanowiło wcielić się na ziemi w człowieczą postać. Otóż pod koniec swego pobytu na ziemi Kryszna pomagał królowi Panduingów, wielkodusznemu Arjunie, w wojnie z Kuruingami, którzy wyrządzili mu i braciom jego wielką krzywdę. Oba wojska stały naprzeciw siebie w szyku bojowym, z bronią gotową do walki, a w tejże chwili spostrzegł Arjuna po stronie przeciwnej wielu krewnych swych, dawnych przyjaciół i powinowatych, albowiem Panduingi i Kuruingi byli to potomkowie dwu rodzonych braci. Arjuna doznał wzruszenia w sercu swoim i nie mógł się zdobyć na to, by dać hasło do boju, gdyż nie chciał zabijać bliskich swoich. Stał na bojowym wozie z spuszczoną głową, trawiony bolesnem wahaniem, nie wiedząc co czynić, a obok bóg Kryszna, będący woźnicą jego. Kryszna odgadł myśli bohaterskiego księcia Pandawów, wskazał, uśmiechając się, oba wojska i pouczył go, iż stworzenia owe pozornie jeno rodzą się i giną, gdyż istotę ich realną stanowi to, co nie przemija, czego narodziny ni śmierć tknąć nie są wstanie.

*Kto sądzi, że mordercę widzi w drugim czleku,
Kto mniema, iż od miecza zginął ktoś na świecie,
Nic nie wie ten zaiste, co jest śmierć i życie,
Boviem ani morderstwa, ani śmierci nie ma!
Dawaj hasło do boju bratniego, Arjuno!*

Pouczony w ten sposób wódz Pandawów dał hasło do boju i wygrał straszliwą bitwę, a wcielony w postać ludzką najwyższy bóg, Kryszna, uczynił z płytkiego i miękkiego człowieka, jakim był Arjuna, mędrca, sięgającego do istoty rzeczy i bohatera o stalowem sercu.

Prawdą jest tedy jedynie co następuje:

Cokolwiekby ktoś uczynił, lub kazał uczynić, cokolwiekby zniweczył, lub polecił zniweczyć, cokolwiekby pobił, lub pobić rozkazał, ile razy zabija żywe stwory, ile razy bierze rzeczy nie dawane przez innych, ile razy włamuje się do domów, rabując cudze mienie, słowem, gdy ktoś dopuszcza się jednego z pomiędzy tych czynów, czy dokonywa ich razem, nie bierze winy na duszę swoją.

Ktoby wyostrzył narzędzie bojowe i zmienił wszystko co żyje na tym świecie w jedną krwawą miazgę, nie bierze przeto winy na duszę swoją, bowiem nie czyni nic złego.

A ktoby szedł po południowym brzegu Gangi, niszcząc i mordując, nie bierze winy na duszę swoją - a ktoby szedł po północnym brzegu Gangi, rozdając dary i czyniąc dobrze, nie bierze zasługi za czyny swoje... Łagodnością, dobrocią i miłością nie zyskuje człowiek żadnej zasługi, bowiem nie czyni nic dobrego.

Następuje przedziwne i straszliwe zarazem

Sutram 477,

które w piorunowym swym skrócie brzmi:

„Przeciwnie... on zjadacz”.

Sens tych niewielu, okrytych głęboką tajemnicą słów, objaśnia nam czcigodny Vajasrawa w ten sposób:

Nie tylko nie grozi żadna kara boska rozbójnikowi, ani mordercy, ale *przeciwnie*, ma miejsce rzecz wprost odmienna, mianowicie upodobnienie się bogu, jak to widać z tekstu Wedy, gdzie najwyższy bóg czczony jest pod nazwą: *zjadacza*, który

Wojownika i bramina jako chleb spożywa,

Zapijając czarną polewką śmierci.

Świat bierze swój początek w boskim pierwiastku zwanym - *Brahman*, a w tymże samym pierwiastku leży jego koniec. Brahma wydaje z siebie istoty i wchłania je w siebie z powrotem. Bóg jest tedy nie tylko „Stworzycielem”, ale również „Niszczycielem” istot, z których tekst wymienia, raczej tytułem przykładu, dwie pierwsze najwyższe kasty. Na innym miejscu czytamy też:

Ja zjadam wszystkich, mnie nikt nie spożywa...

Słowa te wyrzekł sam najwyższy bóg do chłopca Medhatithi, unosząc go w postaci barana w zaświaty. Rozgniewany nagłym porwaniem, domagał się chłopiec, by mu

powiedziano, kto go porywa.

- Powiedz mi, kim jesteś! - zawołał. - Inaczej jako bramin tknę cię gniewem moim!

Na to odsłonił mu capiokształty istotę swoją i wyjawiał, iż jest owym obejmującym wszystko pierwiastkiem - *Brahman*, a uczynił to następującymi słowy:

*Któżli zabija, albo któż porywa?
Któż jest baranem, który cię unosi?
Tom ja, w postaci ukryty zwierzęcia,
Jam to, co kształty na się wszystkie bierze!*

*Ktokolwiek boi się, ktokolwiek trwoży,
Ja się w nim boję i ja budzę trwożę,
Lecz w dostojenstwie duża jest różnica,
Ja zjadam wszystkich, mnie nikt nie spożywa...*

*Któżli mnie poznać, kto objaśnić może?
Wrogim pokonał, mnie nikt nie pokona!*

Najgłupszy nawet człowiek zrozumie chyba jasno, że upodobnienie do Brahmana nie może polegać na tem, by zostać pokonanym i zjedzonym, coby miało wówczas miejsce, gdyby łagodność i zaparcie były rzeczami dobrymi i wskazanymi. Przeciwnie, upodobnienie owe polega na pokonaniu i zjedzeniu innych, to znaczy na wykorzystaniu ich i zniszczeniu w ten sposób, by sam zwycięzca nie poniósł szkody.

Nie ulega tedy żadnej kwestji, iż nauka o karach piekielnych na gwałtowników wymyślona została przez słabych w tym celu, by ich chroniła przed napaścią silnych, i zmierza do wprowadzenia w błąd tych ostatnich.

Jeśli nawet Wedy zawierają gdzie niegdzie ustępy tego rodzaju, to należy je uważać za falsyfikaty i dodatki apokryficzne, albowiem stoją w sprzeczności z całokształtem tejże nauki.

Czytamy w Rigwedzie, że chociaż cały świat jest Brahmanem, to bóg uważa człowieka za istotę najbardziej przepojoną pierwiastkiem brahmanu. Z tego wynika w dalszym ciągu, iż z pośród ludzi najbardziej upodobnionym do owego prapierwiastku świata jest właśnie prawdziwy rozbójnik, i jako taki stanowi koronę stworzenia.

Odnosnie do złodzieja, który nie dosięga dostojenstwem rozbójnika, to z uwagi, że Pismo kilka razy podaje za złudę słowa: „Oto jest własność moja” - i piętnuje poczucie własności

jako wielką przeszkodę w świętobliwości i ostatecznego celu człowieka... z uwagi na to, powtarzamy, złodziej, który za zadanie życia wziął sobie codzienne, czynne zwalczanie owej złudy, jest wyobrazicielem najwyższej prawdy. Ale rozbójnik stoi wyżej z powodu swych czynów.

W ten sposób, jak widzimy, udowodniono, że rozbójnik jest najwyższą istotą świata i koroną stworzenia, a sprawa ta, zarówno przez rozum, jak i przez autorytet Pisma raz na zawsze niewzruszalnie załatwiona została.

XI.

TRĄBA SŁONIA.

Dawszy próbkę przedziwnego poglądu na świat owego niezwykłego mędrca, którego nie może dotknąć zarzut (czyniony tylu innym znakomitym myślicielom), iż nie postępował wedle przekonań swoich i nie stosował teorii w praktyce... podejmuję ciąg dalszy opowieści.

Przeżywając niezwykle rzeczy i wtajemniczając się w sprawy nieznanne mi dotąd zgoła, nie zanieczywałem, oczywiście, przyswajając sobie języka rozbójników i czas nie dłużył mi się jakoś wcale. Im bardziej jednak zbliżał się wyznaczony termin, tem większe odczuwałem zamącenie spokoju duszy i nie mogłem opędzić się obawom. Glejt chronił wprawdzie wysłannika przed napaścią rozbójników, bezsilny był atoli wobec tygrysa i wezbranej rzeki, która go mogła porwać, poza tem czyhały nań tysiączne niebezpieczeństwa, mogące udaremnić, lub co najmniej opóźnić powrót. Angulimala rzucał mi ciągle tak złe spojrzenia, że nabrałem przekonania, iż pragnie tego, a pot okrywał moje ciało za każdym razem.

Czcigodny Vajasrawa ułożył z całą systematycznością i uzasadnił z niebłaganą logiką przepisy normujące, co należy uczynić w razie spóźnienia okupu. Dotyczący miał być przecięty na pół pilą, używaną przez drwali, obie zaś części porzucić należało na drodze w ten sposób, by głowa skierowana była w stronę wschodzącego księżyca, zaś reszta tułowia w stronę przeciwną. Pełen niekłamanego podziwu dla naukowości wywodów mego straszliwego przyjaciela, nie mogłem jednak poskromić drżenia mej przepony brzusznej, a przyczyniła się do tego demonstracja naoczna, nie pozostawiająca żadnej wątpliwości. Przyniesiono obrzędową pilę i w moich oczach dwaj srodzy zbóje wprawili ją w ruch, używając wiązki siana za obiekt tej nauki pogładowej.

Vajasrawa zauważył widocznie, że mi się słabo robi, bo przystąpiwszy, poklepał mnie po ramieniu i dodał otuchy trafnym spostrzeżeniem, że przecież nie zostałem jeszcze przerżnięty na dwoje. Zacerpnąłem stąd niejakej nadziei, że w razie biedy ocaliliby mi życie po raz trzeci. Gdym jednak uczynił o tem wzmiankę w wyrazach najwyższej wdzięczności, światły mąż spoważniał i rzekł:

- Prawa Kali są niewzruszalne, mój synu, i jeśli Karma twoja tak się okaże srogą, iż okup spóźni się o pół dnia bodaj, natenczas ni bóg ni szatan nic ci pomoc nie zdoła. Ale nie trać

otuchy. Przeznaczony jesteś do wielu innych rzeczy. Obawiam się raczej, że kiedyś, po pełnem sławy życiu rozbójniczem, zostaniesz ścięty publicznie, lub wbity na pal. Ale do tego daleko jeszcze!

Nie bardzo mnie skrzepiły słowa owe, to też doznałem wielkiej ulgi, gdy wierny nasz sługa przybył na cały tydzień przed terminem, przywożąc wymaganą kwotę. Pożegnałem się z mym strasznym gospodarzem, ale on, pamiętny straty towarzysza, rzucił mi spojrzenie tak krwiożercze, że pewny byłem, iż wolałby mnie przeciąć piłą. Uścisnąłem dłoń czcigodnego mędrca, który miał łzę w oku, a pocieszał się jeno myślą, iż spotkamy się jeszcze na krwawych szlakach okrutnej Kali.

Wyruszyliśmy tedy obaj w towarzystwie czterech rozbójników, którzy odpowiadali głowami za nasze bezpieczne przybycie do Ujjeni. Angulimala, dbający bardzo o swoją cześć rozbójniczą, przyobiecał im na pożegnanie, że jeśli nie odstawią mnie w całości do rodzinnego miasta, wówczas ściągnie z nich skóry i powiesi je na pierwszym rozdrożu. Wiedzieli, iż dotrzymuje słowa, przeto sprawiali się dzielnie, pielęgnowali mnie nader czule i zapewne powrócili do szeregów czcicieli i wyznawców bogini, gdzie się może dotąd znajdują.

Bez żadnego przypadku przybyliśmy do Ujjeni, z czego byłem zadowolony, gdyż miałem dość przygód, a rodzice ucieszyli się mną bardzo. To też nader trudną było rzeczą skłonić ich do drugiej podróży do Kosambi. Ojciec, prócz znacznego okupu, stracił wszystkie towary mej karawany, oraz domowników i nie był w stanie tak rychło myśleć o ponownej wyprawie. Wszystko było jednak niczem w porównaniu do trwogi, jaką przejmowały rodziców niebezpieczeństwa podróży.

Co chwila dochodziły też wieści o strasznych czynach Angulimali, wyznaję szczerze, nie odczuwałem zgoła chęci, by dostać się w jego ręce powtórnie. Niepodobieństwem też było podówczas wysłać wieść do Kosambi, musiałem tedy poprzestać na wspomnieniach i z wiarą w wierność mej drodzej Vasitthi czekać lepszych czasów.

Nadeszły w istocie niedługo. Pewnego dnia rozeszła się błyskawicznie wieść po mieście, że Satagira, syn ministra z Kosambi, pobił na głowę bandę Angulimali, wyrznął zbójców, zaś samego przywódcę wraz z świtą wziął do niewoli i kazał wszystkich ściąć.

Rodzice nie opierali się już teraz gorącym prośbom moim, tem więcej, że można było przypuszczać, iż przez czas dłuższy droga będzie bezpieczna, a należało powetować straty przez korzystną transakcję handlową. Ojciec zaczął sposobić drugą karawanę, gdy nagle zapadłem na zdrowiu, gdy się zaś podniósł z łóżka, nastąpiła właśnie pora deszczów, którą koniecznie przeczekać należało. Gdy minęła, nic już nie stało na drodze i niebawem,

pożegnawszy rodziców, którzy mi nie szczędzili dobrych rad, ruszyłem na czele trzydziestu zaprzężonych wołami wozów wesoly, pełen otuchy, a w dodatku pędzony nieutuloną tęsknotą.

Podróż odbyła się równie pomyślnie jak za pierwszym razem i pewnego dnia stanąłem oszalały na poły z radości w Kosambi, gdzie zastałem w ulicach niezwykle ścisk i zbiegowisko. Posuwałem się coraz to powolniej, aż w końcu karawana moja zatrzymać się musiała w punkcie, gdzie droga nasza przecinała się z główną ulicą. Niepodobieństwem było precyzyjnie się przez tłumy. Zauważyłem, że wszystko było przybrane odświętnie, wzdłuż ulicy tkwiły wysokie żerdzie z chorągiewkami, z okien zwieszały się dywany, a wszędzie mnóstwo widniało kwiatów i wieńców. Klnąc z niecierpliwości, spytałem kogoś, co to wszystko znaczy.

- Jak to - zdziwił się - nie wiesz, że dziś jest dzień zaślubin Satagiry, syna ministra królewskiego? Szczęśliwieś trafił, bo właśnie orszak weselny, wracając z świątyni Kryszny, będzie tędy przechodził, a wspaniałości takich nigdy chyba nie oglądałeś w życiu.

Wiadomość o małżeństwie Satagiry była dla mnie nader ważna i pożądana, albowiem jego staranie się o rękę Vasitthi stanowiło największą przeszkodę naszego związku, wobec sprzyjania mu rodziców ukochanej mojej. Posłyszawszy o tem, uspokoiłem się i postanowiłem czekać, tem więcej, że cały pochód nie mógł trwać długo. W dali dostrzec było można lance oddziału jazdy, która sunęła pośród ogłuszającego wrzasku tłumów. Konnica owa była wówczas w mieście nader popularna, albowiem ona to właśnie pokonała bandę Angulimali.

Zaraz za jeźdźcami zjawiał się słoń, niosący na grzbiecie nowozaślubioną. Był wspaniały. Szorstkie, rozrosłe czoło olbrzyma podobne było do legendarnej góry Meru, a głowę jego pokrywały drogie kamienie. Podobnie jak kiedy samcowi słonia czasu miłosnych zapałów sączy się i ścieka po policzkach słodki sok, a pszczoły, zwabione jego wonią, obsiadają jego głowę, tak samo obsiadł czoło i policzki niezrównanego zwierzęcia rój pereł najcudniejszych, dołem zaś zwieszały się frendzle, przetykane czarnymi diamentami, co sprawiało wrażenie wprost oszalamiające. Potężne kły okute były przedniem złotem, złota tarcza, pokrywająca piersi, sadzona wielkimi rubinami, zaś od niej w dół falowały zwoje wonnego muślinu z Benares, otaczając mocarne nogi zwierzęcia niby mgłą, jaka osiada na pniach drzew lasu.

Przede wszystkim jednak przykuwała do siebie oczy trąba weselnego słonia. W Ujjeni widywałem również gustownie zdobione trąby słoni podczas uroczystych obchodów, ale czegoś takiego nie oglądałem do tej pory. U nas trąbę słonia dzieli się zazwyczaj na małe pola, tworzące deseń, tak że cała jest pokryta farbą. Tutaj pozostawiono skórę jako tło, po

którem wily się girlandy przepięknych, lancetowatych liści asokowych, błyskając złotem, pomarańczowemi i szkarłatnemi kwiatami. Wszystko wykonane było nader artystycznie i stylowo. Patrzyłem na tę wspaniałość oczyma znawcy i ogarnęło mnie smętne i rzewne wspomnienie, coś niby fala owych nocy miłosnych na terasie. Serce mi zabiło gwałtownie, przyszedł mi bowiem na myśl ślub własny. Trudno będzie, zaprawdę, dorównać w przyozdobie słonia, który miał nieść wkrótce mą najdroższą Vasitthi. Właśnie kwiaty asoki najstosowniejszą były dekoracją, bowiem w całym Kosambi z kwiatów tych „Terasa Beztroski” słyęła szeroko.

Zapadłem w stan półsnu i marzyłem o przyszłości, gdy nagle posłyszałem obok siebie spostrzeżenie jakiejś kobiety:

- Niezbyt jakoś wesołą ma minę oblubienica.

Mimo woli spojrzełem w górę i ogarnęło mnie uczucie strachu, gdym objął wzrokiem postać kobiety, siedzącej pod purpurowym baldachimem. Ujrzałem jeno zarys postaci, bo głowa opadła jej na piersi, a twarz zatoneęła w zwojach tęczowego muślinu. Ciało jej musiało być bezsilne i mało odporne, albowiem chwiała się przy każdym ruchu słonia, który, idąc, kołysał mocno palankinem. Wszystko razem wyglądało nader smutnie, wprost nawet przerażająco. Lada chwila mogła spaść na ziemię i widocznie obawiała się tego jedna ze służebnic, stojących za biedną kobietą, gdyż objęła ją pod rękę i, pochyliwszy się, szeptała słowa otuchy.

Poznałem w owej rzekomej służebnie Medini i dreszcz mnie przejął lodowaty. Zanim przyszedłem do siebie, małżonka Satagiry podniosła głowę.

Poznałem moją Vasitthi.

XII.

U GROBU ŚWIĘTEGO VAJASRAWY.

Tak, to była ona. Niepodobna było się omylić, a jednak jakże odmiennie wyglądała teraz. Pograżona w bezdennej rozpaczy skamieniała w bólu, wydawała się zgoła inną istotą.

Opamiętałem się właśnie, gdy pochód mijał. Mą niemoc chwilową przypisano ściskowi i gorącu. Bezwolnie dałem się zawieźć do pobliskiego karawanseraju, tam wcisnąłem się w najciemniejszy zakątek, obróciłem twarz do ściany i przez kilka dni leżałem z twarzą zalaną łzami, nie chcąc jeść ni pić.

Poleciłem jeno staremu słudze, towarzyszącemu mi w pierwszej podróży, sprzedać przywiezione towary jak najprędzej, na jakichkolwiek warunkach, a nawet ze stratą, powiedziawszy mu, że jestem chory i nie mogę zająć się interesami. W samej rzeczy nie mogłem o niczem innem myśleć poza swem nieszczęściem, nie chciałem się też pokazywać w mieście, by nie zostać poznanym. Pragnąłem zapobiec, by Vasiṭṭhi nie dowiedziała się, żem przybył.

Nie mogłem zapomnieć widoku, jaki miałem niedawno przed sobą. Oburzony jej chwiejnością i brakiem odwagi, bo to jeno w grę wchodzić tu mogło, bolałem nad tem, że nie była w stanie oprzeć się naleganiom rodziców. Z jej miny i zachowania się widziałem aż nadto wyraźnie, że nie oddała serca triumfującemu teraz synowi ministra, pamiętając jednak płomienne jej spojrzenie i słowa, któremi mi w gaju Krysny ślubowała wieczystą wierność, nie mogłem pojąć, że tak łatwo i prędko uległa, to też wzdychając gorzko, powtarzałem sobie, że przysięgom dziewczęcym wierzyć nie należy. Co chwila jednak jawiło mi się jej oblicze, wyrażające rozpacz bezbrzeżną, i wówczas znikał gniew, a budziła się serdeczna, głęboka litość. To też nie chciałem powiększać jej smutku wieścią, iż jestem w Kosambi i postanowiłem, że nie dowie się o mnie niczego w życiu, a w ten sposób nabierze przekonania o mej śmierci. To jej, jak sądziłem, dopomoże do pogodzenia się z losem, który, biorąc rzecz zewnątrznie, świetnym nazwać było można.

Złożyło się szczęśliwie, że wierny, stary sługa nader szybko i korzystnie sprzedał i wymienił towary, tak że w kilka dni mogłem wraz z karawaną wyjechać z Kosambi.

Minąwszy bramę zachodnią miasta, obróciłem się i spojrzałem po raz ostatni na miejsce,

wśród murów, którego byłem tak szczęśliwy i tak nieszczęsny zarazem. Przybywając tu niedawno, pochłonięty byłem do tego stopnia gorączką tęsknoty, że nie zwracałem uwagi na nic wokół. Teraz też dopiero spostrzegłem, iż nie tylko blanki bramy, ale cały górny brzeg muru po obu jej stronach przybrany był głowami, nabitemi okrutnie na dzidy.

Nie ulegało wątpliwości, były to głowy poćcinanych towarzyszy Angulimali.

Po raz pierwszy od chwili zobaczenia Vasitthi, doznałem innego poza smutkiem uczucia i zadrzałem, patrząc na owe głowy, które sępy obnażyły z ciała, zostawiając prócz kości, gdzieś niedługo kępy włosów i brody, które jako zbyt gęste uchroniły skórę od szponów i dziobów drapieżców. Nie sposób by ich było tedy rozpoznać, gdyby nie świadczyła o pochodzeniu nastroszona, ruda broda jednego z nich, oraz warkocze, wzorem fryzury ascetów, spadające po bokach głowy drugiego delikwenta. Wiedziałem dobrze, czyje to głowy, jedna bowiem dawała mi nieraz przyjacielskie znaki czasu nocnych wykładów, druga zaś śmiała się z nich rozgłośnie, tak że z konopiastej brody sypały się niby iskry płomienia. I teraz wydało się, że z bezwargich jej ust wylata niesamowity jakiś, groźny rechot potwornej wesołości.

Głowa Vajasrawy dominowała wielkością pośrodku bramy i przykuła też moją uwagę. Poznałbym wszędzie tę czaszkę. On to pobudzał wszystkich do śmiechu, a własne jego rysy nie drgnęły ni razu. Przypomniałem sobie, z jaką dokładnością wyłuszczał wszelakie rodzaje kary śmierci, jak troskliwie uczył, że rozbójnik powinien unikać schwywania, zaś w razie tego nieszczęścia starać się umknąć jak najrychlej. Ach! Cóż mu pomogła cała wiedza jego. Człowiek nie jest w stanie ująć swemu losowi, który stanowi jeno wynik naszych czynów w tem, czy minionem życiu.

Czaszka spozierała na mnie pustymi oczodołami i wydawało mi się, że z półotwartych ust wychodzi głos: - Kamanito! Kamanito! Patrz na mnie uważnie. I ty, synu mój, urodziłeś się pod zbójnicką konstelacją i ty wstąpisz na krwawą ścieżkę bogini Kali i skończysz kiedyś tak samo jak ja.

I dziwne owe złudzenie, równie silne jak realne wrażenie zmysłowe nie napępiało mnie już teraz obawą, ni odrazą. Cała moja przyszła karjera zbójcka, o której nie myślałem przedtem wcale, ukazała mi się nagle w świetle nie tylko poważnym, ale nawet pociągającym.

Hersztem opryszków zostać? Czegóż lepszego mógł sobie życzyć nieszczęśnik jak ja? Nie wątpiłem ani na chwilę, że wielorakie zdolności moje łącznie z wykształceniem, zaczerpniętem od Vajasrawy, postawić mnie muszą na naczelnym stanowisku. Któreż zaś stanowisko dorównać może godności przywódcy rozbójniczej bandy? Dostojeństwo samego króla niczem było w porównaniu, bowiem... to jeno mi mogło dać pomstę nad Satagirą... to jeno mogło oddać Vasitthi z powrotem w me ramiona. Widziałem się już w lesie, w zaciętym

boju z nikczemnikiem, któremu otwieram czaszkę potężnym ciosem miecza. Widziałem się, jak wynoszę omdlałą Vasitthi z pałacu, rozbrzmiewającego głosami zbójców.

Po raz pierwszy od onej strasznej chwili spotkania ukochanej, uderzyło mi serce męstwem i nadzieją przyszłości, po raz pierwszy dopiero przestałem pragnąć śmierci, a wyciągnąłem rękę do życia.

Marząc w ten sposób, przebyłem zaledwo tysiąc kroków, gdy nagle ujrzałem karawanę, idącą od strony przeciwnej. Dowódca jej zatrzymał się i podszedł do małego pagórka przy drodze, widocznie w celu złożenia ofiary nabożnej.

Zbliżyłem się i, pozdrowiwszy uprzejmie, spytałem, jakie bóstwo czci w tej chwili.

- W kurhanie owym - odparł - spoczywają zwłoki świętego męża, imieniem Vajasrawa. Jemu to zawdzięczam, że, podróżując przez nader niebezpieczną okolicę, dojechałem do domu nieposzkodowany na ciele i mieniu. Radzę ci również, cudzoziemcze, złóż tu mały dar ofiarny, bowiem choćbyś najął stu żołnierzy dla ochrony podczas podróży przez lasy, to nie będą ci oni taką pomocą przeciw rozbójnikom, jak protekcja tego oto świętego.

- Drogi panie - odparłem - kurhan ten jest całkiem świeży i jeśli w nim spoczywa Vajasrawa, to jest to niewątpliwie znany rozbójnik, nie zaś żaden święty.

Kupiec potwierdził spokojnym skinieniem.

- Tak... oczywiście - rzekł - to ten sam mąż. Widziałem jak go nawleczono na pal w tem miejscu. Głowa jego sterczy jeszcze na murach miasta. Wycierpiawszy karę naznaczoną przez władzę, oczyszczony został z grzechów i wstąpił czysty w niebiosa, duch zaś jego chroni teraz podróżnych przed rozbójnikami. Powiadają, że już nawet czasu swego przebywania pośród bandy odznaczył się wielką uczonością i za życia był już niemal świętym. Umiał na pamięć ustępy z świętych Wed... Tak powiadają ludzie...

- W istocie prawdę mówią! - rzekłem. - Znałem go bardzo dobrze i nie przesadzę, twierdząc, iż był moim przyjacielem.

Na te słowa kupiec spojrział na mnie z niejakim przerażeniem, ja zaś dodałem:

- Popadłem w niewolę bandy Angulimali podczas podróży i wówczas to Vajasrawa ocalił mi dwukrotnie życie.

Spojrzenie kupca zabłysło podziwem oraz zazdrością i rzekł:

- Winienesz się tedy zaprawdę uważać za szczęśliwego. Gdybym się jak ty cieszył względami takiego męża, zostałbym niebawem najbogatszym człowiekiem w Kosambi. Bądź zdrów, o zazdrości godny, i niech ci się dobrze powodzi.

Powiedziawszy to, ruszył dalej, ja zaś złożyłem ofiarę na grobie mego słynnego, czczonego przez ludzi przyjaciela, ale modły, jakie złożyłem, niepodobne były do tych, jakie

zazwyczaj zanoszono do niego. Prosiłem go, by mnie skierował wprost ku najbliższej bandzie rozbójniczej, by mi użyczył pomocy w przyłączeniu się do niej i sprawił, iżbym stanął na jej czele. O tym ostatnim sukcesie nie wątpiłem ani na chwilę.

Pokazało się atoli, że Vajasrawa mylił się twierdząc, jakobym się urodził pod konstelacją zbójnicką, bowiem w całej drodze do Ujjeni nie natrafiliśmy na ślad rozbójników, a przecież w niespełna tydzień potem splondrowano znaczną karawanę kupiecką na pograniczu Avanti, w lesie przez któryśmy szli.

Rozważałem przedziwny zbieg okoliczności, mocą którego pozostałem w warunkach normalnego życia obywatelskiego wówczas, kiedy całym sercem pożądałem rozpocząć żywot rozbójniczy. Co prawda, możliwym jest, iż jedna z ścieżek Kali może wieść też na drogi pielgrzymstwa, podobnie jak z pośród stu i jednej żyły ciała ludzkiego, w których krążą pięciobarwne soki, jedna jedyna wiedzie ku głowie i tamtędy ucieka dusza, opuszczając ciało. Tedy nawet zostawszy rozbójnikiem, zmienić się mogłem w pielgrzyma, zmierzającego do wielkiego celu zbawienia. Kto cel ten osiągnie, tego czyny dobre, czy złe stają się niczem, strawione bowiem zostają na popiół żarem wiedzy.

Owoce onego życia nie różniłyby się zresztą, o czcigodny, tak bardzo pod względem moralnym, choćbym nie kupcem był, lecz rozbójnikiem przez większą część mego życia. W czasie pobytu wśród bandy zauważyłem, że i tam byli ludzie rozmaici, obdarzeni nieraz wielkimi zaletami, a przeto pominawszy pewne sprawy zewnętrzne, różnica pomiędzy jednymi i drugimi nie jest wcale tak znaczna, jak sądzą ludzie uczciwi. Spostrzegłem też, że ludzie uczciwi faszerują nieraz zawód złodziei i rozbójników, improwizując zgoła takie same przedsięwzięcia. Niektórzy osiągają nawet mistrzostwo, nie przestając być uczciwymi. Rozmyślenia swe zakończyłem wnioskiem, że pomiędzy temi dwiema grupami ludzi istnieje wielkie powinowactwo i dzielić ich zasadniczo nie należy.

Nie wiem tedy, załim dużo skorzystał przez to, że mnie los trzymał z dala od ścieżek krwawej, potrząsającej czaszkami bogini Kali.

Uczyniwszy to głębokie spostrzeżenie, umilkł pielgrzym Kamanita i zadumany podniósł oczy na księżyc w pełni, ogromny, rozjarzony, wiszący ponad dalekim lasem, osiedlem rozbójników, ślący swe promienie wprost w przedsionek domu garncarza i złocący złoty płaszcz mistrza tak, iż wyglądał jak bóstwo, przybrane w drogocenną szatę.

Mistrz, na którego skierował się mimo woli wzrok pielgrzyma, chociaż kim był nie wiedział, skinął kilka razy głową na znak współczucia i rzekł:

- Jak widzę z opowieści twej, bracie drogi, zbliżałeś się dotąd raczej ku życiu pośród ludzi, niż ku pielgrzymstwu bezdomnemu, mimo że ta ostatnia droga ujawniła ci się nader

jasno.

- Tak było w istocie, o czcigodny! - odparł Kamanita. - Spojrzenie moje okryte było mgłą niewiedzy, to też, nie dostrzegając owej ścieżki, kroczyłem ku życiu światowemu.

Westchnął głęboko i podjął głosem świeżym i wesołym dalszy tok opowiadania.

XIII.

ŚWIATOWIEC.

Żyłem w Ujjeni, w domu rodzicielskim. Miasto moje rodzinne, o czcigodny, znane jest w całych Indjach z bujnego, wesołego, rozpasanego życia, oraz piękności pałaców i świątyń wspaniałych. W szerokich ulicach rozlega się po całych dniach rzenie koni i trąbienie słoni, w nocy zaś brzmia lutnie zakochanych i pijackie piosenki uczujących.

Wielkiej zwłaszcza sławy zażywają hetery i miłośnice mego miasta rodzinnego. Piękność, powab postaci i nieopisany urok posiadają wszystkie, począwszy od wielkich dam, co mieszkają w pałacach, stawiają bogom świątynie, urządzają ludowi wspaniałe parki publiczne, a w salonach swych goszczą książąt, poetów, artystów, dramaturgów i znakomitych przejezdnych cudzoziemców, skończywszy na zwykłych ulicznicach, a piękność owa weszła w przysłowie. Kurtyzany nasze stanowią największą ozdobę ulic podczas wielkich uroczystości i obchodów. Ubrane w purpurowe szaty, dzierżąc wonne wieńce w rękach, rozlewając wokół siebie fale zapachu, połyskując diamentami, zasiadają na oddzielnych, wspaniałych przystrojonych trybunach wzdłuż ulic i podniecają ruchami, oraz dowcipnymi słowami i miłosnymi spojrzeniami żar zmysłowy żądnych użycia, tak że rozbłyska jasnym płomieniem.

Król je szanuje i oddaje im honory, lud ubóstwia, poeci opiewają je, zwąc „barwną koroną kwietną, wieńczącego skały Ujjeni”, a wszystkie miasta sąsiednie zazdroszczą nam ich posiadania. Często wyjeżdżają też hetery nasze w okolice gorzej wyposażone pod tym względem, a zdarza się nawet, iż król musi je wzywać do powrotu w razie przydługiej nieobecności.

Z rąk przedstawicielek onego wesołego zakonu wzięłem czarę z napojem, który pozwala zapomnieć o trosce życia, a złocisty puchar rozkoszy, ohotnie mi podawany zawsze, przytykałem często i chętnie do spragnionych ust moich.

Skutkiem wielorakich uzdolnień i obeznania z sztukami pięknymi wszelkiego rodzaju, oraz wprawy w grach towarzyskich byłem mile zawsze widzianym gościem wielkich kurtyzan, jedna zaś z nich, której względów niepodobna było wprost pozyskać złotem, zakochała się we mnie do tego stopnia, iż zerwała stosunki z pewnym księciem. Znając język

złoczyńców, wszedłem również w bliskie związki z biednymi ulicznikami, których względy były mi równie miłe w tym okresie życia, oddanym wyłącznie rozkoszy. Kilka z nich sprzyjało mi naprawdę całym sercem.

Zatonąłem w szaleńczym wirze uciech rodzinnego miasta i weszło, o czcigodny, w zwyczaj mówić: „oto światowiec, jak młody Kamanita!”

Pewnego razu okazało się dowodnie, że złe nawyknięcia, a nawet występki dają tak szczęśliwe i pomyślne wyniki, iż człowiek światowy, zaprawdę, nie jest w stanie rozstrzygnąć, o ile powodzenie swoje zawdzięcza złym, czy dobrym cechom swego charakteru.

Znajomość z ulicznikami wyszła mi na dobre i ocaliła rodzinę moją. Oto jednej nocy złodzieje włamali się do domu ojca i skradli klejnoty, oddane mu przez różnych ludzi do ocenienia, a strata stąd powstała była tak znaczna, że mowy być nie mogło o zapłaceniu tej sumy. Popadłem w rozpacz, bo rodzinie groziła zupełna ruina i nawet hańba z powodu zaprzepaszczenia cudzej własności. Daremnie stosowałem wiadomości me, zdobyte w lesie. Zbadawszy podkop, dowiedziałem się z całą ścisłością, jakiego rodzaju rabusie wdarli się do domu, ale owa pożyteczna wskazówka okazała się bezwartościową dla policji, której organizacja nie stała w naszym mieście na tej wyżynie, co niezrównana organizacja heter i prostytutek, a zdaje mi się, że ta niewspółmierność zostawała w ścisłym z sobą stosunku.

Czasu moich studjów w lesie słyszałem uczony wykład o życiu miłosnem różnych stanów i zapamiętałem następujące zdanie: - *Zabiegi miłosne naczelnika policji winny odbywać się w nocy, podczas czynności inspekcyjnych a służyć ku temu mają ulicznice miejskie.* - Wspomniawszy drugi wykład Vajasrawy, p.t.: - *O użyteczności wszetecznic w sprawie wprowadzenia w błąd policji* - zapadłem w gorzkie rozmyślenia, które wzmogła jeszcze tortura strachu i czekania na rezultat smutnej przygody.

Atoli świat nasz jest już tak dziwnie urządony, że ręka lewa musi dokonać tego, czego zaniedba prawa. Stało się tedy, że ów bujnie rozrosły krzew ujjenijskiego wszeteczeństwa przyniósł mi owoce, których daremnie wyglądałem na sucherlawym głogu instytucji policyjnej rodzimego miasta. Pocziwe dziewczęta, widząc, w jaką wpadłem rozpacz z powodu katastrofy rodzinnej, odnalazły sprawców włamania i zmusiły ich do oddania łupu grozą zupełnego odmówienia swych względów. Poza zmarnowanymi już klejnotami odzyskailiśmy niemal wszystko i sprawa zakończyła się jako-tako, a strach, jaki przeżyłem, nie minął bez dobrych skutków.

Zbudziłem się z owego omamienia, w jakie mnie pograżyło życie rozpustne, zabierające bezpożytecznie siły i czas. Chwila była zresztą decydująca, gdyż albo musiałem teraz doznać

wstrętu i zmienić się, albo wziąć na się jarzmo nałogu i zmarnieć bez ratunku. Przygoda ta otwarta mi oczy. Zobaczyłem przed sobą nędzę, w której szponach musiałbym jęczeć do śmierci, pozbawiony w dodatku onych, drogich mimo wszystko, uciech.

Wspomniałem słowa kupca, posłyszane u grobu czciwego Vajasrawy: - Gdybym cieszył się, jak ty, względami takiego męża, zostałbym niebawem najbogatszym człowiekiem Kosambi - i postanowiłem zostać najbogatszym człowiekiem w Ujjeni. W tym celu jąłem się karawanowego handlu towarami.

Nie chcę rozstrzygać, czy mój w innych światach przebywający mistrz i przyjaciel Vajasrawa pomagał mi osobiście w przedsiębiorstwach, jak to często na myśl mi przychodziło, natomiast niewątpliwą jest rzeczą, że słowa jego były mi wskazówką i uchroniły od przeciwności. Znając zwyczaje i obyczaje różnych band rozbójniczych, wtajemniczony w tajne reguły ich postępowania, byłem w możności, nie ryzykując wcale, przeprowadzać rzeczy, na które nie odważyłby się nikt inny. Zająłem się więc samymi jeno owymi niewykonalnymi przedsięwzięciami, zaniechawszy zwykłych podróży.

Przybywałem zazwyczaj z ogromną karawaną do jakiegoś miasta, dokąd nikt wyruszyć nie śmiał z powodu zupełnego odcięcia drogi przez zbójnicze bandy, a mieszkańcy rzucali się z taką łapczywością na moje towary, że sprzedawać je mogłem z dziesięćkrotnym zarobkiem. Nie poprzestając na tem, wyciągałem korzyści z pamiętnej prelekcji - *„O znamionach przedajności u wyższych i niższych urzędników, oraz wysokości sum potrzebnych* - a zyski, jakie osiągnąłem w krótkim czasie z samego jeno stosowania tych maksym, utworzyły spory majątek.

Minęło kilka lat na urozmaiconem życiu, złożonem z uciech światowych rodzinnego miasta i niebezpiecznych podróży kupieckich, które zresztą mimo grozy nie wyłączały również przyjemności. Przybywszy do obcego miasta, zajeżdżałem zawsze do jednej z uroczych wszetecznic, mając do niej polecenie ze strony którejś z ujjenijskich koleżanek, a kobiety te nieraz w sposób nader przemyślny ułatwiały mi interesy handlowe.

Pewnego dnia przed południem wszedł ojciec do mojej komnaty, w chwili gdy właśnie pociągałem usta purpurowym lakierem, dając jednocześnie przez okno zlecenia służącemu, siodlającemu w podwórze ulubionego wierzchowca. Należało to uczynić dzisiaj właśnie z niezwykłą starannością, a także trzeba było w sprytny sposób umieścić na łęku poduszkę, gdyż zamierzałem wziąć przed siebie na siodło jedną z uroczych, gazelookich członkiń wesołego klasztoru. Umówiłem się z przyjaciółmi i przyjaciółkami, iż spędzimy dzień na miłej zabawie w parku miejskim.

Chciałem poczęstować zaraz ojca przekąską, jak to bywa w zwyczaju, ale odmówił, a gdy

mu podałem puzderko, napełnione wonnymi pastylkami, służącymi do odświeżania ust, odmówił również. Wziął jeno nieco betelu i to poważne jego zachowanie się napełniło mnie niejaką troską, oraz przekonaniem, że idzie o ważną sprawę.

- Widzę, synu mój, że sposobisz się do milej, towarzyskiej wycieczki - zaczął, sadowiąc się na poduszkach - i nie przyganiam ci tego, bowiem powróciłeś dopiero z uciążliwej wyprawy handlowej. Gdzież to się wybierasz?

- Do ogrodu „Stu stawów lotosowych”, mój ojciec, - odrzekłem - gdzie w towarzystwie przyjaciół i przyjaciółek będziemy zabawiać się grami towarzyskimi.

- Doskonale, synu mój! Wyśmienicie! Ogród „Stu stawów lotosowych” to miejsce rozkoszne, chłodny cień drzew i powiew idący od wody zachęcają do spoczynku i czynią pobyt nader zdrowym. Należy się również uznanie rozumnym i wykwiutnym grom, gdyż dają zajęcie ciału, nie nużąc ducha. Nie wiem, czy są jeszcze w użyciu gry, jakie uprawiano czasu mej młodości? Jak sądzisz, Kamanito, w co grać dzisiaj będziecie?

- To zależy, drogi ojciec, od pomysłu, na który się wszyscy zgodzą. o ile wiem, Nimi zaproponuje „pryskankę”.

- Nie znam jej! - zauważył ojciec.

- Tutaj jest nieznaną, Nimi wyuczyła się jej na południu, gdzie niedawno weszła w modę. Napełnia się wodą rury bambusowe i opryskuje wzajemnie, ten zaś komu się największy prysznic dostanie, przegrywa. To bardzo śmieszne. Kolliya obstawać będzie przy zapasach kadambowych.

Ojciec potrząsnął głową.

- I tego nie znam! - powiedział.

- Zabawa ta bardzo jest obecnie rozpowszechniona. Towarzystwo dzieli się na dwa zastępy walczących, a za broń służą gałęzie krzewu kadamby z wielkimi, złocistymi kwiatami. Pylek kwietny oznacza miejsca ciosów, tak że sędzia konkursowy łatwo oznaczyć może, przy kim zostało zwycięstwo. Zabawa jest bardzo interesująca i posiada zalety estetyczne, ja jednak chcę zaproponować grę w zaślubiny.

- Oo... jest to stara i niezrównana wprost zabawa! - zauważył ojciec z dobrodusznym uśmiechem. - Rad jestem, iż ją wybrałeś, gdyż świadczy to o nastroju twego umysłu. Od żartu do kroku stanowczego droga czasem niedaleka.

Uśmiechnął się znowu dobrotliwie i radośnie, mnie zaś przeniknęło coś w rodzaju dreszczu strachu.

- Tak, mój synu - ciągnął dalej - sam mnie naprowadziłeś na to, z czym właśnie dziś do ciebie przyszedłem. Przez rozliczne swe sprawy kupieckie, sprytem i szczęściem swem

pomnożyłeś nasz majątek do tego stopnia, że z powodzenia finansowego słyniemy w całym Ujjeni. Z drugiej strony użyłeś do woli młodości i wolności. Z pierwszego wynika, że jesteś w możności założyć własne ognisko domowe, z drugiego zaś, iż czas ci najwyższy wziąć się do tego, by nie dać wygasnąć rodowi naszemu. Chcąc, drogi synu, sprawę ułatwić, wyszukałem ci sam żonę. Jest to najstarsza córka sąsiada naszego Sanjayi, bogatego wielce kupca, która dopiero co osiągnęła wiek odpowiedni do małżeństwa. Pochodzi tedy, jak widzisz, z rodziny szanownej, równej nam i bardzo zamożnej, a zarówno po matce jak i ojcu ma wielką liczbę krewniaków. Ciało jej jest bez skazy, włosy ma koloru pszczoły, oblicze podobne księżycowi, oczy młodej gazeli, nos przypomina kwiat sezamu, zęby perły, a z ust, podobnych do bimbi, płynie głos słodki, niby śpiew kokili. Łędwie jej radują oczy jak pień pizangu, a krok jej pod ciężarem bioder chwieje się majestatycznie i niedbale, niby krok słonia. Nie sposób, powiadam ci, znaleźć wady w postaci wybranej przeze mnie oblubienicy.

Nie czyniłem żadnych zarzutów, ale owe, tak poetycznie opisane wdzięki nie uczyniły na mnie żadnego wrażenia. Wyznaję, że nie dokuczała mi zgoła myśl, iż będę musiał stosownie do obyczaju obowiązującego nowożeńców spędzić z nią trzy noce w zupełnej wstrzeźliwości, nie jedząc korzennych i ostrych potraw, śpiąc na ziemi i podtrzymując nieustannie ognisko.

Niekochana żona, o czcigodny, nie przywiązuje człowieka do domu, to też od czasu ślubu chętniej jeszcze niż dotychczas udawałem się w podróż, a za powrotem troszczyłem się jeno o sprawy finansowe. Wyznając prawdę, powiem, że w sprawach kupieckich nie kępowałem się nadmiernie skrupułami moralnymi, i wyciągałem jak największe zyski z wszystkiego, to też bogactwa moje rosły tak szybko, że po kilku latach znalazłem się u celu pragnień i zostałem najbogatszym obywatelem miasta rodzinnego.

Teraz zapragnąłem, jak pan domu i ojciec rodziny (żona urodziła mi dwie córki) użyć w pełnej mierze moich dóbr, a także pochlubić się nimi przed współobywatelami. Kupiłem na przedmieściu, w pięknej okolicy szmat ziemi, założyłem tam piękny park a pośrodku niego wystawiłem tak obszerny pałac z kolumnami marmurowymi i salami, że gmach ten zaliczony został do osobliwości miasta i sam król zjawił się u mnie dla zwiedzenia budynku i urzędu.

W pałacu tym urządzałem niezrównane zabawy i dawałem bajeczne wprost uczty, bowiem z biegiem czasu pociągać mnie zaczęły ponad wszystko inne rozkosze podniebienia. Na moim stole zjawiały się nawet podczas codziennych obiadów największe przysmaki, jakie można było w danej porze roku dostać za pieniądze, i wyglądałem wówczas nie tak chudo i nędznie jak teraz, po umartwieniach, długiej wędrówce i ponieważ po lasach, ale policzki

me były pełne i rumiane, a nawet brzuch zaczynał mi się pomалу zaokrąglać.

W czasie onym, o czcigodny, powiadano w Ujjeni, gdy mowa była o dostatkach i przesycie w jedzeniu i picciu: w domu tym ucztuje się, zaprawdę, jak u bogatego Kamanity.

XIV.

MALŻONEK.

Pewnego ranka znajdowałem się właśnie w parku, zajęty naradą z głównym ogrodnikiem, jakieby tam zaprowadzić zmiany i ulepszenia, gdy nagle spostrzegłem, że przybył mój ojciec na starym swym ośle. Pospieszyłem pomóc mu w zsiadaniu i chciałem go zaprowadzić do ogrodu kwiatowego, sądziłem bowiem, iż chce uradować oczy tym widokiem. Ale odmówił, udał się wraz ze mną do pierwszego z brzegu pokoju, a gdym kazał podać przekąski, odmówił również. Chciał ze mną pomówić swobodnie i bez świadków.

- Drogi synu - zaczął nader poważnie - żona twa obdarzyła cię dwiema córkami i nie wydaje syna. Wiadomo zaś, jak nędzną jest śmierć człowieka, któremu syn nie wyprawi należytego pogrzebu. Nie przyganiam ci, mój drogi! - dorzucił pospiesznie, widząc mój niepokój, ja zaś podziękowałem mu z całą należną pokorą i pocałowałem go w rękę, mimo że nie mogłem sobie wyobrazić, jaką w tym wypadku jest wina moja.

- Nie przyganiam ci - powtórzył - przeciwnie obwiniam samego siebie, gdyż w wyborze żony kierowałem się jeno względami światowemi i dałem się tak olśnić bogactwem i pochodzeniem, iż nie zwróciłem należytej uwagi na znaki i horoskopy. Dziewczyna, którą obecnie mam upatrzoną dla ciebie, wywodzi się z rodziny nieznaczej i niebogatej, a również nie celuje w tem, co powierzchowny spostrzegacz nazwałby „pięknością”. Natomiast posiada głęboko osadzony i w prawo skręcony pępek, a zarówno nogi jak i ręce noszą wyraźne znaki „lotosu”, „puharu” i „koła”. Włosy ma gładkie, a jeno na samym karku widne są dwa w prawo zwinięte loki. O dziewczynie, wyposażonej takimi znakami, powiadają mędrcy, iż powije pięciu synów bohaterowi.

Oświadczyłem, że zadowolniając mnie w zupełności owe horoskopy, podziękowałem ojcu za troskliwość o moje dobro i objawiłem gotowość poślubienia owej dziewczyny natychmiast. W myśli dodałem: trudna rada, niech się dzieje co chce!

- Natychmiast? - krzyknął ojciec z przestachem. - Synu mój, uśmierźże swój zapal nadmierny! Wszakże obecnie słońce znajduje się w południowej stronie nieba! Gdy bóstwo przejdzie na stronę północną i doczekamy połowy miesiąca, w której księżyc zacznie się powiększać, wówczas obierzemy dzień stosowny dla dokonania obrzędu. Przedtem,

Kamanito, ani mowy o ślubie, ani mowy, powtarzam! I cóżby wobec takiej nierozwagi pomogły korzystne znaki oblubienicy?

Poprosiłem ojca, by się nie martwił i przyrzekłem czekać, oraz powodować się w najdrobniejszych nawet szczegółach jego mądrą radą. Pochwalił me posłuszeństwo, udzielił mi błogosławieństwa i zezwolił, by mu podano przekąskę i coś do jej pokropienia.

Nadszedł wreszcie ów, niezbyt przeze mnie oczekiwany dzień, kiedy złączyły się wszystkie pomyślne znaki. Ceremonja odbyła się z większą, nierównie od pierwszej, dokładnością i pietyzmem. Na samo wyuczenie się formułek religijnych i cytat zużyłem dwa tygodnie, a trudno opowiedzieć, ile trwogi zaznałem podczas obrzędu w domu teścia mego. Drżałem, iż powiem wiersz niewłaściwy albo uczynię gest, który mu nie odpowiada wedle przepisów rytuału, bo ojciec mój nie byłby mi tego nigdy w życiu przebaczył. Tak mi się pomieszało w głowie, że zapomniałem o rzeczy najważniejszej, miał chwycić narzeczoną za kciuk, dotknąłem jej czterech pozostałych palców, jakbym pragnął samych jeno córek. Szczęściem, miała tyle przytomności, że mi wsunęła w dłoń swój nieszczęsny wielki palec.

Pot mi spływał z ciała, kiedym wreszcie doprowadził do zaprzęgnięcia wołów, celem udania się do domu. Oblubienica wtykała w uprzęż gałązki drzewa owocowego, ja zaś mamrotałem odnośny wiersz, przekonany, że najgorsze rzeczy minęły. Ale myliłem się, niebezpieczeństwa czyhały bowiem na każdym kroku.

Dostaliśmy się do mego pałacu bez przypadku, jakich tysiące zagrażają korowodowi weselnemu, a pod bramą wysadziły oblubienicę z wozu trzy żony braminów nienagannej konduity, mające samych jeno synów, i żyjących dotąd mężów. Nagle... o zgrozo... oblubienica, wchodząc do domu, omal że nie dotknęła stopą progu. Nie wiem do dziś, skąd mi się wzięło owo silne postanowienie, ale porwałem ją na ręce i w ten sposób przeszkodziłem fatalnemu przekroczeniu ceremonjału. Była to rzecz i tak niezwykła i niejeden tłumaczył ją sobie dziwnie, tem więcej, że oszołomiony tem co się stało, sam przekroczyłem próg nie prawą, lecz lewą stopą. Szczęściem, goście i ojciec byli tak bardzo przejęci i przerażeni przygodą z progiem, iż moja pomyłka przeszła niepostrzeżenie.

Usiadłem w komnacie pośrodku domu, na położonej czerwonej skórze byka, zwróconej karkiem ku wschodowi, a włosami do góry, obok mnie zaś, po prawicy żona. Muszę zaznaczyć, że ojciec mój wynalazł po długich zachodach cudownego chłopczyka, który miał samych jeno braci, a żadnej siostry, którego bracia żyli do jednego. Ojciec owego chłopca pochodził z rodziny, gdzie wcale nie było córki, co więcej ojciec owego ojca również sióstr nie posiadał, a wszystkie te fakty zostały sędownie stwierdzone. Owego to cudownego chłopca miano posadzić na kolanach mej nowej żony, dziecko zaś miało dźierać w dłoniach

miszkę z lotosami, umyślnie w tym celu wyhodowanymi w błocie. Gdy przyszło do rzeczy, okazało się jednak, że chłopiec zniknął gdzieś i nie można go było znaleźć. Dopiero gdy było po niewczasie, spostrzegł jeden z służących dziecko śpiące na łożu ofiarnym pomiędzy dwoma ogniskami. Malca skusiło widocznie świeże sitowie, zagrzebał się w niem i zasnął. Łoże owo musiano tedy na nowo urządzić i naciąć w tym celu ponownie *kusy*, czyli sitowia, co stało w sprzeczności z rytuałem, albowiem, jak wiadomo, kusę weselną tnie się o samym świtanie.

Porzucając tedy myśl ukoronowania w ten sposób ceremonjału świątecznego, zadowoliliśmy się chłopcem, który nie miał sióstr w rodzeństwie, ale ojciec mój tak był zgryziony niepowodzeniem, iż zachodziła obawa, by nagły paraliż nie położył kresu drogiemu życiu jego. Co prawda, nie byłby się za nic w świecie zdecydował umierać teraz właśnie, bo śmierć taka byłaby po prostu straszną katastrofą obrzędową i fatalnym prognostykiem. Nie przyszło mi to na myśl w onej chwili, to też, przerażony, szeptałem przez cały czas szukania zastępczego chłopca odpowiednie wiersze i cytaty, by nie nastąpiła przerwa w obrzędzie, co było wprost rzeczą niedopuszczalną.

W chwilach owych przyrzekłem sobie uroczyste nie żenić się ponownie, choćby się nie wiedzieć co stać miało.

Po skończeniu uroczystości spędziłem z moją drugą żoną... która nie była znowu takim brzydactwem, za jakie ją podał zacny ojciec mój... dwanaście nocy w zupełnej wstrzemięźliwości. Pościliśmy i spali na ziemi przez całych dwanaście nocy, a to dlatego, że zdaniem ojca, dobrej rzeczy nie może być nigdy za wiele. Przez ten czas brakło mi, co prawda, ulubionych korzennych potraw, oraz wygodnego łoża.

Na koniec minęła i ta próba, a życie potoczyło się zwykłą koleją, nie różniąc się bardzo od tego, co było przedtem. Przekonałem się tylko, jak uzasadnioną była obawa moja w chwili, gdy ojciec wystąpił z projektem powtórnego związku. Pocieszałem się wprawdzie refleksją, że, mając już jedną żonę, można mieć także i drugą, niestety jednak popełniłem omyłkę.

Pierwsza żona była z usposobienia łagodną, a nawet nieco tępego umysłu, druga, zdaniem wszystkich, odznaczała się także dobrocią. Tak, o czcigodny, tak było w istocie, ale mimo to stało się, co się dzieje z ogniem i wodą na ognisku. Obie te rzeczy ciche i użyteczne, spotkawszy się razem, wywołują syk piekielny. Tak też syczało w mym domu onego dnia nieszczęsnego, a sprawa doszła do niemożliwości, kiedy druga żona obdarzyła mnie rzeczywiście pierwszym z owych pięciu synów. Pierwsza żona wystąpiła niezwłocznie z zarzutem, że nie chciałem mieć z nią syna i nie złożyłem odpowiednich ofiar, by mieć pretekst do wzięcia drugiej. Druga żona, doprowadzona do pasji, okazywała pierwszej tak

urągłą pogardę, że pierwsza odchodziła ze złości od zmysłów. Ciągłe się kłóciły o pierwszeństwo, pierwsza z racji swego pierwszeństwa, druga zaś z racji, że była matką syna mego, rościła sobie pretensje do stanowiska naczelnego w domu.

Działo się coraz to gorzej, aż pewnego dnia przybiegła, drżąc ze wzburzenia, druga żona i zaczęła błagać, bym wypędził pierwszą, albowiem otruła jej syna. Malec objadł się łakoci i dostał kurczów. Zgromiłem ją ostro i odprawiłem, ale zaledwo poszła, wpadła pierwsza, oskarżając drugą, iż chce zgładzić dwie jej niewinne córeczki w tym celu, by synowi swemu przyczynić spadku.

Spokój uleciał z mego domu. Jeśliś, o czcigodny, przechodził niedawno obok domu bramina, to posłyszałeś pewnie kłótnie i wrzaski kobiet, obrzucających się ordynarnymi wyzwiskami. To samo działo się u mnie, to też było, jakbyś przechodził obok domu mego.

Odtąd powiadano w Ujjeni, gdy była mowa o kłótniach i sporach: - kłóca się z sobą jak małżonki Kamanity.

XV.

ŁYSY KLECHA.

Znajdowałem się dnia pewnego w obszernej komnacie, położonej po cieniejszej stronie domu, z oknami, wychodzącymi na podwórze. Izbę tę przeznaczyłem do załatwiania interesów, oraz spraw domowych, bo mogłem stąd ogarnąć spojrzeniem zabudowania gospodarcze, spichrze i magazyny. Rozmawiałem z starym, wiernym, doświadczonym sługą, który od lat całych pomagał mi w prowadzeniu karawan i handlu. Dawałem mu zlecenia, dotyczące wyprawy w dość odległą okolicę, a więc informowałem go jak w najkorzystniejszy sposób może sprzedać towary, jakie produkty winien przywieźć w zamian i z kim nawiązać stosunki handlowe. Rozmawiałem szczerze o wszystkim, gdyż chciałem zdać na niego całe przedsięwzięcie.

Zdawaćby się mogło, że nabierałem chęci do podróżowania, w miarę jak dom mój stawał się coraz to nieprzyjemniejszym miejscem pobytu. Nie miało to miejsca, albowiem rozleniwiony, grymaśny, lękałem się obecnie nie tylko niewygód drogi, ale także lichego jadła. Wprawdzie można sobie było to powetować po przybyciu na miejsce, ale doznawało się często rozczarowań, a w gruncie rzeczy nigdzie nie jadało się tak, jak przy własnym stole.

Wyprawiałem więc teraz karawany pod wodzą wypróbowanych sług, sam zaś pozostawałem zazwyczaj w domu.

W toku owych szczegółowych zleceń i rozmowy z starym sługą, posłyszałem niezwykle głośnie i zajadłe krzyki mych żon w podwórzu. Gadatliwość ich doprowadziła mnie do złości i przeszkodziła w zajęciu, przeto wstałem, wyjrzałem oknem, a niedostrzegłszy nikogo, wyszedłem na podwórze.

Obie kobiety stały u bramy, ale nie kłóciły się z sobą, przeciwnie, po raz może pierwszy w najzupełniejszej harmonii rzuciły się wspólnie na nieszczęsnego ascetę, stojącego u wnijscia, który z obojętnością zupełną i pokorą stał pod nawałnicą klątw i złorzeczeń. Nie dowiedziałem się nigdy istotnej przyczyny wybuchu, mniemam jednak, że sam widok zdrajcy świętej sprawy rozmnażania ludzkości pobudził instynkt macierzyński kobiet, które, zwęszywszy wroga swej płci, rzuciły się nań niby dwa ichneumony na jednego kobrę.

- Łysy klecha! Łysy klecha! - wrzeszczały. - Bezwstydney żebrak! Stoi z pochylonym grzbietem jak uosobienie nabożności i kontemplacji, a tymczasem łajdak węszy, z której

strony dolata zapach gotującej się stawy. Prycha nozdrzami, niby wyprężony osieł nad śmietnikiem! Łysy klecha! Łysy klecha!

Wędrowny asceta był to mężczyzna nadzwyczajnego wzrostu. Żółty płaszcz barwy kwiatu kanikary, podobny do twego płaszcza, o czcigodny, spadał mu w malowniczych fałdach z ramienia lewego, prawe zostawiając obnażonem; mimo woli przystanąłem, podziwiając potężny splot mięśni, przystojny raczej wojownikowi niż mężowi świątobliwemu. Rysująca się pod płaszczem mocarna budowa ciała jego również przypominała rycerza, a patrząc na miseczkę żebraczą w jego dłoni, miałem wrażenie, że winna tam tkwić raczej maczuga, nabijana żelaznymi gwoźdźmi. Pochylił głowę na piersi, na twarzy nie drżał mu ni jeden mięsień i, stojąc tak u drzwi, wydawał się posągiem, mistrzowsko wyrzeźbionym przez artystę, który zapragnął rozślawić hojność, doznawaną przez pielgrzymów, jawiących się w domu moim.

Spokój ten uważały moje kobiety widocznie za pogardę i miały się coraz bardziej, tak, że doszłoby pewnie do czynnych zniewag, gdyby nie to, iż zainterwenjowałem i, wykazawszy żonom, jak haniebnie postępują, zapędziłem je do domu.

Potem, przystąpiwszy do ascety, pokłoniłem się z uszanowaniem i rzekłem:

- Racz, o czcigodny, przebaczyć głupie i nieprzystojne słowa babom, których rozum ma najwyżej dwa palce szerokości, nie zwracaj, o czcigodny, gniewnego spojrzenia na dom mój. Sam napełnię twą miseczkę najlepszymi potrawami, jakie posiadam. Jakże się cieszę, iż jest do tej pory pusta. Niebawem nie będzie w niej miejsca ni na jeden kęs, a w ten sposób żaden z sąsiadów dnia dzisiejszego nie zaskarbi sobie zasługi nakarmienia sługi bożego. Trafiłeś, jak sądzę, o czcigodny, wyśmienie, bo zaprawdę w mieście nigdzie nie znalazłbyś lepszego jada. Wszyscy powtarzają, mówiąc o smacznej uczcie: - je się tam, jak u kupcy Kamanity. Ja jestem właśnie Kamanita. Racz tedy, świątobliwy mężu, przebaczyć co zaszło i nie rzucaj klątwy na dom sługi twego.

Pielgrzym odrzekł na to z miną dosyć nawet, jak mi się wydało, życzliwą:

- Jakżeby, o gospodarzu, mógł gniewać się za błahą połajankę, gdy wdzięcznym być mi jeno przystoi za dużo gorsze traktowanie. Niedawno wybrałem się o świcie, w płaszczu, dzierząc miseczkę jałmużniczą, w ulice tego miasta. A był to czas, kiedy djabeł Mara podjudził przeciw braciom mego zakonu nie tylko gospodarzy, ale nawet braminów. Zewsząd rozlegał się krzyk: - Precz z świątobliwymi ascetami, knijcie ich, bijcie, wypędzajcie, szczujcie psami! - Idąc ulicami, byłem wystawiony na prześladowanie, rzucono we mnie kamieniami, skorupami naczyń, obito kijem, posiniaczono me ręce. Gdy wróciłem do mistrza mego ranny, okryty krwią, w podartym płaszczu, rzekł mi: - Cierp, asceto, znoś wszystko

spokojnie i pokornie, albowiem z łaski bożej pokutujesz już w tem życiu za winy, którebyś okupić musiał męką w życiu przyszłym.

Na dźwięk głosu ascety, doznałem dziwnego wrażenia, zadrżałem, a zimny dreszcz przeniknął mnie od stóp do głowy. Każde jego słowo wydawało mi się mieczem, zanurzającym się w mem ciele, albowiem... o czcigodny... był to głos Angulimali, rozbójnika... Tak, nie ulegało wątpliwości, przede mną stał ów potwór krwiożerczy. Poznałem go, śledząc bacznie rysy jego, poznałem go, mimo że przedtem broda zakrywała całą niemal twarz, teraz zaś był ogolony zupełnie. Nie mogłem nie poznać owych oczu łyskających ongiś złośliwie z pod nastroszonych, zrośniętych brwi, mimo że spozierały teraz niemal życzliwie, dzięki obłudzie i sztuce udawania. Żyłaste palce, obejmujące teraz żebraczą miseczkę, były to te same szpony, które w śmiertelnym uścisku zawarły się ongiś na gardle mojem.

- Jakżebyś, o gospodarzu - dodał na zakończenie pielgrzym - jakżebyś mógł gniewać się z powodu kilku przykrych słów wobec tego, co powiedział mistrz mój ukochany: Zaprawdę powiadam wam, uczniowie moi, choćby was rozbójnicy i mordercę przecinali piłami na poły, choćby wam odrąbywali ręce i nogi, to ten z pośród was, któryby wpadł w gniew w chwili męki, niegodny jest być uczniem moim, bowiem nie zrozumiał nauki, jaką głoszę.

Gdym posłyszał, o bracie, te słowa, skrywające szatańską, dla mnie aż nadto zrozumiałą treść i strasliwą pogroźkę, ugięły się pode mną nogi, tak że musiałem chwycić się bramy, by nie upaść. Z wielkim wysiłkiem zdobyłem się na tyle, że w kilku słowach i gestach poprosiłem zbójcę, by zechciał zaczekać aż mu przyniosę jedzenie, potem zaś pospieszyłem, chwiejąc się, do kuchni, gdzie właśnie gotowano posiłek dla całego domu i mnóstwo rynek i rondli syczało na ogniu. Wybrałem pospiesznie i troskliwie zarazem co najlepsze kąski, poczem schwyciwszy złotą czaszę i dzban, w otoczeniu służby powróciłem do mego strasliwego gościa, by go nasycić, a przeto może przebłagać i skłonić do zgody.

Ale Angulimali nie było już przed domem.

XVI.

W BOJOWEM POGOTOWIU.

Padłem na pół omdlały na ławkę, po chwili jednak myśl moja zaczęła żywo pracować. Angulimala przybył do Ujjeni, nie było żadnej wątpliwości, a także powód tego przybycia wydał mi się zupełnie jasny. Ileż się nasłuchiwałem o jego mściwości i zaciętości! Niestety, zabiłem jednego z jego najbliższych przyjaciół, a czasu pobytu pośród rozbójników przekonałem się, że przyjaźń cenią równie jak ludzie uczciwi, wyżej ją nawet może stawiając. Dopóki byłem jego więźniem, nie mógł mnie Angulimala zabić, nie przekraczając zasad „okupników”, a jednak usiłował dokonać tego dwukrotnie bez względu, iż w ten sposób splamiłby cześć swoją strasznie. Teraz chciał widocznie postawić na swoim i w tym celu odbył daleką podróż w naszą okolicę. Rozejrzał się dokładnie po mieście, przebrany za ascetę i niewątpliwie tejże jeszcze nocy przystąpi do dzieła. Chociaż zauważyć musiał, że go poznałem, nie mógł się cofnąć, noc ta bowiem była ostatnią ciemnej połowy miesiąca, a w razie zamachu w połowie jasnej, wykroczyłby przeciw świętym zasadom praw zbójnickich i ściągnął na siebie gniew i karę nieubłaganej bogini Kali.

Kazałem osiodłać najlepszego konia i udałem się do pałacu królewskiego. Nietrudno mi było uzyskać posłuchanie, atoli ku wielkiemu przerażeniu dowiedziałem się, że monarcha przebywa właśnie w jednym z odległych zamków myśliwskich. Musiałem poprzestać na ministrze. Niestety był nim ten sam mąż, z którym jako naczelnikiem poselstwa jeździłem po raz pierwszy do Kosambi i nie chciałem wracać pod jego opieką. Od tego czasu dawał mi niejednokrotnie do poznania, iż mi nie sprzyja, a nawet przyganiał memu sposobowi postępowania i nawykom. Nie było mi wcale przyjemnie wytaczać przed nim sprawy, atoli mając za sobą niezaprzeczalny fakt, oraz pewnym będąc, że czynię dobrze, oddając w ręce władz rozbójnika, sądziłem, iż mogę nie zważać na osobiste stosunki.

Opowiedziałem jak mogłem najjaśniej i najkrócej, co się zdarzyło przed moim domem i dodałem zrozumiałą całkiem prośbę, by na tę noc wysłano do mnie oddział wojska celem ochrony, a także celem schwytania Angulimali.

Minister wysłuchał mych słów w milczeniu i z zagadkowym uśmiechem odpowiedział:

- Drogi Kamanito! Nie wiem, czyś już dziś zajrzał głęboko do dzbana, czy może zostajesz

jeszcze pod wpływem nocnej birbantki, jakie się u ciebie tak pono często odbywają, że weszło to w przysłowie. Może też zepsułeś sobie żołądek ostremi i korzennymi potrawami tak dalece, iż nie tylko w nocy, ale w dzień jasny trapi cię zmora. Tym jeno okolicznościom przypisać mogę posłyszana awanturę, albowiem wiemy dobrze wszyscy, że Angulimala od dawna już nie bawi na tym łożu padole.

- Była to pogłoska fałszywa, jak się okazuje! - zawołałem popędliwie.

- Nie jestem tego zdania! - odrzekł ostro. - Nie może być mowy o fałszywej pogłosce, skoro mi sam Satagira opowiadał w Kosambi, niedługo po pogromie bandy, iż Angulimala zginął na torturach w podziemiu pałacu ministerjalnego, a głowę jego widziałem na własne oczy, tkwiącą ponad wschodnią bramą miasta.

- Nie wiem czyją głowę widziałeś, - powiedziałem - ja natomiast widziałem głowę Angulimali przed godziną, nietkniętą, tkwiącą na własnym jego karku. To też nie tylko nie zasługuję na twe drwiny, ale należy mi się uznanie, albowiem daje ci sposobność...

- Zabicia nieboszczyka i ośmieszenia się raz na zawsze! - zawołał, przerywając, minister. - Dziękuję za tę sposobność, ale z niej korzystać nie myślę.

- Proszę więc zważyć - ożwałem się, doprowadzony do desperacji - że pałac mój i park, który ma ulec spustoszeniu, nie jest byle jaką budą, ale zalicza się do osobliwości miasta, a sam nawet monarcha nasz raczył go podziwiać. Nie wiem, czy ci to weźmie za dobre, gdy z twej winy padnie pastwą rabunku i pożogi.

- To nie moja sprawa! - oświadczył ów potwór, śmiejąc się, i dodał: - Radzę ci, drogi Kamanito, udaj się do domu, pokrzep snem nadwątlone siły i przestań myśleć o całej rzekomej napaści. Cała rzecz poszła stąd, iż nawiązałeś swego czasu w Kosambi stosunek z jakąś damulką, a przez to, nie zważając na słowa moje, pozostałeś w tem mieście. Gdyby nie to, nie wpadłbyś w ręce Angulimali i dzisiaj nie dręczyłbyś się płonną i bezpodstawną obawą. Pozatem dwumiesięczny pobyt u rozbójników nie wpłynął wcale dodatnio na twój charakter i obyczaje, o czym zaświadczyć może całe Ujjeni.

Wypalił mi jeszcze długie kazanie i odprawił z niczem.

W powrotnej drodze rozważyłem, co mi czynić wypada, to też, przybywszy do domu, kazałem spakować kosztowności, dywany, złote i srebrne naczynia, włożyć na wozy i ukryć bezpiecznie wśród murów miejskich. Potem rozdzieliłem broń pomiędzy ludzi i za sowitą zapłatą nająłem na tę noc dziarskich zuchów z pośród szumowin miejskich. Nie każdy mógł sobie na to pozwolić, bo obrońcy byli nader groźnym żywiołem, ale zaufałem pewnym przyjaciółkom moim, które mi zaręczyły za onych łotrzyków. Zresztą wiedziałem z doświadczenia, że słowo, oraz zadatek świętsze są dla nich, niżli dla tak zwanych uczciwych

ludzi.

Zawiadomiłem także żony, że mają się przysposobić, gdyż zaraz po zachodzie słońca udadzą się wraz z dziećmi do domu ojca mego. Nie powiedziałem, jak to potrwa długo, gdyż umyśliłem zażyć nieco spokoju przez pozbycie się ich na czas jakiś, o ile oczywiście zdołam napad odeprzeć. Także nie podałem powodu owego rozkazu, powodów bowiem nie mówi się kobietom.

Właśnie przemawiałem do służby, zachęcając do wytrwałej obrony, gdy obie żony wpadły z takim wrzaskiem, że musiałem umilknąć.

Stanąwszy przede mną, zaczęły wołać obie razem:

- Na koniec powiodło się tej szelmie odwrócić ode mnie twe serce! Chcesz wygnać swą małżonkę prawowitą i w haniebny sposób odesłać do domu rodziców wraz z dwiema niewinnymi córeczkami!... wraz z niewinnym synkiem twoim!

Wściekłość, wspomagana dzielnie głupotą, nie pozwoliła im zmiarkować, że obie się wzajemnie obwiniały o jedno i to samo, że spotyka je ten sam los, a przeto musi zachodzić jakaś omyłka. Wrzeszczały, wydierały sobie włosy i miały na siebie wyrazy, nie mieszczące się stanowczo w słowniku dziewczek ulicznych.

Doszedłszy do słowa, powiedziałem, że nie wiedzą o co idzie, gdyż udadzą się nie do domów rodzicielskich, ale obie razem do domu mego ojca i to nie z powodu niełaski z mej strony, ale celem zabezpieczenia ich samych i dzieci przed spodziewanym napadem. Widząc, że na koniec zrozumiały, dałem się unieść i rzekłem:

- Wszystko wynikło z waszego grubijaństwa i głupoty. Ładnie wyszedł na wyzwiskach, jakimiście obrzuciły owego łysego klechę. Wiecież kto to był? Angulimala we własnej osobie, rozbójnik krwiożerczy, który zabija ludzi i z palców ich czyni sobie naszyjniki. Jegoście zwymyślały i doprowadziły do pasji, ja zaś i moi słudzy musimy za to pokutować, dom zostanie prawdopodobnie spalony, a kto wie, czy dzieci moje będą bezpieczne w domu ojca mego!

Kobiety, zrozumiawszy na koniec całą rzecz, zaczęły ponownie wrzeszczeć i lamentować, jakby miały nóż na gardle, i chciały uciekać wraz z dziećmi, gdzie oczy poniosą. Wy tłumaczyłem im, że na razie nic nie zagraża, a napad przed północą nie nastąpi. Kazałem im spakować rzeczy, jakich potrzebować mogą czasu pobytu w mieście, i udały się też posłusznie do wnętrza domu.

Nie zdawałem sobie jednak sprawy, mówiąc otwarcie o Angulimali, z wrażenia, jakie imię to uczyni na obrońcach moich. Dowiedziawszy się, że żyje i zamierza napaść w nocy, jeden po drugim zaczął się wymykać, potem rzucali broń całymi tuzinami i odchodzili

oświadczając, że z tym szatanem zadzierać nie myślą. W tej chwili nadszedł właśnie z miasta drugi oddział zwerbowanych zuchów, ale rozproszył się natychmiast na wieść, z kim ma przyjść do starcia. Pozostało mi około dwudziestu własnych służących z dzielnym starcem na czele i oni to przyrzekli mi walczyć do ostatniej kropli krwi w obronie domu, spostrzegli bowiem, że postanowiłem wytrwać w boju i nie oddać wspaniałego pałacu, choćby przyszło zginąć w jego gruzach.

Niespodziewanie wrócili niektórzy obrońcy, byli to straceńcy, których bój nęcił równie co najmniej jak złoto, a przypuszczali, że gdy bić się będą dzielnie, Angulimala wcieli ich do swojej bandy. W ten sposób zgromadziłem około czterdziestu zdecydowanych na wszystko i dobrze uzbrojonych zuchów.

Tymczasem zaszło słońce i zajechał wóz, mający odwieźć kobiety. Zjawiły się po trochu uspokojone, ale podniosły nowy wrzask, spostrzegłszy, że nie jadę z nimi. Rzuciły mi się do nóg, czepiały się odzieży, i wylewały potoki łez, zaklinając, bym ratował życie.

- Panie nasz i obrońco, nie opuszczaj nas! - wołały. - Nie rzucaj się w rozwartą paszczę śmierci!

Oświadczyłem, że jeśli pojedę, dom zostanie spalony, park zniszczony, a magazyny z towarami splondrowane, przez co syn i córki utracą cały niemal spadek. Jeśli zaś wytrwam, może wszystko ocaleje, gdyż niewiadomo, jaką siłą zbrojną rozporządza Angulimala.

Obie żony jęły znów wrzeszczeć, lamentując, iż rozbójnik mnie zamęczy, a potem zrobi sobie naszyjnik z mych palców, w końcu zaczęły złorzeczyć własnym kłębom i prorokować sobie wzajem straszliwe kary w życiu przyszłym.

Objawiłem stanowczo, że zostanę, i wsadziłem je na wóz, ledwo jednak woły ruszyły, niewiasty rozpoczęły zacięty spór, miotając na siebie obelgi.

- Tyś zaczęła pierwsza! - Nie, ty! - Tyś mi zwróciła uwagę na owego draba! Tak jest! Pokazywałaś nań palcem! - A tyś nań napluła... widziałam czerwoną ślinę! Ja nie żuję nigdy przed południem betelu... nie uczyniłabym tego za nic w świecie! - Aleś go nazwała włóczęgą, darmozjadem, osłem, co węszy nad śmietnikiem! - Tyś mu powiedziała, że jest łysym klechą!...

Wrzeszczały jak opętane, ale głosy ich zatoneły niebawem w turkocie kół i łoskocie kopyt po gościńcu.

XVII.

BEZDOMNY PIELGRZYM.

Ogarnęła mnie niewysłowiona, cudowna cisza, - gdym wrócił do domu, rozstawiwszy ludzi na posterunkach. Byłem pewny przynajmniej, że nie zabrzmi nagle wrzask niewieści i że nie zacznie się duet piekielny, doprowadzający mnie do rozpacz. Cisza niepojęta, błoga, dawno niezaznana, przejęła mnie radością wielką.

Park i pałac wydały mi się stokroć miłsze, bliższe sercu i zadrzałem na myśl, że może paść łupem rozbójników to, w co włożyłem tyle wysiłków i umiłowania. Nie bałem się tyle o własne życie, co o te precudne drzewa, kwiaty, altany, wodotryski, sadzawki i marmurowe, zdobione prześlicznie kolumny. Wszystko miało się w ciągu godziny zmienić w kupę gruzów, jakie tyle razy oglądałem podczas wypraw zbójceckich srogiego Angulimali.

Na razie nie mogłem uczynić nic innego, jak tylko czekać, bo do północy brakowało jeszcze kilku godzin.

Dotychczas żyłem w ustawicznym wirze uciech i interesów i nigdy nie mogłem zebrać myśli spokojnie. Teraz, nie mając żadnego zajęcia, siedziałem samotny w ogromnym pałacu, cichym, mrocznym o drzwiach i oknach otwartych na park i oto od długich lat, od dzieciństwa nieledwie po raz pierwszy dopiero znalazłem się sam z sobą. Po raz pierwszy myśli moje skierowały się ku mnie i całe życie zarysowało się żywo przed memi oczyma. Spoglądając na siebie, jakby na obcego człowieka, nie doznawałem zgoła miłych wrażeń.

Rozmyślenia te przerywałem kilka razy, obchodząc dom i badając, czy ludzie nie zesli z wyznaczonych placówek. Wracając po raz trzeci, czy czwarty z takiej lustracji, zauważyłem, orientując się podług gwiazd, do czego nawykłem w podróżach, że do północy brak tylko pół godziny, to też zawróciłem ponownie, zagrzewając obrońców do baczenia i odwagi. Czułem, że krew mi tętni w żyłach, a gardło ściska kurcz strachu. Usiadłem znowu w jednej z komnat, ale nie mogłem myśleć, ucisk legł mi na piersiach i zdawało mi się, że się duszę.

Zerwałem się i wyszedłem pod kolumnadę, by zaczerpnąć powietrza. Rzeźwy powiew wiatru musnął mi policzek i posłyszałem krzyk sowy. Jednocześnie przypląnęła od strony stawu wonna fala zapachu lotosów. Podniosłem oczy na gwiazdy, by zmierzyć czas, zauważyłem przewijającą się pośród czubów drzew świetlaną drogę mleczną.

- Ganga niebiański! - wyszeptałem mimo woli i nagle ucisk dławiący mnie znikł, uczułem w piersiach ciepłą falę, wznosiła się coraz to wyżej i wreszcie z oczu mych trysnął strumień łez.

Rozważając przedtem życie moje, wspomniałem co prawda o Vasitthi i okresie szczęścia i miłości, ale wydało mi się to dalekie jakieś i obce, niby sen przykry a przeminiony. Teraz nie myślałem już, ale przeżywałem to powtórnie, byłem dawnym sobą i obecnym sobą i z prawdziwym przerażeniem spostrzegłem wielką pomiędzy temi dwiema osobami różnicę. Wówczas nie posiadałem nic prócz siebie i miłości mej nierozłącznej ode mnie! Dziś... ach, czegoż nie posiadałem... żony, dzieci, słonie, rumaki, bydło, woły pociągowe, służbę, niewolników, magazyny pełne towarów, złoto, klejnoty, wspaniały park i pałac, budzący zazdrość współobywateli... tylko siebie samego nie posiadałem wcale. Niby w niedoszłym owocu zwiędło we mnie jądro i znikło, a wszystko zmieniło się w grubą lupinę...

Zbudziłem się i spojrzałem wokół.

Inaczej mi się teraz przedstawił obszerny park, którego czarnoczube drzewa wznosiły się ku usianemu gwiazdami, przepasanemu drogą mleczną niebu, innym wydał się pałac o dumnej kolumnadzie, z której zwisały alabastrowe lampy. Wyglądało to wszystko obco, a nawet wrogo i groźnie, niby błyszcząca gromada szatańskich wampirów, które wysssały już krew serca mego i rozdziawiały paszcze, żądne ostatniej kropli, po której pozostaną jeno zwłoki zmarnowanego życia.

Nagle doleciał mnie niewyraźny szmer, szept, czy odgłos kroków. Zerwałem się, zbiegłem po stopniach terasy, ściskając miecz w dłoni i stanąłem, nadsłuchując bacznie. Sądziłem, że nadchodzą rozbójnicy, ale cisza panowała niezmacona. Był to jeden z owych niezbadanych odgłosów nocy, który biwakujące karawany zmusza do zerwania się od ogniska. Nic nie stało się wokoło mnie, ale dużo zmieniło się we mnie samym. Nie doznawałem strachu, wzbudzającego tętnienie krwi, nie było to męstwo rozpacz... nie... nie, to radość wielka zagościła do serca mego.

- Witajcież, rozbójnicy! Witaj, Angulimalo! - zawołałem w duchu. - Palcie i niweczcie wszystko, albowiem skarby moje to wrogi śmiertelne. Zrzućcie z piersi mych to brzemię, które mnie ugniata. Dalejże do dzieła! Umoczcicie miecze w krwi mojej! Ciało bowiem, oddane rozpuście, obżarstwu i pijaństwu, to najgorszy nieprzyjaciel! Witajcież... witajcie, rozbójnicy... przyjaciele moi, druhy serdeczne!

Nie mogło potrwać długo czekanie, albowiem północ minęła. Radowałem się myślą o walce. Chciałem pokazać Angulimali, że tym razem nie wytrąci mi miecza z dłoni. Chciałem umrzeć, przesywszy go poprzód na wylot i byłbym umarł z uczuciem rozkoszy, zabiwszy

tego, który był przyczyną całego mego nieszczęścia.

- Już zaraz nadejdą! - powtórzyłem sobie, nie wiem już który raz tej nocy. - To oni...!

Nie... to szumią czuby drzew. - Szum gasł, zamierał i wracał ponownie, a od czasu do czasu rozlegał się krzyk jakiegoś ptaka.

Były to oznaki nadchodzącego świtu. Czyż miałem doznać rozczarowania? Drżałem teraz na myśl, że rozbójnicy mogą nie przybyć. Niezmiernie żywo odczułem skon... krótka, zjadła walka i już po wszystkim... Nic mi się nie wydawało przykrzejszem nad to, że znajdę się tutaj rano, w tem samym otoczeniu, skazany na takie samo życie. Czyż tak się ma stać? Czyż nie nadejdzie wyzwolenie? Był już niewątpliwie czas ostatni, ale nie śmiałem nawet dowiadywać się, która godzina. Nie pojmowałem, co się stać mogło. Czyżby zmysły moje uległy złudzie, gdym w wędrownym ascecie poznał Angulimalę. Ciągłe mi wracało do głowy pytanie, atoli nie mogłem uwierzyć, by tak było. Jeśli on to przybył w rzeczywistości, tedy wrócić musi, bowiem nie użył tak chytrego przebrania po to jeno, by mi się pokazać, a potem zniknąć, jakby go ziemia pochłonęła. Wywiedziałem się najdokładniej, co czynił i okazało się, iż nigdzie w całym mieście nie prosił o jałmużnę.

Z otepienia zbudziło mnie zachryple pianie półsennego jeszcze koguta. Na niebie z trudnością mogłem jeno odnaleźć konstelację, której szukałem, bo gwiazdy niektóre skryły się już poza kępy drzew, a wszystkie, z wyjątkiem zawieszonych wysoko na kopule nieba, utraciły dużo blasku. Nie ulegało wątpliwości, że zbliżało się świtanie, zaczem o napadzie Angulimali nie mogło być mowy w ogóle.

Teraz stała się rzecz najdziwniejsza z pośród wszystkich dziwów przeżytych tej nocy.

Uświadomiłem sobie pewną myśl, nie doznając wcale rozczarowania, a także żadnej nie czując ulgi z powodu minionego niebezpieczeństwa. Nowa myśl nadeszła i napełniła całą duszę moją.

- Cóż mi po tych rozbójnikach?

Pragnąłem, by pochodniami i smolnemi wiciami uwolnili mnie od brzemienia wspaniałości, jakie były mą własnością. Ale wszakże zdarza się, że ludzie rzucają dobrowolnie mienie i idą na wędrówkę w świat daleki. Jako ptak, lecąc, zabiera jeno skrzydła swoje w drogę, podobnie czyni pielgrzym, zadowolniając się byle jakim płaszczem i jałmużniczą miseczką, która starczy na podtrzymywanie życia. - Życie rodzinne, w wygodach, to życie w norze pełnej gratów, pielgrzymstwo, to szybowanie po bezkresie nieba! - Jakże często słyszałem już owe słowa...

Przyzywałem miecza zbójników, na zagładę ciała mojego. Gdy się atoli rozpada ciało, powstaje nowe, a z życia wywodzi się inne życie jako jego owoc. Cóż się wywiedzie z życia

mego? Przysięgliśmy sobie wraz z Vasitthi na niebiańskiego Gange, którego fale srebrzyste zasilają jezioro lotosowe zachodniego raju, przysięgliśmy, iż spotkamy się w świecie, kędy żyją błogosławieni. Mówiła, że skutkiem owej przysięgi jawi się na wodach krystalicznych owego jeziora świętego żywy pąk, który wyrasta i rozwija się za każdym dobrym czynem, za każdą czystą myślą, zaś wszystko co złe i niskie, zżera go i niweczy, niby robactwo. Ach, niezawodnie pąk mój niszczał już zupełnie. Przeszedłem myślą życie moje i przekonałem się, że było nikczemne, przeto nic zeń wywieść się pięknego nie może. I cóżbym tedy zyskał na owej zamianie.

Istnieją atoli na ziemi ludzie, którzy niweczą już w swem życiu doczesnem konieczność wcieleń dalszych i zdobywają niewzruszoną pewność wieczystej szczęśliwości. Czynią to właśnie owi ludzie, którzy udają się w pielgrzymkę, rzucając za się całe mienie swoje.

- Na cóż mi tedy smolnych pochodni rozbójników i ich miecza?

Zrazu drzałem przed napaścią, potem niecierpliwie wyglądałem nadejścia bandy opryszków, całą w tem pokładając nadzieję, teraz ani się ich bałem, ani też spodziewałem, by mi coś dać mogli. Wolny od strachu i nadziei uczułem spokój wielki oraz przedsmak onego słodkiego uczucia, jakiego doznają ludzie, osiągający cel pielgrzymstwa. Jakom ja teraz był wobec rozbójników, tak oni odnoszą się do wszystkich potęg świata. Nie boją się ich i nie żywią nadziei, ale trwają w pokoju.

Jeszcze onegdaj lękałem się podjąć krótką podróż z uwagi na trudy, niewygody i nędzne jadło podczas marszu karawany, teraz postanowiłem bez namysłu zostać bezdomnym tułaczem po kres dni mego żywota, wędrownikiem, który utrzymanie swego ciała zdał na los szczęścia.

Nie wstępując już ni na chwilę w progi mego domu, udałem się do stodoły, stojącej pomiędzy ogrodem a pałacem, pełnej różnych gratów. Wziąłem kij poganiacza wołów, a przyciąwszy koniec, przemieniłem go w ten sposób w łaskę pielgrzyma, potem zawiesiłem przez ramię pękatają flaszę, używaną przez robotników rolnych, lub ogrodników.

Napełniłem naczynie wodą studzienną.

W tej chwili przystąpił do mnie stary sługa i rzekł:

- Panie! Chyba że Angulimala i banda jego nie przybędą już?

- Nie, Kolito, - odparłem - rozbójnicy nie nadejdą.

- Jak to, panie, wychodzisz o tak wczesnej porze? - spytał.

- Tak, Kolito, wychodzę i właśnie w tej sprawie chcę z tobą pomówić. Odchodzę szlakiem, zwanym drogą ptaków przelotnych, a z drogi tej nie masz powrotu dla człowieka, który wytrwać godny. Nie wróci on już po śmierci na ten świat, podobnie jak nie zagości

przez czas życia w progi domu. Oddaję w ręce twe i pod straż twoją wszystko co posiadam, gdyż jesteś wierny i życie własne poświęcić mi chciałeś. Rządź domem i mieniem, aż syn mój osiągnie lata dojrzałe. Pozdrów ojca mego i żony i niech ci się wiedzie we wszystkim!

Uwolniwszy rękę z objęć Kolithy, który okrywał ją łzami i pocałunkami, postąpiłem ku bramie. Zobaczywszy miejsce, gdzie stała niedawno postać ascety, zrozumiałem, że chociażby podobieństwo jej z Angulimalą było jeno złudzeniem, to zjawisko to pojąłem i wytłumaczyłem sobie zupełnie trafnie.

Minąłem szybko pełne ogrodów przedmieście, nie oglądając się, ni zatrzymując, i niebawem wstąpiłem na pusty gościniec, ścielący się w szarości świtu, kędyś w dal nieskończoną.

W ten oto sposób, o czcigodny, stałem się bezdomnym i wolnym.

XVIII.

W PRZEDSIONKU GARNCARZA.

Umilkł Kamanita, wyrzekłszy słowa, któremi zamknął opowieść swoją, i patrzył zadumany ponad siebie.

Mistrz milczał, również przed siebie patrząc. Mieli przed oczami rozliczne grupy drzew, bliższe i dalsze. Jedne tworzyły cieniste gąszcze, inne na podobieństwo chmur strzępiastych znańczyły się w oddali, w mgłę się zwiwną rozpływając.

Księżyc wisiał teraz ponad szczytowiskiem dachu i światło jego padało w przednią jeno część sieni, gdzie leżały na ziemi płachty samodziału, dla wybielenia. Po stronie lewej błyszczał słup, podpierający przydasze, jakby był srebrem szczerem okuty.

Było tak cicho, iż słyszeli, jak pasąca się gdzieś w pobliżu bawolica w miarowych odstępach skubała chrupliwie zębami trawę.

Mistrz dumiał i mówił do siebie: - Czyż mam pielgrzymowi temu już dziś powiedzieć, co wiem o Vasitthi? Czyż ma się przekonać, iż była mu wierną, a wyszła za Satagirę jeno skutkiem haniebnego oszustwa? Czyż wykazać, iż za jej to sprawą zjawił się w Ujjeni Angulimala, a zatem on sam, Kamanita, znalazł się na szlaku pielgrzymstwa, miał marnieć na śmietniku dobrobytu? Czyż mam mu wyjawić, jaką teraz kroczy Vasitthi drogą?

Po namyśle rozstrzygnął, iż ów czas jeszcze nie nadszedł i że te wiadomości nie byłyby korzystne dla pielgrzyma, oraz spaczyćby mogły wysiłek jego.

Mistrz ozwał się tedy:

- Cierpieniem jest rozłąka z ukochanymi, cierpieniem życie z tymi, których się nie kocha. Ten, kto to wyrzekł, znał życie i ludzi.

- Prawda to czysta i głęboka! - zawołał wzruszonym głosem pielgrzym. - Któż to powiedział, o czcigodny?

- Mniejsza z tem, kto powiedział, jeśli jeno odczuwasz i wiesz, pielgrzymie, iż słowa owe są prawdziwe.

- Jakżebym mógł nie odczuć sercem i myślą prawdy, która w słowach niewielu zawiera cały ból mego życia. Gdyby nie to, że obrałem już sobie mistrza, udałbym się natychmiast na poszukiwanie dostojnego mędrca, będącego ich twórcą.

- Masz tedy mistrza, którego naukę wyznajesz i w imię którego udałeś się w drogę bezdomnych?

- Nie ruszyłem w drogę bezdomnych pod hasłem imienia któregoś z nauczycieli, o czcigodny, a wybierając się w nią, pragnąłem sam dopiąć zamierzonego celu. Wypoczywając w pobliżu wsi pod drzewem, lub gęstwie lasu, zagłębiałem się żarliwie w rozmyślenia. Zadawałem sobie pytania: Czem jest dusza, czym świat, czy świat jest wieczny, czy dusza nie ginie, czy świat przemija, czy dusza przepada, czy świat jest wieczny, a dusza doczesna, czyli też przeciwnie, świat doczesny, a dusza wiekuista? Pytałem się też, dlaczego Brahma najwyższy stworzył ten świat z siebie, a gdy tak się stało, to dlaczego świat ten jest niedoskonały i pełen cierpień, gdy przecież Brahma jest doskonały i czystą jeno rozkoszą napelnia.

Rozważałem tedy pytania, o czcigodny, i nie mogłem dojść do zadowalającego rozwiązania. Coraz to nowe jawiły się wątpliwości i nie mogłem ni krokiem zbliżyć się do celu, dla którego tylu szlachetnych ludzi porzuca domowe ogniska i udaje się szlakiem pielgrzymstwa.

- Podobnie dzieje się, o pielgrzymie - odrzekł mistrz - podobnie dzieje się człowiekowi, który, bieżąc ku skrajowi widnokregu, woła: O, kiedyż dojdę do końca, kiedyż sięgnę poza horyzont mój? - Cel ucieka przed każdym, kto się doń zbliżać usiłuje.

Kamanita potwierdził skinieniem i mówił dalej:

- Zdarzyło się dnia pewnego, kiedy cienie wydłużyły się już znacznie, że natrafiłem na osiedle pustelnicze, położone na leśnej polanie. Młodzi, biało ubrani ludzie doili krowy, rąbali drzewo, płukali naczynia w źródle, oraz zajmowali się inną pracą domową. Pośrodku siedział na macie stary bramin, który widocznie uczył młodych pieśni. Powitał mnie życzliwie i mimo, że jak sam mówił, od wsi najbliższej dzieliła mnie niespełna godzina drogi, zaprosił do siebie na posiłek i nocleg. Przystąpiłem z wdzięcznością i, zanim sen skleił mi powieki, dowiedziałem się odeń wielu pięknych rzeczy. Kiedym się nazajutrz wybierał w drogę dalszą, spytał mnie sędziwy bramin:

- Kto jest mistrzem twym, o pielgrzymie, i pod jakiego hasłem imienia udałeś się szlakiem pielgrzymstwa? - Ja zaś powiedziałem mu to, co tobie.

Wówczas rzekł bramin:

- Jakże chcesz, o pielgrzymie, osiągnąć swój cel, gdy wędrujesz samotnie, niby nosorożec, nie zaś jak mądry słoń z trzodą, wiedzioną przez doświadczonego wodza?

Wymawiając słowo „trzoda”, objął życzliwym spojrzeniem zebranych młodzieńców, gdy zaś wypowiadał wyraz: wódz, uśmiechnął się dumnie z myślą o sobie.

- Cel ten - ciągnął dalej - jest zbyt wysoki, szczytny i niedostępny, byś go mógł osiągnąć bez mistrza. Sama Weda, w ustępie, gdzie mowa o pouczeniu danem Svetakacie, powiada: Wyobraź sobie, drogi synu, iż przywieziono z kraju Ghandarów męża z zawiązanymi oczyma i puszczono w pustynię. Tedy mąż ów będzie błąkał się na północ, południe, wschód i zachód, jako że nie wie dokąd iść. Kiedy mu się zdejmie opaskę i, wskazując ręką, powie: Oto tam leży kraina Ghandarów, tam idź, pytając od wsi do wsi o drogę, tedy mąż ów trafi do ojczyzny. Tak się dzieje z pielgrzymem, który znalazł mistrza. Powiada on sobie: Wytrwam pośród wiru tego życia aż do godziny wyzwolenia, a potem wrócę do ojczyzny mojej. Słyszając to, poznałem, że braminowi temu szło o pozyskanie mnie na ucznia, ale właśnie pożądanie owo nie wzbudziło mego zaufania. Natomiast upodobałem sobie w owej cytacie z Wedy, i by jej nie zapomnieć, powtarzałem ją sobie w drodze. Przyszło mi również na myśl, co usłyszałem raz o pewnym mistrzu: - Mąż doskonały nie pożąda uczniów, ale uczniowie pragną męża onego! - Jakże, myślałem, odmiennym być musi ów mistrz od braminy z lasu i oto teraz, o czcigodny, pożadam całym sercem tego doskonałego mistrza i nauczyciela.

- Któż był mistrzem onym, którego pochwałę słyszałeś i jakie nosi imię? - spytał asceta.

- Zwie się on Gautama, mój bracie, a pochodzi z rodu Sakjów, których wzgardził dziedzictwem i mieniem. Onego mistrza, Gautamę, witają wszyscy radosnym okrzykiem: Oto mąż dostojny, święty, wiedzy pełny i życia prawa znający, oto mistrz bogów i ludzi, oto zbudzony doskonale, prawdziwy Buddha! Pod jego to imienia hasłem wędruję teraz i do jego chcę się przyznać nauki.

- Gdzież przebywa obecnie, bracie mój, ów dostojny, doskonale zbudzony mąż święty? - spytał asceta.

- Przebywa pono w północnym kraju Kosali, w mieście Savatthi, Pod miastem jest gaj lesisty Jetawana, pełen wielkich, cienistych drzew i tam, z dala od zgiełku siedzą ludzie i rozmyślają swobodnie na łonie ciszy, pośród szmaragdowych, zionących chłodem stawów, za maty zaś służy im cudna, zielona trawa, usiana wielobarwnym kwieciem. Gaj ów kupił przed laty bogaty Anapindika od księcia Jęty, płacąc tyle złota, iż całą przestrzeń możnaby niem pokryć, i darował go wielkiemu Buddzie. Tam przeto w Jetawanie uroczym, kędy krążą rzesze mędrców, tam przebywa teraz dostojny, zbudzony doskonale mąż. Mam nadzieję, że jeśli będę szedł spiesznie, zdążę pokonać przestrzeń, dzielącą mnie od Savatthi, w ciągu czterech tygodni i usiądę u stóp mistrza.

- Czyś już widział kiedy, pielgrzymie, owego dostojnego męża i czybyś go poznał, spotkawszy w drodze?

- Nie, bracie, nie widziałem dotąd i nie rozpoznałbym mistrza!

Mistrz pomyślał tedy:

- W moje imię odbywa człowiek ów pielgrzymkę i do mojej przyznać się chce nauki, czyżby nie należało tedy wyłożyć mu zasad tejże?

Zwrócił się do Kamanity i rzekł:

- Księżyc wzniósł się dopiero poza przydasze i nie jest późno, zaś długi sen niedobrym jest dla ducha. Jeśli chcesz tedy, odwzajemniając ci się za opowieść twoją, wyłożę ci zasady nauki Buddy.

- Bardzo tego pragnę i proszę, uczyn jak rzekłeś, o czcigodny.

- Tedy bacz pilnie na to, co powiem, pielgrzymie.

XIX.

MISTRZ.

Dostojny mistrz ozwał się w te słowa: Mąż, doskonały, mąż zbudzony w pełni, wprawił w ruch koło wiedzy w Benares, obok Skały Jasnowidzenia, w gazelowym gaju i odtąd przeciwstawić mu się nie może żaden asceta, kapłan, bóg, djabeł, ani żadna istota tego świata. Nauka ta jest objawieniem, odsłonięciem czterech świętych prawd. Jakież to prawdy? Są to cztery prawdy święte, dotyczące cierpienia, powstania cierpienia, zniweczenia cierpienia i sposobu jego zniweczenia, czyli drogi, jaka do tego wiedzie celu.

Jakże, o bracie, brzmi święta prawda, dotycząca cierpienia? Oto: cierpieniem jest narodzenie się, starość, choroba, śmierć, troska, rozpacz, ból, gniew i smutek. Cierpieniem jest rozłąka z ukochanymi i współzycie z tymi, których nie kochamy. Cierpieniem jest też, gdy nie osiągamy celu naszego pożądania, słowem przywiązania do rzeczy tej ziemi w każdej formie jest cierpieniem. Tak brzmi, o bracie, święta prawda, dotycząca cierpienia.

Jakże brzmi święta prawda, dotycząca powstania cierpień? Przyczyną cierpień jest pożądanie, wiodące z jednego wcielenia w drugie, któremu towarzyszy rozkosz i namiętność, jest nią żądza użycia, żądza bytu, żądza ku temu, co przemija. Oto tak brzmi, bracie, święta prawda, dotycząca przyczyny cierpienia i jego powstania.

Zaś prawda, dotycząca zniweczenia cierpienia, brzmi: Zniweczenie cierpienia polega na zupełnym wytrzebieniu onej żądz, na doszczętnym zaniechaniu pragnień, na porzuceniu ich, uwolnieniu się, oderwaniu, usamowolnieniu, czyli na wyzwoleniu się człowieka. Oto tak przedstawia się, bracie, święta prawda, dotycząca zniweczenia cierpień.

Święta prawda, dotycząca sposobu wyzwolenia się z cierpień, czyli drogi do tego celu wiodącej, opiewa tak: Droga ta jest ośmiokrotna, polega zaś na należytem poznaniu, należytem postanowieniu, odpowiednich słowach, czynach, sposobie życia, dążeniu, myśleniu i kontemplacji. Tak brzmi, bracie, święta prawda, dotycząca sposobu zniweczenia cierpień.

Mistrz ustawił w ten sposób kamienie węgielne nauki, potem zaś rozpoczął budować gmach, czyniąc zeń przybytek miły dla myśli i upodobań ucznia swego. Objasniał poszczególne zdania, podobnie jak się obciosuje i gładzi kamienie, kładąc prawdę na prawdę, jak się buduje ściany, dopasowując troskliwie wszystko, by trwałem było. Obok kolumny

myśli o cierpieniach, postawił kolumnę idei znikomości, połączył je razem i nakrył niby bierzmem, ważką i ważną nauką o bezistotności wszelakich zjaw. Zbudowawszy ten mocarny portal, zaczął się posuwać ostrożnie, wiodąc ucznia za rękę, krok za krokiem po mocno zbudowanych schodach prawa przyczynowości, oprowadzając wszędzie, umacniając i udoskonalając każdy szczegół.

Znakomity budowniczy, wznosząc wspaniały gmach, ustawia w odpowiednich miejscach posągi, które nie tylko zdobią, ale dźwigają i podpierają budowlę. Tak samo uczynił mistrz, wplatając tu i owdzie głęboką i powabną przypowieść czy porównanie, pamiętny, że w ten sposób nieraz ciemna rzecz staje się jasną i zrozumiałą.

Na koniec zespolił wszystko razem, nakrywając całą budowlę świetlistą jakoby kopułą.

- Przez przywiązywanie się, o pielgrzymie, powodujesz nowe byty, przez wyzbycie się swego przywiązania unikasz ponownego bytu.

Mąż, nie przywiązany do niczego, z radosną obojętnością odczuwa ową prawdę niewzruszoną, iż zostanie wyzwolony, że narodził się po raz ostatni i że nie masz dlań już drugiego bytu.

Mąż, który dojdzie aż tak daleko, posiada mądrość najwyższą, bowiem to jest właśnie, o pielgrzymie, najwyższą i najświętszą mądrością, gdy się wie, że znikło źródło cierpienia. Ten, komu mądrość owa dostanie się w udziale, posiada wolność istotną i nienaruszalną. Wszystko, co próżne i znikome, jest fałszem, o bracie, wszystko, co istotne i wieczne, jest prawdą, a to właśnie daje wygaśnięcie złudy.

Mąż, podległy z natury urodzeniu, starości i śmierci, poznawszy zło płynące z owego prawa przyrodzonego, osiągnął przystań bezpieczną, kędy go nie dosięgnie urodzenie, starość, ni śmierć, mąż podległy chorobie, niczemności i grzechowi, uzyskał przybytek czysty, święty i nieprzemijający.

W samym wyzwolonym leży zbawienie, ustaje w nim życie, kończy się czyn, świat przestał dlań istnieć na zawsze.

Takiego pielgrzyma zwą „zakończycielem”, bowiem położył kres cierpieniu.

Takiego pielgrzyma zwą „gasicielem”, gdyż zgasił płomyk złudy swego „ja” i swego „posiadania”.

Takiego pielgrzyma zwą „niszczycielem”, bowiem wyniszczył instynkt życia, wyrwał go z korzeniem, tak że już nie odrośnie.

Dopóki żyje w ciele swoim, widzialny jest ludziom i bogom, gdy ciało jego rozpadnie się po śmierci, nie widzi go nikt, ani bogowie, ni ludzie, nawet sama natura nie widzi go już. Oślepił oko przyrody umknął przed złem.

Przebrnąwszy w poprzek strumienia życia, dotarł do wyspy jedynej, leżącej poza sferą starości i śmierci, osiągnął szczęsną nirwanę.

XX.

NIEROZSĄDNE DZIECIĘ.

Kiedy mistrz skończył wykład nauki, trwał Kamanita przez czas długi w milczeniu i bezruchu, a w duszy jego toczyły bój myśli sprzeczne i roły się wątpliwości. Na koniec powiedział:

- Opowiedziałeś mi, o czcigodny, szczegółowo, jak można już za życia położyć koniec cierpieniom, atoli nie pouczyłeś mnie wcale, co się dzieje z człowiekiem, gdy ciało jego rozpadnie się po śmierci i wróci do pierwiastków ziemskich. Wiem tyle, że mąż, żyjący wedle tej nauki, staje się niewidzialnym dla bogów, ludzi, a nawet samej natury. Nie dowiedziałem się zgoła niczego o wiekuistym życiu, najwyższej rozkoszy i zbawieniu w niebie. Czyż mistrz nic o tem nie objawił?

- Tak jest, o bracie, tak jest, mistrz nic o tem nie wyjawiał.

- To znaczy, że mistrz wie tyle co ja sam o owych sprawach najważniejszych? - spytał z niechęcią Kamanita.

- Tak sądzisz? Słuchaj tedy. Mistrz bawił swego czasu w tym samym lasku sinsapowym, gdzieście sobie z Vasitthi przysięgali wieczystą wierność i spotkanie w raju zachodnim. Wyszedł z lasu, trzymając garść liści sinsapowych w ręku i rzekł uczniom swoim: - Jak sądzicie bracia, czy więcej liści jest na drzewach tego gaju, czy w dłoni mojej? - Bez długiego namysłu odparli, że więcej jest liści na drzewach. - Podobnie ma się rzecz i z wami, uczniowie moi, - odrzekł mistrz - zaprawdę o wiele więcej jest prawd nieznanych wam, niż tych, jakie wam objawiłem. A dlaczegoż to ich nie objawiłem? Albowiem nie jest to rzecz zbawienna, nie służy do pogłębienia ascezy, wyrzeczenia się świata, odmiany życia, rozpląnięcia się osobowości, zbudzenia i nirwany.

- Jeśli mistrz tak mówił w lasku sinsapowym pod Kosambi, - rzekł Kamanita - to sprawa ma się jeszcze gorzej. Nie chciał widocznie wyjawić prawdy, by uczniów nie zniechęcać, lub nawet odstraszyć. Ostateczna prawda musiała zwiastować nicość zupełną. Taki wyciągam zresztą wniosek z wszystkiego, com usłyszał od ciebie. Kiedy wszystko zostaje zaprzeczone i unicestwione, co podpada pod zmysły i dostępne jest myśli jako znikome, pełne cierpień i nieistotne, nastaje niemożliwość pojęcia czegokolwiek. To też w ten sposób pojmuję

usłyszaną naukę, że uczeń, który odrzucił od siebie całą nieczystość ziemi, po zniszczeniu ciała przez śmierć staje się nicością, znika i poza progiem śmierci nie ma go wcale.

- Wszakże mi powiedziałeś, pielgrzymie, że za kilka tygodni będziesz siedział u stóp mistrza w gaju Jetawany pod Savatthi?

- Mam tę nadzieję, o czcigodny. Ale czemuż pytasz?

- Jak sądzisz, czy mistrzem owym będzie ten kształt jego cielesny, który będziesz mógł widzieć i dotykać, czy to będzie jego rzeczywistą istotą?

- Nie sądzę tak, o czcigodny.

- Gdy zaś mistrz zacznie mówić, czy jego świadomość ujawniona w tej chwili, jego wrażenia, spostrzeżenia i wyobrażenia będą stanowiły istotę jego? Czy tak sądzisz?

- Nie sądzę tak, o czcigodny.

- Czy ciało i świadomość mistrza razem wzięte stanowią jego istotę?

- Nie stanowią!

- Czyż tedy mistrz bez ciała, albo bez świadomości, lub bez jednego i drugiego jest właściwym mistrzem?

- Różni się on o tyle od swego ciała i świadomości, że cechy te nie stanowią całej jego istoty.

- Jakież tedy możesz przytoczyć jeszcze cechy poza ciałem i jego dostrzegalnymi właściwościami, oraz świadomością łącznie z jej treścią, które to cechy, prócz tych, które nie stanowią jego istoty, wyrażałyby ją dokładnie?

- Przyznaję, o czcigodny, że cech takich nie mogę przytoczyć.

- Widzisz tedy, bracie Kamanito, że nie możesz już nawet w tym naszym zmysłowym świecie pojąć mistrza pod względem prawdziwej istoty jego. Czyż masz tedy prawo twierdzić, że mąż doskonały, czy uczeń, który odrzucił precz wszystką nieczystość ziemi, podpada unicestwieniu po śmierci, gdy ciało jego ulegnie rozkładowi, dlatego tylko że nie posiadasz środków ujęcia jego prawdziwej istoty w tamtem życiu pozagrobowym.

Na słowa te zwiesił pielgrzym głowę i siedział w milczącej zadumie.

- Chociaż nie posiadam prawa twierdzić tak - rzekł po chwili - to jednak wnioskuję o nicości poza grobem z samego milczenia mistrza. Mogąc objawić co pocieszającego, nie byłby zapewne ukrywał prawdy i uczeń, który położył koniec cierpieniom, dowiedziałby się, że czeka go po śmierci nie nicość, ale wieczysta szczęśliwość. To objawienie musiałoby zachęcać uczniów i właśnie korzystnie oddziaływać na ich gorliwość.

- Tak sądzisz? Pomyśl jednak coby się stało, gdyby mistrz nie postawił za cel ostateczny samego jeno zniweczenia cierpień, ale ponadto jeszcze ukazał szczęśliwość wiekiustą poza

grobem. Wielu uczniów zachwyciłoby się tą obietnicą, przywiązało do niej i pożądaliby tak jej ziszczenia, że zamąciłoby to spokój ich myśli. W ten sposób wpadliby niepostrzeżenie w pułapkę pożądania życia i wskrzesili źródło cierpienia. Marząc o życiu pozagrobowym, zdobiliby je wszystkimi urokami życia ziemskiego, a przeto dążąc ku wieczności przywiązywaliby się do rzeczy doczesnych. Podobni psu na łańcuchu, chcąc się oderwać od słupa, kręciliby się jak on wokół niego. Z samego wstępu ku życiu ziemskiemu wiązałyby się z nim coraz to silniej jeszcze.

- Przyznaję to, uważam niebezpieczeństwo, wywołane milczeniem, za gorsze jeszcze, albowiem paraliżuje zapał i gorliwość! - powiedział Kamanita. - Jakże może uczeń wytrwale i mężnie niweczyć cierpienie, jeśli nie wie co go za to czeka, szczęśliwość wiekuista, czy nicość zupełna?

- Pomyśl, przyjacielu, jakby to było, gdyby służący, widząc płonący dom, pobiegł do pana swego i, budząc go, wołał: - Panie, wstawaj, dom stoi w płomieniach, przeżarte jest już belkowanie i dach runie za chwilę! - Zaś pan rzekłby mu wówczas: - Wyjrzyj, proszę cię, na pole i powiedz czy deszcz pada, czy też świeci księżyc, a jeśli jest pogoda, natenczas udamy się na świeże powietrze!

- Pan nie mógłby w takim razie odpowiedzieć równie nierozumnie służącemu, o czcigodny! - odrzekł Kamanita.

- Przypuśćmy jednak, że tak by odpowiedział, - zauważył mistrz - to musielibyśmy sądzić, że nie dosłyszał i nie uświadamia sobie grożącego niebezpieczeństwa.

- Takby było w istocie, o czcigodny, ale nie sposób przypuścić równie nierozsądnej odpowiedzi.

- Pielgrzymie! - zawołał mistrz. - Żyj jakoby płomienie syczały wokół głowy twojej, bowiem płonie dom! Jakież to dom? To płonie świat! Jakimże palony zarzewiem? Zarzewiem żądzy, zarzewiem nienawiści, zarzewiem zaślepienia. Świat cały trawi pożar, otacza go dym, świat cały drży w posadach!

Na słowa te zadrżał Kamanita jak młody bawół, gdy słyszy ryk lwa z gęstwiny. Siedział pochylony w milczeniu, a twarz jego różowiła się od krwi gorącej. Po chwili rzekł niechętnie, drżącym głosem:

- Nie mogę się mimo wszystko zgodzić, by mistrz miał milczeć, gdyby mógł udzielić pocieszającej wieści. Nie mogę się także pogodzić z owym milczeniem wówczas nawet, gdyby objawienie było rozpaczliwe i przerażające. Dążność człowieka skierowana jest ku szczęściu i rozkoszy, a ugruntowane to jest w samej przyrodzie. Słyszałem nieraz jak głosili kapłani bramińscy:

- Rozkosz ludzka podobna jest młodzieńcowi dzielnemu, pojętnemu, chyżemu, silnemu, którego własnością byłaby cała ziemia wraz z wszystkim, co się na niej mieści. Sto rozkoszy ludzkich, to jedna rozkosz niebiańskich duchów. Sto rozkoszy duchów niebiańskich, to jedna rozkosz bogów, a sto rozkoszy bogów, to jedna rozkosz Indry. Sto rozkoszy Indry, to jedna rozkosz Prajapati, a sto rozkoszy Prajapati to jedna rozkosz Brahmy. To jest rozkosz najwyższa i taka jest droga ku tej rozkoszy ostatecznej.

- Przypuśćmy, o pielgrzymie, - podjął mistrz - że mamy do czynienia z dzieckiem nierozsądnym, niezdolnym do prawidłowego myślenia. Dziecko owo odczuwa w zębie ból palący, kłujący, czy wiercący. Biegnie do znakomitego lekarza i prosi: - Uczyń, o czcigodny, bym przy pomocy twjej sztuki odczuwało w zębie, miast bólu, rozkoszną lubość. - Lekarz odpowiada: - Drogie dziecko, sztuka moja zdolna jest jeno usunąć ból! - Atoli dziecko woła: - Jak to? Tak już długo ząb mnie boli, czyż mi się za to nie należy doznanie błogiej lubości w tym zębie miast wiercenia, klucia i palenia? Powiadali ludzie, iż są tacy lekarze, przeto nastąpiła omyłka co do twjej osoby i twych zdolności! - Powiedziawszy to, pobiegło dziecko do szarlatana, czarodzieja z kraju Gandarów, który ogłaszał przy dźwiękach trąb i konch po ulicach:

- Zdrowie to dobro najwyższe! To cel istotny dążeń ludzkich! Rozkoszne, upojne zdrowie, uczucie miłe, przenikające każdy fibr ciała, podobne szczęśliwości bogów, uzyskać może przy mojej pomocy każdy, kto złoży niewielką ofiarę! - Dziecko pobiegło do owego szarlatana, wołając: - Czuję straszny ból w zębie, wierci, kłuje mnie i pali! Użycz mi miast tego szczęsnego, rozkosznego uczucia w tymże zębie!

- Doskonale, drogie dziecko! - oświadczył cudotwórca. - Właśnie na tem polega moja umiejętność! - Zabrał pieniądze, dotknął zęba i, wywoławszy magiczny skutek doraźny, sprawił, iż uczucie miłe zastąpiło ból. Uradowane dziecko wróciło do domu, ale po małej chwili działanie dotknięcia ustało, a ból zjawił się znowu. Dlaczegoż się to stało? Bo nie została usunięta przyczyna cierpienia.

Mąż rozważny natomiast, doznając bólu zęba, udaje się do wytrawnego, zdolnego lekarza i powiada: - Racz, o czcigodny, uwolnić mnie od tego cierpienia przy pomocy umiejętności swojej!

- Zaś lekarz odpowiada: - Wobec tego, że tyle jeno żądasz, usunę ból twój przy pomocy sztuki, którą władam! - Czegóżbym więcej mógł się domagać? - pyta mąż rozważny. Lekarz ogląda ząb, spostrzega zapalenie dziąsła u nasady zęba i powiada: - Idź do cyrulika i każ sobie postawić pijawkę. Gdy się nassie i odpadnie, przyłóż na ranę te oto zioła. Wówczas usunięta będzie ropa i zepsuta krew, a ból ustanie. - Mąż rozważny uczynił jak polecił lekarz, a ból

ustał i nie wrócił. A dlaczego nie wrócił? Bo została usunięta przyczyna cierpienia.

Mistrz zamilkł, skończywszy przypowieść. Kamanita siedział pochylony, milczący i zmieszany, twarz jego pałała, a pot strachu spływał mu z czoła po ciele. Czcigodny mąż przyrównał go do nierozsądnego dziecka i postawił na jednym z niem poziomie, a ponieważ mimo wysiłku myśli nie mógł znaleźć odpowiedzi, był tedy bliski płaczu.

Opanowawszy się po chwili, spytał trwożliwym głosem:

- Czyś to wszystko, o czcigodny, słyszał z ust samego mistrza, z ust doskonałego Buddy?

Doskonali mężowie uśmiechają się rzadko. Posłyszawszy jednak to pytanie, uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie mistrz i odparł:

- Nie byłem jego uczniem, bracie!

Gdy Kamanita posłyszał te słowa, wyprostował się, oczy mu rozblęły i rzekł wesoło i raźnie:

- Byłem tego pewny! Czuję, że nie może to być prawdziwa nauka doskonałego męża, jeno wysmażone przez ciebie samego jej objaśnienie. Przecież powiadają, że nauka Buddy uszczęśliwia w początku swym, środku i końcu. Jakże twierdzić możnaby coś takiego o doktrynie, która nie przyobiecuje wiekuistego, szczęsnego życia. W ciągu kilku tygodni znajdę się u stóp mistrza i z jego własnych ust zaczerpnę wiedzy jak dziecko, ssące nektar z matczynej piersi. Ty również tam się znajdziesz i, posłyszawszy prawdę, uleczony zostaniesz z mniemań i poglądów fałszywych. Teraz spójrz, promienie księżyca cofnęły się aż do samego progu przedsieni, więc musi być noc późna. Trzeba się kłaść do snu i spocząć.

- Jak chcesz, tak uczynimy, bracie mój! - odparł mistrz i, otulając się lepiej płaszczem swym, położył się na macie, przybierając pozycję spoczywającego lwa. Sparty na prawym łokciu, złożył lewą nogę na prawej i, myśląc o godzinie ocknienia, natychmiast zasnął głęboko.

XXI.

SKUTKI POŚPIECHU.

Z pierwszym brzaskiem dnia obudził się mistrz dostojny i spostrzegł, że Kamanita zwija starannie matę, zawiesza przez plecy flaszkę z wodą i ogląda się za swą laską pielgrzymią, której zrazu nie dostrzegł w kącie, gdyż upadła na ziemię. Czyniąc to wszystko, wyglądał na człowieka, któremu bardzo spieszno.

Mistrz usiadł i, pozdrowiwszy go uprzejmie, rzekł:

- Spieszysz się bardzo, bracie, jak widzę...

- Tak jest! - zawołał Kamanita z ożywieniem.

- Pomyśl tylko... trudno wprost uwierzyć w moje szczęście, a śmiech rozpiera mi piersi.

Zbudziwszy się przed kilku minutami, uczułem suchość w gardle, po długim mówieniu dnia wczorajszego. Udałem się do studni, znajdującej się pod tamaryndami na drugiej stronie drogi i zastałem dziewczynę, która czerpała wodę. Czegóż się od niej dowiedziałem... zgadnij? Oto powiedziała mi, że mistrz nie przebywa w Savatthi. A gdzież jest... jak sądzisz? Wczoraj przybył tutaj, do Rajagahy wraz z trzystu mnichami, uczniami swymi i znajduje się w lasku mangowym, za miastem. Ujrzę go tedy za godzinę, wcześniej nawet może, a sądziłem, że czeka mnie czterotygodniowa jeszcze wędrówka. Co mówię... nie za godzinę nawet!... Dziewczyna powiedziała mi, że omijając ulice główne, można przez boczne uliczki i podwórza, posuwając się ku zachodowi, zdążyć za pół godziny do lasku. Nie mogę o tem myśleć spokojnie, ziemia mnie piecze w stopy... bywaj zdrów, bracie. Byłeś mi życzliwy, to też postaram się doprowadzić cię do mistrza, teraz jednak nie mogę zatrzymać się ni chwili!

Kamanita wybiegł z przedsionka i pędził drogą co sił w nogach. Dobiwszy do bramy miasta, spostrzegł, że jeszcze zamknięta i musiał zaczekać. Chwila ta wydała mu się wiecznością i wzmogła niesłychanie niecierpliwość jego.

Skorzystał z czekania, wypytując jakąś starą kobietę, która niosła do miasta kosz jarzyn i także czekała, o najkrótszą drogę. Wymieniła mu uliczki, powiedziała, że minie na prawo małą świątynkę, na lewo studnię, potem zaś będzie szedł, mając ciągle na oczach wyniosłą wieżę, a w ten sposób nagrodzi czas stracony pod bramą miejską.

Gdy tylko otwarto, pospieszył w wskazanym kierunku. Biegł, nie zważając, że obalił na

ziemię kilkoro dzieci, że potracił kobietę, płóczęcą statki, tak iż miska jedna zatoczyła się z brzękiem i pękła na dwoje, że wpadł na roznosiela wody. Nie słyszał klątw, jakie za nim miotano, uszy jego były zamknięte, a umysł pochłonięty tą jedyną myślą, iż za chwilę ujrzy samego Buddę.

- Cóż za szczęście nieopisane! - myślał. - Ileż pokoleń mija i ginie, nie ujrzawszy prawdziwego Buddy na własne oczy? A nawet z pośród współczesnych mu, obdarzonych owym szczęściem, iż razem z mężem bożym kroczą po ziemi, jakże niewielu doń pospieszyć zdoła? Ja doznam owej łaski, szczęście owo stanie się mym udziałem... Bałem się nieraz, iż niebezpieczeństwa pielgrzymki, czy dzikie zwierzęta lub zbóje udaremnić mogą wszystko, teraz jednak mam pewność zupełną i nic mnie onego szczęścia już nie pozbawi.

Myśląc tak, wpadł w wąską uliczkę i, pędząc na oślep, nie spostrzegł, co się dzieje. Oto krowa, spłoszywszy się z niewiadomego powodu, biegła z drugiego końca uliczki naprzeciw, a ludzie chowali się przed rozjuszonem zwierzęciem do bram, lub stawali poza załomami murów. Kamanita nie widział niczego, nie słyszał też głosu stojącej w progu kobiety, która go ostrzegała przed niebezpieczeństwem, biegł przed się z oczyma utkwionemi w wyniosłą wieżę, przewodniczącą mu w drodze.

Ujrzał tuż przed sobą dopiero, gdy było za późno na ucieczkę, okryte pianą nozdrza, nabiegłe krwią oczy i ostre rogi krowy, które za chwilę utkwiliły głęboko w jego ciele.

Krzyknął głośno i stoczył się pod mur, a krowa pobiegła dalej i znikła w uliczce sąsiedniej.

Zbiegli się zaraz ludzie, z chęci ratunku, bądź też z ciekawości, a kobieta, która ostrzegała pielgrzymka, przyniosła wody i przemyła ranę. Podarto płaszcz jego i zrobiono przewiązkę celem zatamowania po trochu krwi, która biła strumieniem z przebitego boku.

Kamanita nie stracił przytomności. Wiedział dobrze, że zbliża się śmierć. Ale ani to, ani ból dotkliwy nie gnębiło go tak, jak obawa, że nie ujrzy już Buddy. Błagał drżącym głosem otaczających, by go zanieśli do mangowego lasku, do świętego męża, mówiąc:

- Drodzy bracia! Pielgrzymowałem tak długo... tak bliski byłem celu! Zmiłujcież się nade mną i zanieście mnie, nie tracąc chwili czasu. Nie zważajcie na me cierpienia, nie bójcie się, że mnie to dobieje, nie umrę przedtem zanim legnę u stóp mistrza, a ległszy, oddam ducha szczęśliwy i pewny zmartwychwstania na życie wieczne.

Kilka osób pobiegło po drażki i materace, jakaś kobieta przyniosła napoju orzeźwiającego i wlała kilka łyżek do ust rannego. Mężczyźni spierali się o to, która droga najprędzej zawiedzie do miejsca zboru mnichów w mangowym lasku, a szło o to, by nie stracić chwili, i nie nałożyć jednego kroku. Wszyscy uświadamiali sobie, że pielgrzym zemrzeć może bardzo

rychło.

- Oto nadchodzą uczniowie mistrza doskonałego! - zawołał ktoś, wskazując w uliczkę. - Oni najlepsze dadzą nam wskazówki!

Ukazało się kilku uczniów zakonu Buddy w żółtych płaszczach, z obnażonym prawym ramieniem i miseczką jałmużniczą w dłoni. Byli to przeważnie ludzie młodzi, na czele zaś ujrano dwie postacie, wzbudzające szacunek. Starzec o surowych nieco, poważnych rysach, przenikliwym spojrzeniu i silnie rozwiniętej dolnej szczęce zwracał przede wszystkim uwagę. Obok niego kroczył mąż w średnich latach o tak łagodnym, serdecznym, słodkim wyrazie twarzy, że wydawał się przez to młodzieńcem. Wprawny obserwator wywnioskowałby z jego żywych ruchów, swobodnego obejścia, oraz płomienistych spojrzeń, iż zalicza się niezawodnie do kasty wojowników, natomiast majestatyczny spokój starca znamionował pochodzenie bramińskie. Obaj byli jednak rośli i dorównywali sobie dostojnym, książęcym zachowaniem.

Zatrzymawszy się obok grupy ludzi otaczających rannego, mnisi dowiedzieli się zaraz od gadatliwych kumoszek o przypadku, oraz o tym, że mają zanieść co prędzej rannego na przyniesionych właśnie noszach do mangowego lasu do Buddy, a spełnią w ten sposób gorące jego pragnienie. Proszono również, by jeden z młodszych uczniów zechciał się wrócić i wskazać najbliższą drogę do miejsca, kędy w tej chwili mistrz przebywa.

- Mistrza nie ma w lasu mangowym, - rzekł starzec o surowym obliczu - sami nie znamy miejsca pobytu jego.

Na słowa te jęk rozpaczony wyrwał się z piersi Kamanity.

- Nie może być daleko! - zauważył mąż młodszy wiekiem. - Mistrz wysłał wczoraj przodem orszak uczniów i sam odbywał dalszą wędrówkę. Musiał się spóźnić i przenocować gdzieś na przedmieściu. Właśnie wyszliśmy na poszukiwanie.

- Szukajcież gorliwie i zanieście mnie doń! - błagał Kamanita.

- Choćbyśmy wiedzieli, gdzie jest mistrz - powiedział mąż surowy - nie należałoby nieść doń rannego. Wstrząśnienia pogorszą jego stan, a choćbyście go donieśli żywego, to jeno w stanie agonji, tak że duchem pojąc by nie zdołał słów boskiego męża. Lepiej niech spoczywa tu pod troskliwą opieką biegłego chirurga, bo wówczas będzie nadzieja, że przyjdzie do siebie i posłyszysz zbawcze słowo nauki.

Kamanita wskazał niecierpliwym ruchem na nosze i, jęcząc, wyrzucać zaczął urywane słowa:

- Niema czasu... śmierć idzie... weźcie mnie... widzieć go... dotknąć... umrzeć szczęśliwie... weźcie mnie... prędko!

Starzec wzruszył ramionami i rzekł, zwracając się do młodych mnichów:

- Ten biedak uważa mistrza naszego za bożyszczę, którego dotknięcie rozgrzesza i zbawia.

- Ufa on bezgranicznie mistrzowi, drogi Sariputto, chociaż brak mu głębszego światła! - zauważył młodszy mąż, pochylając się nad rannym, by zbadać czy li mu starczy sił do drogi. - Możebyśmy jednak spróbowali. Żal mi go bardzo, a nie można dlań uczynić nic więcej, niż spełnić to życzenie.

Pielgrzym podziękował mu gorącym spojrzeniem.

- Uczynimy co chcesz, Anando! - odparł Sariputta uprzejmie.

W tej chwili od strony, którą przybył Kamanita, nadszedł garncarz z plecym koszem, pełnym swych wyrobów. Spozregłszy Kamanitę, którego kładziono właśnie na nosze, co mu sprawiało ból niewypowiedziany, zatrzymał się przełękły, a uczynił to tak nagle, że niesiony na głowie stos misek zachwiał się i kilka naczyń prysło na kamieniach.

- Na bogi! - zawołał. - Cóż się stało? Wszakże to ów pielgrzym, który zaszczycił dom mój, nocując w nim wraz z drugim mnichem, odzianym w płaszcz, zupełnie podobny do waszych płaszczy, o czcigodny mężu.

- Czy mnich ów był starcem wysokiego wzrostu? - spytał Sariputta.

- Tak jest, o czcigodny panie! - odparł garncarz. - W dodatku wydajesz mi się podobnym do niego z twarzy.

Mnisi wiedzieli już teraz, że szukać nie potrzebują dłużej, gdyż mistrz znajduje się w domu garncarza, bowiem imię: Sariputta... znaczy: „ten który jest doń podobny.”

- Zaliż to możliwe? - rzekł Ananda i spojrzał na rannego, który omdlał skutkiem cierpień wywołanych przez podnoszenie na nosze i nie zauważył nadejścia garncarza. - Zaliż to możliwe, by ów biedak, nie wiedząc o tem zgoła, miał szczęście spędzenia nocy z tym, za którym tak gorąco tęskni?

- Tak się dzieje głupcom! - oświadczył Sariputta. - Ale chodźmy, teraz bowiem możemy mu uczynić zadość.

- Czekajcie! - zawołał Ananda. - Zemdlął z bólu.

Oslupiały wzrok Kamanity świadczył, że nie zdaje sobie sprawy z tego, co się wokół niego dzieje. Oczy przysłaniała mu chwilami ciemność. Gasnąca świadomość jego zdołała jednak pochwycić jeszcze blask porannego nieba, lśniącego pomiędzy murami i to mu widać przywiodło na pamięć widnokrag nocy i pas drogi mlecznej, przecinający w poprzek niebiosy, gdyż wargi jego poruszyły się i szepnęły:

- Ganga...

- Zmysły go opuszczają... - rzekł Ananda. Stojący bliżej inaczej zrozumieli posłyszane słowa.

- Prosi, by go zanieść do świętej Gangi, w której nurtach spodziewa się zmyć grzechy swoje. Ale droga daleka i uczynić tego nie sposób.

- Zrazu chciał do mistrza, teraz znów do Gangi! - mruknął na poły pogardliwie Sariputta i spojrzał na Kamanitę z odrazą mędrca wobec głupca, który z jednego zabobonu popada beznadziejnie w drugi.

Nagle jednak rozbłysły oczy Kamanity, na twarzy jego zjawił się uśmiech niebiańskiej szczęśliwości. Wykonał ruch, jakby chciał usiąść, a Ananda wsparł go ramieniem.

- Niebiański Ganga... - szepnął głosem słabym, ale przepełnionym radością i, unosząc rękę prawą, wskazał na pas nieba ponad swoją głową. - Niebiański Ganga... - powtórzył - przysięgliśmy na jego fale... Vasitthi...

Zadrżał całym ciałem, krew rzuciła mu się ustami i skończył w objęciach Anandy.

W niespełna pół godziny potem, wstąpili Sariputta, Ananda i młodzi mnisi do przedsiönka garncarza, pozdrowili z czcią wielkiego mistrza i usiedli obok niego.

Mistrz odpowiadając im uprzejmie na pozdrowienie, zapytał:

- Drogi Sariputto, czy bracia odbyli pod twym przewodnictwem podróż daleką bez szwanku i przypadków? Czy wam nie zbrakło jadła, lub lekarstw dla chorych? Czy gmina trwa w pogodnej pracy i rozmyślaniach?

- Szczęśliwym się czuję, o mistrzu dostojny, mogąc powiedzieć, żeśmy nie doznali braków a także że młodzi mnisi pełni zapału i wesela pracują, pragnąc jeno tego, by mogli obcować z tobą twarzą w twarz, o mężu boży. Szlachetni to młodzieńcy, których przywiódłem, znawcy nauki i naśladowcy twoi, to też pragnąłem przedstawić ci ich bez najmniejszej nawet straty czasu.

Na te słowa powstali trzej młodzieńcy i, składając dłonie, pokłonili się mistrzowi nabożnie, mówiąc:

- Bądź pozdrowiony o dostojny, o doskonały Buddo!

- Bądźcież i wy pozdrowieni! - odparł mąż boży i gestem ręki wskazał im siedzenia.

- Czyliżeś, mistrzu, doszedł tu bez wielkiego znużenia i złych skutków dla zdrowia, po wczorajszej wędrówce. Czyliżeś jako tako spędził noc w tym przedsiönku?

- Tak było, jakoś rzekł, bracie! - odparł mąż boży. - Gdy się ściemniło, zaszedłem tutaj zmęczony wprawdzie bardzo, ale nie odczuwając złych skutków dla zdrowia i spełniłem w tym przedsiönku noc niezbyt źle w towarzystwie pewnego pielgrzyma.

- Pielgrzym ów - ozwał się Sariputta - został zraniony śmiertelnie przez krowę w ulicach

Rajagahy i umarł...

- A nie wiedząc z kim spędził noc - dodał Ananda - pragnął gorąco, by go zaniesiono do stóp twych, mistrzu.

- Zaraz potem, co prawda - zauważył Sariputta - chciał, by go zaniesiono do Gangesu...

- Mylisz się, bracie! - poprawił Ananda. Mówił o niebiańskim Gandze i z zachwytem w oczach wspominał przysięgę, oraz imię żeńskie... zdaje mi się, że powiedział: Vasitthi, potem zaś zmarł.

- Skonał z imieniem kobiety na ustach - zauważył pogardliwie Sariputta - tedy pewnie wcielił się gdzieś ponownie...

Na to ozwał się mistrz:

- Nierozsądnym był, o uczniowie moi, ten pielgrzym Kamanita, podobny małemu dziecięciu. Pielgrzymowi onemu, który wędrował pod hasłem imienia mego i pragnął przyjąć naukę moją, wyłożyłem sam wszystko wiernie i szczegółowo. Lecz on zgorszył się ową nauką i nie chciał uwierzyć. Pragnienia jego serca skierowane były ku szczęśliwości wiekuistej i rozkoszom błogosławionych. To też wiedzcie, że pielgrzym Kamanita wcielił się w byt ponowny w Sukhavati, rajy zachodnim, by tam zażywać przez tysiące tysięcy lat szczęśliwości, której pożądał tak gorąco.

XXII.

W RAJU ZACHODNIM.

W chwili, kiedy mistrz wymówił powyższe słowa, spoczywając wraz z uczniami w przedsionku domu garncarza w Rajagaha, ocknął się pielgrzym Kamanita w raju zachodnim, zwanym Sukhavati.

Spostrzegł, że siedzi z podwiniętymi nogami, ubrany w purpurowy płaszcz, połyskujący niby płatek korony kwiatu, pośrodku lotosu tejże samej barwy pływającego po wielkiem jeziorze. Wokół niego widniały podobne lotosy, na znacznej przestrzeni rozsiane, purpurowe, pomarańczowe, błękitne i białe, jedne w postaci pąków, drugie nabrzmiałe, gotowe rozewrzeć się lada chwila, a wreszcie inne, nader liczne, rozkwitłe już w pełni, jak kwiat, na którym siedział. Na każdym zaś niemal z nich jaśniała postać ludzka w szatach, wyrastających jakoby z listowia korony.

Spuściste pobraża jeziora, okryte najzieleńszem, jakie widział, poszyciem, grały barwami kwiatów, podobnych do wcielonych tu zaziemsko drogich kamieni. Miały blask przeźroczy klejnotów, ale zbyły twardego pancerza kryształu, noszonego w życiu nizinnem i wzięły na się miękka, żywa, gibką strukturę płatków rośliny.

Od brzegów tych biegło zachwycone spojrzenie poprzez drzewa szmaragdowe i rozkwiecione, stojące w grupach, lub tworzące całe zagajniki, ku uroczym, skalistym wzgórzom, połyskującym marmurową nagością kształtów, lub okrytym szatą kwiatów. Po jednej stronie rozstępowały się gaje i skały, czyniąc miejsce wspaniałej rzece, której cichy, połyskujący gwieździstym blaskiem nurt zasilął wody jeziora.

Ponad wszystkim sklepiło się niebo ciemnoszafirowe o tonie coraz to głębszym ku dołowi, a po tem niebie płynęły białe puszyste chmurki, na których spoczywały urocze duchy niebiańskie i grały na różnych instrumentach, wypełniając całą przestrzeń dźwiękami.

Na niebie owem nie świeciło słońce i światła jego nie potrzeba było wcale, albowiem z chmur, z duchów, z skał i kwiatów, z wody i lotosów, z odzienia błogosławionych, a zwłaszcza z twarzy ich szły blaski przedziwne. Jaśniało wszystko, nie rażąc wzroku, a miłe, przewonne ciepło orzeźwiał nieustanny chłód, bijący od wody. Samo już oddychanie tem powietrzem było rozkoszą, której nie dorównywało nic na ziemi.

Kamanita musiał długo walczyć z podziwem, zanim wszystkie owe cudowności przestały go oszalać. Dopiero przyzwyczajony się do uważania ich za swe zwyczajne środowisko, zwrócił uwagę na inne istoty, usadowione podobnie jak on wśród koron lotosowych, pływających po wodzie. Spostrzegł, że czerwono obleczone stworzenia byli to mężczyźni, białe zaś kobiety, natomiast innobarwne istoty zaliczały się do jednej lub drugiej płci. Wszyscy ci ludzie byli młodzi, w latach samego rozkwitu i wielką ku sobie wzajem pałali życzliwością.

Szczególne zaufaniem nappełnił Kamanitę sąsiad w błękitnej odzieży i uczuł chęć wszczęcia z nim rozmowy.

- Czyż wypada - pomyślał - zapytać tak obcesowo owego dostojnego człowieka? Nie wiem co począć, a radbym wiedzieć, gdzie się znajduje.

Ku wielkiemu zdziwieniu pielgrzyma odpowiedź nastąpiła natychmiast i to bezgłośnie, tak że mąż błękitny nie poruszył zgoła warg swoich.

- Jesteś w Sukhavati, raju błogosławionych.

Mimo woli Kamanita spytał dalej w myśli:

- Byłeś tu, o czcigodny, gdy otworzyłem oczy, bom cię zaraz ujrzałem, powiedz tedy, zaliście razem się tu zbudziłem z mną, czy trwasz tutaj od dawna?

- Żyję tu już od czasów niepamiętnych - odrzekł błękitny - i sądziłbym, że trwam od wieków na onym miejscu, gdyby nie widok rozkwitających nowych lotosów, ukazywanie się nowych istot, oraz gdyby nie zapach drzewa koralowego.

- Cóż sprawia ten zapach?

- Sam się przekonasz. Drzewo koralowe, to największy cud w raju.

Bezgłosą tę rozmowę podkreślała muzyka duchów niebiańskich, a każde zdanie wydawało się przy jej dźwiękach głębsze i jaśniejsze zarazem. Wyrażała to, na co słów nie stało, oraz przepajała je mistycyzmem tak dziwnym, że Kamanicie się zdało, iż rozwierają się przed nim głębie niesiężne, z których wyzierają jakieś bezkształtne wspomnienia, nie mogące się jakby zbudzić.

- Największym cudem - rzekł po chwili - wydała mi się owa przedziwna rzeka, która zasila jezioro nasze.

- Ganga niebiański! - powiedział błękitny człek, skinąwszy głową.

- Ganga niebiański! - powtórzył Kamanita z zachwytem i znowu doznał, silniej jeno jeszcze, owego uczucia, że otacza go coś, co znać powinien, a czego nie może poznać, podczas gdy tajemnicze tony muzyki zdawały się szukać źródeł owej rzeki w przepastnych głębiach własnej jego istoty.

XXIII.

TANY BŁOGOSŁAWIONYCH.

Kamanita zauważył z zdumieniem, że jedna siedząca w jego pobliżu na lotosie biała postać nagle wystrzeliła w górę. Rozwinęły się fałdy jej niezmiernie sutego płaszcza i spłynęły pionowymi linjami aż do dołu. Po chwili dolny jego skraj uniósł się ponad koroną, a postać popłynęła nad wodą i, sięgnąwszy przeciwległego brzegu, znikła pomiędzy krzewami i drzewami.

- Jakże rozkosznym musi być taki lot - pomyślał Kamanita - ale jest to zapewne sztuka nader trudna, mimo, że wydaje się niczem. Ciekawym, czy się tego kiedy nauczę?

- Chciej tylko, a potrafisz niezwłocznie! - odparł błękitny sąsiad, do którego skierowane było to pytanie.

W tejże samej chwili uczul, że ciało jego podnosi się w górę. Przepłynął ponad tonią jeziora i znalazł się pośród zieleni. Lot ten niósł go w każdą stronę, dokądkolwiek skierował spojrzenie i wyraził chęć udania się, a szybkość mógł regulować również samą jeno wolą swoją. Zwiedził rozliczne stawy lotosowe, równie piękne jak pierwszy, wędrował przez urocze gaje, gdzie świegotały różnobarwne ptaszęta i szumiały korony drzew, płynął nad rozkwieconymi łąkami, na których igrały powabne antylopy, nie bojąc się go zgoła i usiadł na łagodnym zboczu pagórka. Ujrzał poprzez pnie drzew i kwitnące krzewy część jeziora lśniącego, lotosami pokrytego i zauważył, że w koronach wielu kwiatów nie było wcale ludzkich postaci.

Nastała widocznie pora ogólnych tanów, bo pod drzewami, wśród krzewów i wokoło skał roiły się postacie, niby świętojańskie robaczki w ciepły wieczór letni.

Błogosławione istoty krążyły cicho samotnie, parami, albo grupami, a widać było z wyrazu ich twarzy, gestów i spojrzeń, że rozmowa toczyła się żywa. Patrząc, dorozumiewał się nawet treści, chwycił fragmenty, odczuwając wszystko bez pomocy słowa.

Słodkiem ogarnięty rozmarzeniem, patrzył upojony i po chwili odczuł pragnienie porozumienia się z rozradowaną rzeszą.

N niezwłocznie znalazł się pośród towarzystwa, mile witany jako świeży przybysz, dopiero co zbudzony.

Kamanita zdziwił się bardzo i spytał, jak wieść o jego pojawieniu się mogła tak szybko rozejść się po całym Sukhavati.

- Wszystkie lotosy rajskich stawów odczuwają rozkwit nowego kwiatu i zbudzenie się nowej istoty ludzkiej na szczęśliwość! - odpowiedziano mu.

- Skądże jednak wiecie - spytał - że to ja przybyłem właśnie?

Uśmiechnęli się wszyscy mile.

- Nie rozbudziłeś się dotąd w zupełności.

- Spoglądasz na nas jeszcze, jakbyśmy byli ułudą senną, bojąc się, że znikniemy, a wróci smutna rzeczywistość.

Kamanita potrząsnął głową.

- Nie wiem, o czym mówicie! - powiedział. - Cóż to znaczy ułuda senna?

- Pamiętajcie - ozwał się człowiek biało ubrany - że on nie był jeszcze u drzewa koralowego.

- Nie, w istocie tam nie byłem, ale sąsiad mój z jeziora lotosowego wspominał mi o tem. Drzewo owo, to pono cud. Powiedźcież mi coś więcej.

Spojrzeni po sobie, potrząsnęli głowami i uśmiechnęli się tajemniczo.

- Radbym się tam udać natychmiast. Może mi z was który wskaże drogę.

- Droga znajdzie się sama, gdy nastanie czas właściwy.

Kamanita przesunął ręką po czole.

- O jednym jeszcze cudzie wspominał mi sąsiad - powiedział - o Gandze niebiańskim. Zasila nasze jezioro, zali i waszemu użycza wody?

Biało odziany człowiek pokazał mu krystalicznie czystą rzeczulkę, okrążającą wzgórze i toczącą się ku stawowi.

- Oto nasz dopływ! - rzekł. - Niezliczona liczba takich żył wodnych przecina dolinę, gdzie żyjemy, to coś widział, to jeno większa wstęga wody, zaś niebiański Ganga otacza całe Sukhavati.

- Widziałeś samą rzekę świętą?

Biała postać zaprzeczyła głową.

- Nie można się tedy do niej dostać?

- Można! - zapewnili wszyscy. - Ale nie był tam z nas żaden. I na cóż? Nigdzie piękniej niżli tu być nie może. Niektórzy wybrali się tam, co prawda, ale nie ponowili potem wędrówki.

- Dlaczegoż to?

Biała postać wskazała ku stawowi.

- Spójrz na tego w ponsowej szacie pod samym brzegiem przeciwległym! Był przed dawnym, bardzo dawnym czasem nad Gangą. Spytały go, czy wrócił tam po raz wtóry.

- Nigdy! - odparł niezwłocznie zapytany.

- Dlaczego?

- Leć tam sam, a dowiesz się.

- Lećmy razem. Odważę się na tę drogę w towarzystwie twojem! - powiedziała biała postać.

- Udam się tam, ale nie teraz jeszcze - odrzekł.

Z pobliskiego gaju wypłynął korowód postaci, rozwinął się barwnym węzem po łące i zaczął krążyć pośród krzewów, postać ostatnia jasnoblękitna ujęła dłoń białej, ta zaś wyciągnęła z kolei rękę do Kamanity.

- Dziękuję! - rzekł z uśmiechem. - Pragnę się na razie jeno przyglądać.

- Spoczniej i zbudź się dokładnie! Do widzenia!

Pociągnięta przez błękitną, biała postać odpłynęła wraz z innymi i rozpoczął się taniec napowietrzny. Inne postacie odsunęły się także, pozdrowiwszy życzliwie Kamanitę, by mu dać możliwość spoczynku i skupienia.

XXIV.

DRZEWO KORALOWE.

Kamanita patrzył długo i zdumiewał się, potem zaś dziwił się swemu zdumieniu.

- Nie pojmuję, czemu mi się tu wszystko wydaje tak dziwnem. Jeśli tutaj jest miejsce moje, dlaczegoż tedy nie uważam wszystkiego za naturalne? Tymczasem każda nowa zjawia jest mi zagadkową i wprawia mnie w podziw. Tak się rzecz ma nawet z ową wonią, którą uczułem nagle. Różni się od zapachu kwiatów, jest pełniejsza, pociąga i niepokoi jednocześnie. Skądże się bierze?

- Skądżem się wziął zresztą ja sam? Wszakże niedawno byłem jeszcze niczem. Czy może istniałem, tylko nie tutaj? Gdzieżem żył tedy i w jaki sposób się tu dostałem?

Podczas kiedy sobie zadawał te pytania, ciało jego uniosło się niepostrzeżenie z trawy i płynął w powietrzu, nie w tym jednak kierunku co inne postacie. Unosił się coraz to wyżej, ku przełęczy na szczycie wzgórza, a znalazłszy się ponad szczytem, poczuł jeszcze silniej tę samą woń.

Leciał dalej.

Okolica poza górą wyglądała nieco odmiennie. Utraciła poniekąd urok, kwiatów było mniej, krzewy stały się ciemniejsze, gaje gęstsze, a skały wyższe i bardziej strome. Pasły się tu stada gazeli, ale postacie błogosławionych ukazywały się z rzadka.

Dolina, zwiężając się coraz to bardziej, kończyła się parowem. Woń stała się jeszcze silniejsza. Wiał rzeźwy wiatr, ściany parowu stawały się coraz bardziej nagie, wyższe i spadzistsze, aż wreszcie zamknęły się, tworząc rozpadlinę bez wyjścia.

Nagle ukazał się ostry załom, jeden, drugi, trzeci, ciasna parja rozstąpiła się wokół i Kamanita zobaczył niewielką kotlinę górską, otoczoną niebotycznymi, prostopadłymi skałami malachitowemi. Pośrodku niej stało cudowne drzewo.

Pień i gałęzie utworzone były z lśniącego, czerwonego koralu, barwa strzępiastych liści wpadała w ton nieco żółtawy, a kwiaty jarzyły się karmazynem.

Ponad szczytami skal piętrzyło się ciemnoszafirowe niebo, bez śladu chmur. Nie dolatały tu dźwięki muzyki duchów, pozostawiając jeno coś, niby wibrujące w powietrzu dawne wspomnienie.

Istniały tu jeno trzy barwy, ultramaryn nieba, zieleń malachitowych skał i czerwień koralowego drzewa. Panował jeden tylko zapach, ów tajemniczy, niepodobny do żadnego innego zapach karmazynowych kwiatów, który przywiódł Kamanitę.

Niezwłocznie ujawniło się też cudowne jego działanie.

Gdy odetchnął ową wonią, skondensowaną w kotlinie, którą wypełniała, naraz świadomość jego doznała dziwnej przemiany, rozszerzyła się i przerwała zaporę, istniejącą od chwili zbudzenia się na lotosowym jeziorze.

Uświadomił sobie całe życie minione.

Zobaczył preksionek domu garncarza, gdzie spędził noc na rozmowie z owym nierozsądnym mnichem, uliczkę Rajagahy, którą spieszył, krowę pędzącą naprzeciw, potem przerażone twarze ludzi i mnichów w żółtych płaszczach. Przesunęły mu się też przed oczyma lasy i gościńce czasu pielgrzymstwa, pałac, żony jego, hetery ujjenijskie, rozbójnicy, gaj Kryszny, „Terasa Beztroski”, Vasitthi, dom rodzicielski, czasy dziecięctwa...

Poza tem życiem zobaczył poprzednie, potem jeszcze wcześniejsze i jeszcze jedno... Jawiły mu się obrazy żywotów, podobne do drzew przydrożnych, idących aż ku kresowi widnokreęgu, gdzie spływają się w jeden jedyny punkt.

Uczuł zawrót głowy i nagle wzniósł się ponad kotlinę niby liść, uniesiony powiewem wiatru. Nikt długo po raz pierwszy znieść nie mógł zapachu koralowego drzewa, a instyunkt samozachowawczy zmuszał do spieszego odwrotu, skoro jeno nastąpił zawrót głowy.

Płynąc spokojnie ponad roztoczą doliny, zastanawiał się Kamanita nad wszystkim.

- Teraz rozumiem - myślał - czemu ów mędrzec zauważył, iż nie byłem jeszcze u drzewa koralowego. Nie rozumiałem, co oni zowią ułudą senną, teraz atoli wiem, gdyż przeżywałem tego rodzaju ułudy. Rozumiem także, dlaczego tu jestem. Chciałem dotrzeć do Buddy w lasku mangowym w pobliżu Rajagahy. Zostało to uniemożliwione przez mą nagłą śmierć tragiczną, ale dobre chęci zostały mi policzone i znalazłem się w miejscu szczęśliwości pośmiertnej, zupełnie jak gdybym siedział u stóp mistrza i zmarł wyznawcą jego nauki. Przeto pielgrzymstwo moje daremnem nie było, Kamanita wrócił do jeziora i usiadł na swym kwiecie, niby ptak spragniony gniazda.

XXV.

PAK ROZKWITA.

Nagle wydało się Kamanicie, że w głębi wód coś zaszło i zobaczył cień, zbliżający się szybko do powierzchni. Fale zaczęły kotłować i wirować, a za chwilę wynurzył się pąk lotosu o różowym końcu. Wskoczył ponad powierzchnię, potem zaś jał się kołysać, roztaczając coraz to dalsze kręgi, których błyskotania, małemi niby płomyczkami światła pokryły sąsiednie kwiaty, oraz postacie na nich siedzące.

Dusza Kamanity zadrżała także i rozjarzyła się gamą barw, ukrytych zazwyczaj. Uczuł w sercu radosny jakiś ruch, niby płąs taneczny.

- Cóż to takiego? - spytał spojrzeniem błękitnego sąsiada.

- W tej chwili zapragnęła wcielić się tu, w Sukhavati jedna z dusz ludzkich, żyjąca w bezmiernych oddalach kosmicznych, na ziemskim padole. Zobaczymy, czy pąk się pięknie rozwinie i zakwitnie. Zdarza się często, iż mimo pragnienia zjawienia się w raju, dusza nie ma tyle sił, by żyć jak należy, ale zaplątawszy się w namiętności i rozkosze cielesne, przywrze na zawsze do błota ziemi.

Wówczas pączek marnieć zaczyna i ginie w końcu zupełnie. Pąk, który widzisz, zawiera duszę męską. Zbacza ona łatwiej z drogi zbawienia i ulega pokusom świata. To też zauważyć łatwo, iż pośród błękitnych i innobarwnych jest tu o wiele więcej jaśniejszych dusz, to znaczy żeńskich, a tylko liczba białych i purpurowych jest niemal jednaka.

Posłyszawszy to, uczuł Kamanita w sercu dziwną, bolesną nieco radość, a spojrzenie jego spoczęło z ciekawością i nadzieją na białym, śnieżystym pąku, kołyszącym się tuż obok niego, niby łabędź na falach.

- Czy pamiętasz dzień, w którym pąk mego lotosu wynurzył się z głębin? - spytał doświadczonego sąsiada.

- Pamiętam dobrze. Wypłynął jednocześnie z tym oto białym kwiatem, na który patrzysz właśnie, a ja spozierałem nieraz na ową parę, przy czym czasem uczuwałem obawę. Pąk twój zaczął niedługo po pojawieniu się marnieć i tonać pod wodą, ale nagle wypłynął znowu w jeszcze piękniejszej postaci, zakwitł wspaniale i rozwinął się. Natomiast biały pąk rósł stale i bez przerwy. Raz tylko wydało mi się, że dotknęła go niemoc, ale wnet zło minęło i doszedł

do takiej pełni, jak sam widzisz.

Słowa te napełniły Kamanitę radością wielką, wszystko tak rozwoniało i rozdzwiewało się wokoło i rozbłysło, że zdał się sam sobie dotąd szary i smutny.

Patrzył na biały kwiat bez przerwy i spojrzenie to posiadało widocznie magiczną siłę, gdyż czubek pąka zadrżał, płatki jęły się wyginać na zewnątrz i niebawem ujrzał siedzącą pośrodku Vasitthi, uśmiechnioną i zapatrzoną w niego.

Wyciągnęli ku sobie jednocześnie ramiona i po chwili znaleźli się na brzegu.

Kamanita zauważył, że Vasitthi nie poznała go do tej pory, a zwraca się doń jeno instynktownie, jak słonecznik ku słońcu. Nie mogła go poznać, gdyż bezpośrednio po przebudzeniu nikt nie pamiętał w raju poprzednich żywotów swoich, chociaż odczuwała w duszy na jego widok niejasne przeczucie. Doświadczył tego sam, rozmawiając z sąsiadem o Gandze niebiańskim.

Pokazał jej lśniąca rzekę, wpływającą bez szmeru w toń jeziora i rzekł:

- Niebiański Ganges zasila w ten sposób wszystkie jeziora i stawy raju błogosławionych.
- Niebiański Ganges? - powtórzyła pytająco i przesunęła ręką po czole.
- Chodź, udamy się do drzewa koralowego! - powiedział.
- Idźmy lepiej do tego uroczego gaju, gdzie pośród krzewów płasają powabne postacie! - zawołała, pokazując w innym kierunku.
- Potem tam polecimy. Musisz się orzeźwić przede wszystkim zapachem drzewa koralowego.

Vasitthi usłuchała chętnie, jak dziecko, pocieszone obietnicą nieznaney zabawki rezygnuje z nęcącej je zabawy z towarzyszami, a w miarę zbliżania się ku drzewu rysy jej ożywiały się coraz to bardziej.

- Dokąd mnie wieszysz? - spytała w chwili, gdy skręcali w roztokę skalną. - Nigdy jeszcze tak zaciekawioną nie była. Wydaje mi się, że nieraz już pragnęła tu się znaleźć, ale twój uśmiech świadczy, iżem dopiero co uzyskała świadomość. Gdzieżemy to jednak zalecieli, stąd, jak widzisz, nie ma wyjścia.

- Droga tu jeszcze daleka! - odparł z uśmiechem. - Niebawem przekonasz się, moja Vasitthi, że przeczucie nie myliło cię wcale.

Ukazała się kotlina z malachitowemi skałami, szafirowem niebem i czerwonym drzewem koralowym, z którego biła fala niezrównanej woni.

Vasitthi przycisnęła dłoń do piersi celem zatamowania zbyt szybkiego oddechu, a Kamanita, patrząc na jej twarz, gdzie nastąpiła szybka zmiana mroku na jasność, poznał, że rozpętała się w jej duszy burza wspomnień.

Podniosła ramiona i wykrzyknęła, rzucając mu się na piersi:

- Kamanito, ukochany mój Kamanito!

Pochwyił ją w objęcia i uniósł szybkim lotem poprzez roztokę ku dolinom. Usiedli pod drzewem w okolicy pustej jeszcze i dzikiej nieco, gdzie pasły się jeno gazele, a nikt im przeszkodzić nie mógł i zakłócić samotności.

- Ile żeś musiał wycierpieć, biedaku? - zawołała. - Cóżeś o mnie pomyślał, dowiedziawszy się, iż poślubiłam Satagirę!

Kamanita opowiedział jej, że nie otrzymał wieści o tem, ale sam widział własnymi oczyma jej orszak weselny i patrzył w jej twarz, wyrażającą najwyższą rozpacz i ból. To go też przekonało, że ustąpiła jeno przymusowi rodziców, a nie odebrała mu serca swego.

- Żadna moc ludzka, o ukochany mój, nie byłaby mnie mogła skłonić, - zawołała Vasitthi - gdyby mi nie położono przed oczy dowodu, iż nie znajdujesz się już pośród żywych.

Powiedziawszy to, Vasitthi zaczęła opowiadać szczegółowo swe ówczesne przeżycia i przygody.

XXVI.

ŁAŃCUSZEK Z AMULETEM.

Po wyjeździe twym z Kosambi, o ukochany mój, żyłam smutna, trawiona nieutuloną tęsknotą po całych dniach i nocach, trwożąc się twym losem i przyszłością naszą ustawicznie. Nie byłam pewna, czy oddychasz jeszcze powietrzem ziemi, gdyż słyszałam o niebezpieczeństwie tego rodzaju podróży, a w dodatku sobie przypisywałam całą winę, gdyż jam to, uniesiona miłością, sprawiła, iż nie ruszyłeś w drogę powrotną pod opieką ambasadora, zabezpieczony od wszelkiego zła. Mimo to jednak niezdolną byłam żałować tego co się stało, gdyż okolicznościom owym zawdzięczałam wspomnienia, będące całym skarbem moim.

Medini pocieszała mnie, ale nie często udawało jej się rozpędzić mój smutek. Najlepszym moim powiernikiem było drzewo asokowe, pod którym staliśmy onej nocy księżycowej, kiedym wymawiała słowa Damajanti, jak to zapewne pamiętasz. Staralam się nieraz wysnuć odpowiedź z szumu jego liści, lub znak jakiś dostrzec w migotliwych cieniach, rzucanych na ziemię. Ile razy wróżba bywała pomyślna, czułam się szczęśliwą przez jeden dzień, lub dłużej, ale wnet wracała tęsknota, obawy, złe sny i opanowywała mnie gorączka.

Wobec mego stanu dobrze się stało, że okoliczności nie dały mi trwać w beczynnym, biernym rozpamiętywaniu, ale zmusiły do walki i do zebrania wszystkich sił, chociaż poróżniło mnie to z najbliższymi mi osobami.

Syn ministra coraz natarczywiej prześladował mnie objawami swej miłości i nie mogłam się pokazać z towarzyszkami w parku, by nie stać się zaraz przedmiotem jego zabiegów. Nie robiło to na nim żadnego wrażenia, iż nieraz dawałam mu wprost niegrzecznie do poznania jak go nienawidzę. Rodzice moi popierali te konkury, lekkimi zrazu napomknieniami, potem coraz wyraźniej, gdy zaś wystąpił otwarcie, zażądali, bym mu oddała rękę. Zapewniałam, płacząc gorzko, że nigdy nie zdołam pokochać Satagiry, co nie czyniło na rodzicach żadnego wrażenia, ale i ja również pozostałam obojętną na ich przedstawienia, pogroźki, prośby matki i gniew ojca.

W końcu, nie mogąc inaczej, oświadczyłam, że tobie oddałam serce i żadna siła nie zmusi mnie do złamania świętej przysięgi. Zagroziłam też, że jeśli dojdzie do ostateczności, to umrę powolną śmiercią głodową, odmawiając pokarmów.

Rodzice, zmiarkowawszy, że byłabym w stanie tak uczynić, poddali się w końcu, a i Satagira pogodził się rzekomo z losem i pocieszał się teraz czynami wojowniczymi.

Krażyły podówczas okropne wieści o rozbojach Angulimali, który grasował w okolicy, napadając wsi i czyhając na podróżnych, tak, że nikt się nie ważył ruszać z Kosambi, ani przybywać do miasta. Przerazało mnie to bardzo, gdyż obawiałam się że, powracając do mnie, możesz wpaść w jego ręce. Naraz rozeszła się wieść, że Satagira został dowódcą wielkiego wojska, na czele którego ma ruszyć celem oczyszczenia okolicy i schwytania samego Angulimali. Przysiągł podobno, że tego dokona, albo padnie w walce.

Nie cierpiałam syna ministra, teraz jednak, kiedy ruszał na bój, życzyłam mu powodzenia i błogosławiłam jego orężowi.

W jakiś tydzień potem byliśmy z Medini w ogrodzie, gdy z ulicy doleciały okrzyki. Medini pobiegła dowiedzieć się i wróciła z wieścią, że Satagira wraca w triumfie do miasta, pobiwszy i schwytawszy rozbójników, a wiedzie również Angulimalę, który dostał się żywy w jego ręce. Medini namawiała mnie, bym z nią i Somadattą wyszła na ulicę, ale nie chciałam się pokazywać Satagirze w tłumie wielbicieli jego zwycięstwa, tedy zostałam uradowana bardzo, że drogi są wolne i ukochany mój będzie mógł przybyć. Ludzie tak mało znają drogi własnego losu, że wielbią, jak ja to uczyniłam wówczas, dzień, w którym życie ich doznaje tragicznego przełomu.

Następnego dnia wszedł ojciec do mego pokoju i, podając mi łańcuszek kryształowy z amuletem z tygrysięgo oka, spytał czy go poznaję.

Zdawało mi się, że padnę na ziemię, ale zebrawszy siły, odparłam że podobny jest do łańcuszka, jaki ty nosiłeś na szyi.

- Nie jest podobny, jak mówisz, - ozwał się ojciec z okrutnym spokojem - ale jest on w rzeczywistości łańcuszkiem Kamanity. Satagira znalazł go na szyi Angulimali i poznał zaraz. Opowiedział mi zajście w ogrodzie przy sporze o twą piłkę i oświadczył, że zerwawszy amulet z piersi przeciwnika, miał go w ręku i przypatrzył mu się dobrze. Nie ma mowy o omyłce. Badany na torturach, Angulimala zeznał, iż napadł przed dwu laty karawanę Kamanity, wracającą do Ujjeni i, wymordowawszy służbę, jego samego wziął do niewoli. Posłał po okup do rodziców pojmanego, ale gdy pieniądze nie doszły na czas, zabił go, wedle zwyczaju swej bandy.

Słyszając te straszne słowa, byłabym zemdląła, gdyby nie jedna myśl, dająca mi błysk nadziei.

- Satagira - krzyknęłam - to człowiek zły i podstępny! Nie cofa się przed żadnym oszustwem, a uparł się mieć mnie za żonę. Jeśli oglądał wówczas tak dokładnie łańcuszek, to

mógł teraz kazać zrobić podobny, a choćby nie schwytał Angulimali, to mogło go pobicie rozbójników naprowadzić na myśl powiedzenia, że znalazł łańcuszek wśród nich i że zeznali, jako Kamanita został zabity.

- Niemożliwa to rzecz, córko moja, - powiedział ojciec - jestem jubilerem i znam się na różnych wyrobach. Spójrz na złote uszka, łączące poszczególne kryształy, a przekonasz się, że metal jest czerwonawy. My używamy do stopów srebra, nie miedzi, i metal nasz jest bledszy, poza tem zresztą wygląd surowszy i mniej artystyczny świadczy, że łańcuszek ten zrobiony został w górzystej części kraju.

Chciałam odpowiedzieć, że sam jako biegły jubiler mógł się dopuścić fałszerstwa, gdyż wszystkich posądzałam o spisek przeciw naszej miłości, ale poprzestałam na oświadczeniu, że łańcuszek ten nie jest dla mnie żadnym dowodem śmierci Kamanity.

Ojciec poszedł rozgniewany bardzo, ja zaś, zostawszy sama, oddałam się rozpaczy nieopisanej,

XXVII.

SĄD BOŻY (SACCAKIRIYA).

Pierwsze godziny nocy spędzałam zawsze na „Terasie Beztroski” sama, albo w towarzystwie Medini. Dnia tego byłam sama, co odpowiadało chwilowemu nastrojowi mej duszy. Księżyc jaśniał zupełnie jak wówczas, ja zaś stałam pod wielką, rozkwieconą asoką, błagając jej, by mi zesłała jakiś znak ku uciszeniu mego łaknącego pociechy serca. Powiedziałam sobie:

- Będę liczyła do stu i jeśli, zanim skończę, spadnie mi do stóp kwiat barwy szafranu, to ukochany mój żyje.

Gdym doliczyła do pięćdziesięciu, spadł kwiat, ale miał kolor pomarańczy. Począwszy od ośmdziesięciu liczyłam coraz to wolniej. Nagle rozwarły się z trzaskiem drzwi pomiędzy terasą a murem domu, skąd wiodły schody na podwórze, używane wyłącznie jeno przez pomocników ogrodowych i ogrodnika.

Wkroczył ojciec, za nim Satagira na czele uzbrojonych od stóp do głowy żołnierzy, a pośród nich ujrzałam mężczyznę wyższego od reszty o głowę. Dziwny ten korowód zjawił się całkiem nagle, dwaj żołnierze stanęli u drzwi wchodowych, inni zaś podeszli ku mnie, przy czym zauważyłam, że olbrzym posuwa się z trudnością, a za każdym jego krokiem powłóczą i dzwonią łańcuchy.

W tej chwili spadł prosto pod stopy moje szafranowy kwiat asoki, ale zdumiona przestałam liczyć, nie wiedziałam przeto, czy stało się to po liczbie sto, czy przedtem.

Gdy olbrzym stanął przede mną, spostrzegłam jego łańcuchy obciążone kulami, łączące szyję i nogi, a trzymane przez żołnierzy. Ręce miał w tył związane. Na szyi miał, niby skazaniec, wiedziony na ścięcie, wieniec kwiatów kaniwary, zaś kosmata pierś i głowa posypane były tartą cegłą. Strasznie wyglądał z nastroszonymi włosami i rudą brodą, zarastającą mu całą twarz. Łysnął ku mnie oczyma, ale zaraz wbił spojrzenie w ziemię i wydawał się przerażonym, złem zwierzęciem.

Nie potrzebowałam pytać, kogo mam przed sobą, albowiem wieniec skazańca nie zakrywał owego straszliwego naszyjnika z palców ludzkich, od którego wziął imię (angulimala - naszyjnik z palców).

Satagira ozwał się nagle:

- Powtórz, Angulimalo, tej szlachetnej dziewicy, to coś zeznał na torturach, mianowicie, żeś zamordował haniebnie młodego kupca z Ujjeni, imieniem Kamanita!

- Kamanita nie został zamordowany, - ozwał się ponuro - ale wzięty do niewoli i zgładzony, jak tego żądają ustawy nasze.

Powtórzył mi w kilku słowach to, co wiedziałam już od ojca, ja zaś, słuchając, stałam oparta o pień asoki z paznokciami wbitemi w korę, by nie upaść. Gdy skończył mówić, wydało mi się, że wszystko kręci się wkoło mnie. Ale nie poddałam się.

- Jesteś bezwstydnym zbój i morderca! - powiedziałam. - Nie wierzę twoim słowom. Mówisz jak ci kazał ten, w którego moc podały cię zbrodnie twoje!

Uczułam nagle natchnienie, tak że, sama zdziwiona, dostrzegłam w tem błysk nadziei.

- Nie śmiesz mi nawet spojrzeć w oczy, - zawołałam - choć boją się ciebie wszyscy, ja zaś jestem jeno bezbronną dziewczyną! Nie masz odwagi spojrzeć mi w oczy, gdyż to, co powiadasz, jest nikczemnym kłamstwem!

Angulimala nie podniósł oczu, ale roześmiał się złośliwie i odparł głosem skępowanego zwierzęcia:

- Na cóż mam ci patrzeć w oczy? Pozostawiam to młodym kawalerom. Nie uwierzyłabyś spojrzeniu bezwstydnego zbrojaka, jak nie wierzysz słowom jego. Nie miałabyś za nic nawet przysięgi mojej pewnie?

Zbliżył się o krok i dodał:

- A więc, dziewczyno, niechże się odbędzie sąd boży!

Pochwyciłam spojrzenie jego, gdy wznosił oczy na księżyc, tak że dostrzegłam jeno białka pośród rudych, zwichrzonych włosów głowy i brody. Piersi jego dyszały tak, że aż podskakiwały czerwone kwiaty wieńca, a głos grzmiał jak grom wśród chmur.

- Słuchaj mnie, - wołał - ty, która poskramiasz tygrysy, uwieńczona wężami bogini nocy! Słuchaj mnie, tańcząca w promieniach księżyca, pobrzękująca czaszkami, zgrzytająca zębami, igrająca z czarą krwi, Kali, bogini rozbójników, któraś mnie wybawiła z tyłu niebezpieczeństw... słuchaj mnie! Nie skąpiłem ci nigdy ofiar, przestrzegałem ściśle przykazań twoich, a i z Kamanitą owym postąpiłem jak przystało nam „okupnikom”, gdy okup nie nadejdzie, wedle prawa, które przykazuje rozciąć jeńca piłą na dwie części i zwłoki porzucić na gościńcu. Słuchaj mnie tedy, pani moja, pomóż w onej chwili ostatecznej, rozerwij łańcuchy i wyzwól mnie z rąk nieprzyjaciół moich!

Powiedziawszy to, szarpnął się gwałtownie, łańcuchy zgrzytły i pękły, uwalniając ręce i nogi. Powalił trzymających go żołnierzy, trzeciego zabił kawałkiem łańcucha, zwisającego u ręki i zanieśmy się opamiętali, przeskoczył przez parapet terasy. Satagira rzucił się za nim z

dzikim okrzykiem. Ten jego ruch był ostatnią rzeczą, jaką widziałam.

Dowiedziałam się potem, że Angulimala spadł, złamał nogę, został pochwycony przez straż, potem zginął na torturach w więzieniu, a głowę jego zatknęła nad bramą miasta widzieli Medini i Somadatta.

Po owym sądzie bożym straciłam całą nadzieję, bo wiedziałam, że szatańska bogini nie sprawiłaby cudu, gdyby sąd nie polegał na prawdzie.

Przestało mnie obchodzić co się ze mną stanie na ziemi, gdzie wszystko było już stracone. Mogliśmy się spotkać jeno w raju zachodnim. Tyś ruszył przodem, ja zaś miałam nadzieję znaleźć się tam niedługo. Szczęście mogliśmy osiąść tam jeno, poza tem zaś wszystko było znikomością.

Satagira wznowił starania, a matka płakała, żaląc się, że umrze z rozpacz, nie mogąc przeżyć hańby mego staropanieństwa, bo wygląda to tak, jakby wydała na świat najbrzydszą dziewczynę w całym Kosambi. Wobec tego przestałam się opierać.

Nie miałam zresztą do Satagiry tego co dawniej wstrętu. Mówił prawdę, okazał wytrwałość i wierność, a przytem pomścił śmierć mego ukochanego, tedy zanim rok upłynął zostałam jego żoną.

XXVIII.

NAD BRZEGIEM NIEBIAŃSKIEJ GANGI.

Kamanita spostrzegł, że wspomnienie owe okrywa duszę ukochanej cieniem smutku tu nawet, w przybytku szczęśliwości zaziemskiej. Wziął ją tedy za rękę i polecili razem ku uroczym stokom wzgórz, gdzie spoczywał niedawno, przyglądając się zabawie błogosławionych.

Usiedli pod drzewem i zobaczyli niezliczone postacie, zapelniające łąki i gaje. Mieniły się wszelkimi kolorami, zwłaszcza mnóstwo było istot czerwonych, białych, ciemno i jasnobłękitnych. Powitano serdecznie Vasiitthi i oboje wmieszali się w płąs taneczny.

Polatywali długo nad łąką, gajami, skałami i jeziorami, oraz stawami w ślad za całym korowodem, aż napotkali ową białą postać, która chciała udać się z Kamanitą w drogę do Gangi. Podając mu w tańcu dłoń, spytała z miłym uśmiechem:

- Czy byłeś już nad Gangą? Masz teraz towarzyszkę...

- Nie byłem do tej pory... - odparł.

- Cóż to znaczy? - spytała Vasiitthi, a gdy jej powiedział, dodała: - Musimy tam się udać! Jakże często wznosiłam z marnej ziemi oczy ku niebu, śledząc spojrzeniem niezrównany blask jej. Jakżem pragnęła znaleźć się w miejscu, które otacza, użyźnia i przepelnia rozkoszą i marzyłam, byśmy się tu połączyli. Mam nieprzepartą ochotę polecieć tam z tobą i dotknąć stopą świętego brzegu.

Wymknęli się z tanecznego koła i skierowali lot w kierunku, który oddalał ich od rodzimego stawu. Po pewnym czasie znikły im z oczu jeziora z lotosami, mieszczącymi dusze błogosławionych, kwiaty utraciły swą bujność i czar, coraz mniej spotykali pływających w powietrzu istot. Na równi pasły się trzody antylop, a po odnogach rzecznych pływały łabędzie, wlokąc za sobą sznury piany, perlącej się na tle ciemnej wody.

Wzgórza zrazu wysokie i spadziste znikły także i lecieli ponad płaską, pustynną równią, porosłą kępami traw i krzakami cierni. Dotarli do lasu, cień wzrastał w miarę zagłębiania się wewnątrz, sękate pnie miały barwę brązu, a korony szumiały szpizowo.

Zaczęły przed nimi tańczyć lśniące skry, łączyły się w smugi, roztaczały coraz to bardziej i nagle uderzył ich taki blask, że musieli oczy zasłonić rękami. Wydało im się, że w lesie ustawiono wieloszeregową kolumnadę słupów srebrnych, na których jarzy się wschodzące

słońce.

Kiedy się odważyli odjąć ręce od oczu, mijali ostatnie palmy lasu.

Przed sobą mieli niebiańską Gangę, roztaczającą aż do granic widnokregu srebrzystą powierzchnię swoją, pod stopami ich fale płynnego złota gwiazd splókiwały perłowej barwy piasek płaskiego wybrzeża.

Jaśniejszy zazwyczaj nieboskłon był tu ciemniejszy, szafir przemieniał się w granat, a kończył czarnym rąbkiem na srebrzystobiałej linii rzeki.

Nie czuli tutaj woni koralowego drzewa, ale podobnie jak w kotlinie malachitowej zapach ten jednoczył w sobie wspomnienia wszystkich innych zapachów kwiatnych, tak tutaj szedł od strumieniska zaświatów wiew ostry, przezysty, jedyny, zastępujący wszystkie inne wonie. Vasitthi wchłaniała go chciwie, zaś Kamanita czuł, że zapiera mu oddech.

Nie dochodził tu również najłżejszy nawet ton muzyki niebieskich duchów, natomiast rzeka brzmiała spiżowo gromowemi akordami.

- Słuchaj! - rzekła Vasitthi, podnosząc dłoń.

- To dziwne! - zauważył Kamanita. - Pewnego dnia zaszedłem do chaty, stojącej nad roztoką, którą wił się mały strumyczek. Umyłem w nim obolałe wędrowką nogi. W ciągu nocy spadł wielki deszcz, a ja, leżąc bezsennie w chacie, słyszałem łomot coraz to mocniejszy wody w strumieniu, który z wieczora szemrał jeno cicho. Jednocześnie dolatały uszu moich stukoty jakieś i uderzenia, których sobie nie umiałem wytłumaczyć. Gdy się dzień zrobił, zobaczyłem, że strumyk zmienił się w rwący potok górski o spienionych, potężnych falach, a wraz z wodą toczyły się w dół z hałasem wielkie głazy. One to huczały i uderzały o siebie tak rozgłośnie. Nie wiem czemu, ale, słuchając tych dźwięków, wspominam owo wydarzenie z czasów pielgrzymki.

- Strumień górski niósł głazy, a fale niebiańskiej Gangi toczą całe światy i unoszą z sobą. Stąd pochodzi wspomnienie twoje i stąd się też bierze ów łoskot gromowy.

- Całe światy unosi Ganga? - spytał Kamanita przerażony.

Vasitthi uśmiechnęła się i chciała popłynąć dalej, ale Kamanita powstrzymał ją.

- Stój, Vasitthi! - zawołał. - Czyż wiesz jakie moce, jakie siły nieznane promieniują z fal onej kosmicznej rzeki. Oddalwszy się od brzegu, możesz paść ich ofiarą. Drzę na myśl, że cię porwą i zabiorą.

- Wszakże poszedłbyś tam za mną?

- Oczywiście! Któż wie jednak czybym cię zdążył doścignąć, któż wie czybyśmy nie zostali rozdzieleni? A gdyby nawet nie, to prąd jakiś nieszczęsny mógłby nas porwać i unieść w bezkres, w dal i nie wrócilibyśmy do błęgiego osiedla rajskiego.

- W bezkres, powiadasz? - powtórzyła w zadumie Vasiṭṭhi, a spojrzenie jej pobiegło w dal, gdzie święta rzeka dotykała srebrnym rąbkiem czarnego nieba, dążąc dalej jeszcze, tam gdzie sięgnąć już nie można wzrokiem. - Czyż może istnieć szczęśliwość wiekuista tam gdzie są granice? - spytała po chwili, zatopiona w myślach.

- Vasiṭṭhi! - krzyknął przerażony. - Czemuż cię tutaj przywiodłem? Uchodźmy stąd co prędzej, ukochana moja!

Zabrał ją stąd pospieszniej jeszcze niż z pod koralowego drzewa. Zawróciła bez oporu, kiedy jednak mieli zanurzyć się w las, obróciła głowę i rzuciła raz jeszcze spojrzenie ku niebiańskiej, zaświatowej rzece.

*

Znaleźli się znowu na kwiatnych tronach swoich, pośród rajskiego jeziora, krążyli pośród rozkwieconych klejnotami kwiatnymi drzew, brali udział w zawodach tanecznych błogosławionych i zażywali niebiańskich rozkoszy niezmaconej niczem miłości.

Spotkała ich pewnego dnia biała postać i, podając dłoń w tańcu, rzekła:

- Widzę, żeście byli nad brzegiem niebiańskiej Gangi.

- Skądże to wiesz? - zdziwił się Kamanita.

- Widzę po cieniu na czołach waszych. Dlatego też nie udam się tam. Wy również nie zawróćcie w owe strony, nikt bowiem tego nie czyni.

XXIX.

ZAPACH KORALOWEGO DRZEWA.

Nie wrócili w istocie nad niegościnnie brzegi niebiańskiej Gangi, za to często kierowali swój lot ku malachitowej kotlinie. Spoczywając w cieniu potężnej korony koralowego drzewa, oddychali wonią niezrównaną, płynącą z karmazynowych kwiatów, a z głębi ich poznania wychylały się coraz to nowe wspomnienia minionych wcieleń.

Widzieli się to w pałacach i chatach wieśniaczych, ale zawsze połączeni byli miłością wzajemną, bez względu na strój z jedwabiu i muślinu, czy samodziału. Czasem łączyli się w szczęśliwym współżyciu, innym razem rozłąka i śmierć dzieliła ich, ale los nie zmieniał w niczem ich miłości.

Cofnęli się w dawne czasy, kiedy ludzie mocarniejsi byli, w owe niezapomniane, bohaterskie wieki, kiedy to on wyrwał się z jej objęć, dosiadł słonia bojowego, pospieszył do miasta słoni z pomocą przyjacielom swoim, księżętom Panduingów, w walce z Kuruingami i bojując w szeregach Arjuny i Krysny wydał ostatnie tchnienie na polach Kurukczetry. Dowiedziawszy się o tem, kazała zbudować stos przed pałacem i wstąpiwszy nań z wszystkimi niewiastami swemi, podpaliła własną ręką smolne bierwiona.

Wcielili się potem w innej okolicy i zgoła odmiennem otoczeniu. Nie była to dolina Gangi i Jamuny z pięknymi miastami, pełnymi pałaców, gdzie żyli dzielni wojownicy, dumni braminowie, bogaci kupcy i pracowici Sudrasi. Nie było tu pól ryżowych, wielopiennych, figowców, lasków palmowych i dżungli, nie było też tygrysów, słoni i nie wznosiły się na horyzoncie śnieżne szczyty Himawatu. Wszystko to, wśród czego żyli dotąd, jakby poza tym światem tropikalnym nie było innego, znikło i ustąpiło miejsca zgoła innemu światu.

Dogrzewało i tu mocno letnie słońce, jak nad Gangesem, pałac trawy i wysuszając żyły wodne, ale w zimie opadały z drzew liście, a szron pokrywał pola. Nie było miast z wieżycami, jeno wsie z rozległemi pastwiskami, a gdzie niegdzie wznosiły się na pagórku warownie o silnych murach. Osiadł tu wojowniczy lud pasterski, w lasach było dużo wilków, a wędrownika przerażał na całe mile ryk lwa, zwanego straszliwą bestją lasów.

Tak go zwał ongiś ten, który był w ostatniem wcieleniu Kamanitą. Wówczas był pieśniarzem biednym, bo całe jego mienie stanowiła lutnia, oraz zapas pieśni w duszy. Była to

drogocenna spuścizna po przodkach, stare tajemnicze hymny do Agni, Indry, Waruny, Mitry, a nawet do bogów nieznanych, dalej piosnki bojowe i hulaszce dla mężczyzn, a miłosne dla dziewcząt, wreszcie formułki czarodziejskie dla matek, karmiących niemowlęta. Wielkim był jego zapas, a posiadał talent twórczy, przeto wszędzie go mile witano. O godzinie powrotu bydła z pastwisk spotkał uroczą, zgrabną dziewczynę. Obok niej kroczyła ulubiona krowa, za której dzwonkiem spieszyło stado. Dziewczyna pozdrowiła pieśniarza, on oddał pozdrowienie, spojrzeli na siebie z uśmiechem i pokochali się natychmiast, bowiem było to takie samo spojrzenie, jakie zamieniła w parku miejskim w Kosambi w czasie gry w piłkę z przybyszem z Ujjeni.

*

Znikł wreszcie i Kraj Pięciu Rzek, który im kilkakrotnie służył za ojczyznę, jak poprzód dolina Gangi. Znaleźli się w innych okolicach, pośród ludzi i obyczajów odmiennych.

Przed nimi leżał step bezkresny, pokryty śniegiem, przez który snuł się długi korowód wozów, jezdnych i pieszych. Powietrze napełniały białe płatki, a przez nie rysowały się na horyzoncie czarne grzbiety gór. Z pod dachu jednego z wozów wychyliła się dziewczyna tak, że futro spadło jej z głowy, a na piersi i ramiona posypały się kędziory jasnych włosów.

Spozierała ze strachem tam, dokąd patrzyli wszyscy, pokazując coś palcami. W dali ukazała się horda jezdnych napastników. Dziewczyna skierowała spojrzenie na jadącego przy wozie na czarnym byku młodzieńca i w spojrzeniu owym zajaśniało bezgraniczne zaufanie, oraz też sama miłość.

Zapłonęło serce młodzieńca, chwycił topór bojowy i, wydając okrzyki, rzucił się na czele innych na nieprzyjaciela. Serce to drgało jeszcze od upojenia miłosnego, gdy go przeszły zimne żelazo scytyjskiej strzały.

*

Doznawali większych jeszcze przemian w ciągu wieków, a zapach drzewa koralowego ukazywał im, czem byli w pradawnych czasach.

Żyli w olbrzymim borze, on był jeleniem, ona łanią. Miłość ich niemą stała się teraz, ale zamieniać mogli spojrzenia i zawsze były one takie same. W głębi wielkich, wrażliwych oczu migały poprzez mgłę nieświadomości te same skryte uczucia, które przelatowały z jednego oka ludzkiego do drugiego.

Razem się paśli, brodzili w chłodnym strumieniu i spoczywali jedno przy drugim w wysokiej trawie. Wspólne były ich radości i oboje drżeli z strachu, gdy nagle pozorna gałąź drzewa nabierała życia i rozwierała się paszcza pytona. Jednocześnie nadsluchiwali skradającego się w gąszczu rabusia, chwyтали rozdętymi nozdrzami ostry odór jego i rzucali

się do ucieczki w chwili, kiedy trzask rozlegał się w krzakach, a po całym lesie huczał ryk wściekłości oszukanego tygrysa.

Przez czas długi żyli w lesie pośród jego rozkoszy i niebezpieczeństw. Pewnego dnia, w chwili kiedy ogryzali soczyste pędy, łania wpadła w sidła zastawione przez myśliwego. Jeleń szarpał rogami i racicami postronki więżące jego ukochaną i wysiłał się póty, aż nadszedł myśliwy. Spostrzegłszy go, rzucił się, nastawiwszy do ataku rogi, ale włócznia położyła niebawem oboje trupem.

*

Byli parą orłów płowych. Gnieździli się w wysokich turniach, pływali ponad niezgłębionymi przepaściami Himawatu i okrążali jego śnieżyste szczyty.

Jako delfiny przepływali bezkresne dale oceanu.

Raz wyrosli jako dwie palmy na wyspie śródziemnej, splekli razem korzenie swe w piasku, a korony ich szumiały razem w wietrze.

*

Wiedzieli, że nigdzie nie zabraknie materiału wspomnień, albowiem w miarę cofania się przeszłość ucieka. To też wtapiali się w opowieści znakomitego bajarza, którego talent płodzi bezlik zdarzeń i wydawało im się, że są parą księżęcą, która każe sobie dla rozrywki opowiadać różności, to życie króla, to wiejską historyjkę, epos bohaterski, baśń z pradawnych czasów, legendę z życia zwierząt, lub bajkę.

Choćby przez wieki całe przeżywali owe rzeczy minione, nie mogło się zdarzyć, by zapach drzewa koralowego przestał budzić wspomnienia.

Dziwowali się bardzo.

- Jesteśmy starzy jak świat! - powiedziała Vasitthi..

XXX.

WSZYSTKO PRZEMIJA.

- To prawda! - potwierdził Kamanita. - Jesteśmy starzy jak świat. Ale dotąd wędrowaliśmy bez celu i zawsze śmierć skazywała nas na nowe życie. Teraz dopiero znaleźliśmy się w miejscu, gdzie wszystko trwa wiecznie, to też rozkosz nasza nigdy nie ustanie.

Mówił to w chwili, kiedy wracali od drzewa koralowego do rodzimego stawu. Kamanita chciał właśnie usiąść na swym lotosie, gdy nagle spostrzegł, że czerwień jego i blask straciły dawny powab. Unosząc się w powietrzu nad kwiatem, zauważył z przerażeniem, że płatki korony poczerniały na brzegach, jakby zwarzone mrozem, a ostre zazwyczaj ich końce opadły bezsilnie w dół.

Podobnie wyglądał lotos Vasitthi i musiała to również spostrzec, gdyż zawisła w powietrzu, nie siadając wśród płatków.

Skierował spojrzenie na swego błękitnego sąsiada i spostrzegł, że jego lotos doznał takich samych zmian, a ponadto twarz nie promienieje radosnym blaskiem, jaki na niej widniał, gdy po raz pierwszy zamienili pozdrowienie. Rysy twarzy nie były tak ożywione, ruchy nie tak swobodne, a w oczach jego dostrzegł to samo zdziwienie co w oczach Vasitthi.

Podobnie działo się wokół, kwiaty i postacie zmieniły się bardzo.

Spojrzał ponownie na swój lotos. Jeden płatek jakby ożył, pochylił się wstecz i, odcepiony od korony, spłynął na wodę.

Jednocześnie z każdego lotosu oderwało się po jednym płatku i na wodzie zakołysały się małe czółenka. Dreszcz jakiś przebiegł urocze gaje, a na murawę spadł deszcz barwnych kwiatów. Westchnienie uleciało z tysiącznych piersi, a dysharmonijny akord zmaćił muzykę duchów niebiańskich.

- Czy widzisz to, czy słyszysz, droga Vasitthi? - zawołał. - Cóż to znaczy, co może oznaczać owa straszliwa zmiana?

Vasitthi uśmiechała się spokojnie i rzekła:

- O tem myślał właśnie, mówiąc:

Wszystko co żyje, zdąża do zatury,

Jak ziemskie, więdną także rajy kwiaty.

- Któż wyrzekł te straszne słowa, zabijające wszelką nadzieję?

- On to rzekł, mistrz dostojny, świadomy życia i patrzący prawdzie w twarz, a uczynił tak, by oświecić wszystkich i dać pociechę każdemu. On przeniknął świat, poznał wszystkie szlachetne i nikczemne istoty, gromady bogów, bezlik ludzi demonów, on wszystko przeniknął, wszystko objaśnił, on jest drogowskazem, pokazującym, któredy iść należy poza złudę. Uczynił, czego nie zdołał zrobić nikt przedtem, a imię jego: doskonały, skończony, Budda!

- Jak to? Budda miałby to powiedzieć? - krzyknął Kamanita. - o nie, Vasiitthi! Zdarza się nader często, iż słowa wielkich ludzi ulegają przekręceniu i opacznemu zrozumieniu. Wiem to dobrze, bowiem spędziłem raz noc w przedsionku domu garncarza pod Rajagahą z pewnym nierozsądnym mnichem, który mi wykladał naukę boskiego męża. Gadał rzeczy beznadziejnie smutne i przekręcał wszystko widocznie, chociaż, jak teraz widzę, opierał się na kilku prawdziwych twierdzeniach. Były one jednak w głowie tego głuptaka tak doszczętnie zmienione, że nie zostało z nich nic poza desperacką doktryną nicości. Zapewne i tobie powiedziano rzecz fałszywą.

- Nie, mój drogi! - odparła. - To, com rzekła, słyszałam z ust samego mistrza.

- Jak to, ukochana moja? Czyż widziałas go na własne oczy?

- Tak jest. Siedziałam u stóp jego, słuchając nauki.

- Szczęśliwa tedy jesteś, Vasiitthi! Wspomnienia twe są szczęściem prawdziwym. I ja doszedłbym był do tego samego, gdyby nie zły los, będący owocem złych czynów przeszłości, który pozbawił mnie w ostatnim momencie widoku męża bożego. Biegłem do miejsca, gdzie przebywał, właśnie w Rajagaha, gdzie miał ową rozmowę z mnichem, gdy nagle zaskoczyła mnie nagła śmierć. Los doścignął mnie na kwadrans przed osiągnięciem upragnionego celu, ale teraz szczęśliwym się czuję, że tobie dostało się w udziale owo szczęście. Opowiedz mi tedy szczegółowo, jakie się dostała do mistrza. Umocni mnie to niezawodnie i skrzepi, słowa, które wydają mi się straszne i beznadziejne, utracą kolce, staną się zrozumiałe i pewny jestem, że odnajdę ukrytą w nich pociechę.

- Chętnie to uczynię, ukochany mój! - odrzekła.

Usiedli na swych lotosach, a Vasiitthi podjęła ciąg dalszy opowieści o swych losach.

XXXI.

ZJAWISKO NA TERASIE.

Gdy Satagira osiągnął swój cel, to jest gdy zostałam jego żoną, bardzo szybko przestał mnie kochać, do czego przyczynił się zapewne brak wzajemności z mej strony. Przysięgłam, że będę wierną żoną, a on wiedział, iż zobowiązania dotrzymam. Nie byłam w stanie uczynić więcej, nawet gdybym chciała.

Urodziłam mu córkę, która zmarła po dwóch latach, to też nikt się nie zdziwił, a najmniej ja sama, że wziął sobie drugą żonę, z którą miał upragnionego wielce syna. Skutkiem tego druga żona zajęła pierwsze w domu męża miejsce, a że umiała także przynęcić go do siebie różnemi sztuczkami, pozyskała tedy całą jego miłość, z której ja bardzo chętnie zrezygnowałam. Satagirę pochłonęły też niebawem sprawy państwa, gdyż zajął po śmierci ojca swego stanowisko ministra królewskiego.

Minęło spokojnie lat kilka, ale nie żaliłam się na to wcale. Oddana całkowicie żalobie, żyłam wspomnieniami i nadzieją zobaczenia cię tutaj, co się też spełniło w zupełności.

Pałac Satagiry stał nad tą samą przepaścią, z której wspinałeś się tyle razy na „Terasę Beztróskich" i posiadał podobną terasę, jak dom mego ojca, tylko w tem miejscu urwisko było bardziej strome. Spędzałam tu zawsze pogodne wieczory, a często nawet nocowałam w letniej porze na przenośnym łóżku. Nikt się nie sprzeciwiał, bowiem prostopadła niemal ściana skalna, obwarowana ponadto murem, była nieprzystępną w zupełności.

Pewnej nocy księżycowej leżałam, nie mogąc zasnąć. Myślałam o tobie, a zwłaszcza o onej niezapomnianej chwili, kiedyśmy wraz z Medini czekały na pierwsze twe z Somadattą przybycie. Wspominałam, jak postać twa, pierwiej niż się spodziewałam, ukazała się ponad barjerą, i jak w zapale wielkim uprzedziłeś Somadattę, który ci wskazywał drogę.

Marząc tak, skierowałam mimo woli spojrzenie na mur brzeżący terasę i spostrzegłam nagle ponad nią głowę człowieka.

Byłam tak pewna, że nikt się tu dostać nie może, iż wzięłam zjawę ową za ducha twego, przywołanego tęsknotą moją. Sądziłam, że przybywa pocieszyć mnie wieścią z raj, kędy się znajdujesz.

Nie przeraziłam się tedy wcale, ale wstałam i rozpostarłam ramiona na przyjęcie twoje.

Kiedy atoli przybyły stanął na tarasie i zbliżył się do mnie, spostrzegłam, że jest od ciebie znacznie wyższy, że to wprost olbrzym i poznałam stojącego przede mną ducha Angulimali. Przeraziłam się teraz tak, że musiałam trzymać się wezglowia łóżka, by nie upaść.

- Kogóż to oczekiwałaś? - spytało widziadło, zbliżając się jeszcze bardziej.

- Ducha oczekiwałam, ale nie twojego! - odrzekłam.

- Ducha Kamanity? - spytał.

Skinęłam głową.

- Kiedyś uczyniła ten gest powitalny, przejęła mnie obawa, że masz kochanka i jego przybycia wyglądasz. W tym razie nie mogłabyś mi pomóc w niczem, a potrzebuję twej pomocy, równie jak ty potrzebujesz mojej.

Słyszając te dziwne słowa, odważyłam się podnieść oczy i wydało mi się, że nie mam przed sobą ducha, ale człowieka z krwi i kości. Ale księżyc był poza nim, to też olśniona blaskiem i zmieszana dostrzegałam tylko zarysy postaci, która mogła być również kształtem demona.

- Nie jestem wcale duchem Angulimali, rzekł, odgadując moje wątpliwości - jestem podobnym do ciebie człowiekiem.

Zaczęłam drzeć, nie ze strachu, ale z powodu, że mam przed sobą okrutnego mordercę ukochanego człowieka.

- Nie bój się, szlachetna pani! - powiedział rozbójnik. - Nie masz powodu bać się mnie, albowiem to ja sam przeląknęłam cię i nie śmiałem ci spojrzeć w oczy wówczas, kiedym cię haniebnie okłamał.

- Okłamałeś mnie? - zawołałam z cicha, nie uświadamiając sobie, czy się raduję, że żyjesz, czy ubolewam i rozpaczam, że dałam się podejść i rozłączyć z żywym.

- Tak, uczyniłem to - rzekł Angulimala - i właśnie owo kłamstwo łączy nas obecnie. Mamy wspólny cel zemsty, a jest nim Satagira!

Uczynił księżęcy wprost gest ramieniem, prosząc, bym usiadła, ja zaś usłuchałam mimo woli, bo nogi się chwiałały pode mną, i spoczęłam na ławce. Potem wpatrzyłam się weń chciwie, łaknąc słów, które mnie miały upewnić o twym losie.

- Kamanita wraz z całą swą karawaną wpadł w moje ręce w lasach Wedisy. Bronił się dzielnie, ale nie ranny dostał się do niewoli, gdy zaś w terminie oznaczonym nadszedł okup, odesłałem go do domu, jak przystało. Wiem na pewno, że dojechał zdrów i cały do Ujjeni.

Na wieść tę westchnienie wyrwało się z piersi mojej. W tej chwili uczuwałam jeno radość, że ukochany mój żyje i cieszyłam się bardzo, chociaż było to obecnie zgoła niewłaściwe. Życie twe dzieliło nas bardziej jeszcze niżli śmierć.

- Kiedy się dostałem w szpony Satagiry, - ciągnął dalej Angulimala, - poznał on zaraz, że

łańcuszek kryształowy z amuletem tygrysięgo oka, wiszący na mej szyi, był własnością Kamanity. Następnego dnia przybył sam do mego więzienia i ku wielkiemu memu zdziwieniu, obiecał wolność, jeśli przysięgnę wobec pewnej dziewczyny, iż zamordowałem Kamanitę. Oświadczył, że sama przysięga nie przekona tej dziewczyny, przeto trzeba urządzić sąd boży.

Objąsnił, że z początkiem nocy zostanę zaprowadzony na terasę, gdzie będzie owa dziewczyna, że postara się, by kajdany moje zostały przepiłowane w różnych miejscach tak, iż z łatwością zdołam je zerwać, poczem mogę przeskoczyć barjerę terasy i skoczyć w rozpadlinę wąską i niedostępną, kędy płynie mały strumyk, będący dopływem Gangesu. Złożył ponadto uroczystą przysięgę, iż nie przeszkodzi mej ucieczce z Kosambi.

Nie dowierzałem mu, ale nie było też innego wyjścia. Za nic w świecie nie zgodziłbym się na fałszywy sąd boży, gdyż ściągnąłbym przez to na siebie straszliwy gniew bogini. Po namyśle przyszedłem jednak do przekonania, że uda mi się rzecz przedstawić w słowach tak niejasnych, iż będzie ci się wydawało, iż stwierdzam śmierć Kamanity, ja zaś nie powiem wprost kłamstwa. Pamiętałem, iż Kali lubuje się w chytrłości i ufałem, że dopomoże mi w tej sprawie wyrwania się z rąk Satagiry, choćby zgotował zdradę.

Wszystko odbyło się jak było ułożone i sama widziałaś jak zerwałem łańcuchy, ale do dziś dnia nie wiem dobrze, czy Satagira dotrzymał słowa i kazał przepiłować kajdany, czy Kali dopomogła mi cudem. Przypuszczam jednak rzecz pierwszą, bo zaledwo upłynąłem mały kawałek Gangesem, pojawiła się łódź pełna żołnierzy i ludzie ci rzucili się na mnie. Satagira urządził tedy pułapkę. Ale teraz pokazało się, co warta pomoc Kali, bo mimo że jedyną bronią mą były kawałki łańcuchów, zwisające z mych rąk, zdołałem uśmiercić wszystkich wojowników i dosięgnąłem szczęśliwie celu podróży łodzią, którą podczas walki prąd wyrzucił na brzeg. Znalazłem się na północnym brzegu Gangesu, ale odniosłem tyle ran, że minął rok, zanim się pogoili. Przez ten czas przysięgałem sobie po wiele razy, że Satagira musi zostać ukarany i teraz oto nadszedł czas zemsty.

Zawrzałam straszliwym oburzeniem na sprawcę oszustwa, któremu uległam. Nie mogłam brać za złe rozbójnikowi, że użył tego środka dla uratowania życia własnego, że zaś nie splamił rąk krwią mego ukochanego, zapomniałam zupełnie, ile krwi niewinnej do nich przylgnęło. Nie czułam ani strachu, ani nie przejmował mnie wstrętem człowiek, który mi przyniósł wieść, że żyje na świecie ten, którego ukochałam ponad wszystko. Natomiast straszliwa mnie ogarnęła nienawiść przeciw zbrodniarzowi, który sprawił, iż zostaliśmy rozłączeni i musimy każde z osobna kończyć wędrówkę życia. To też, posłyszawszy groźbę Angulimali, mimo woli doznałam radości, która ujawnić się musiała na mej twarzy, bo

rozbójnik powiedział głosem, wezbranym namiętnością:

- Widzę, dostojna pani, że dusza twa pożąda zemsty i przyrzekam jej dopełnienie. Właśnie w tym celu przybyłem. Od kilku już tygodni czyhałem pod Kosambi na Satagirę. Dopiero wczoraj jednak z dobrego źródła zaczerpnąłem wiadomość, że opuści on w tych dniach miasto i uda się do pewnego obwodu na wschodzie, celem załatwienia sporu prawnego pomiędzy dwiema wsiami. Zanim się o tem dowiedziałem, chciałem go zmusić do wystąpienia zbrojnie w celu pojmania mnie po raz wtóry. Ale ta podróż jego ułatwia całą rzecz. W celu wprowadzenia w życie pierwszego mego planu umyślnie nie tałem swej obecności w okolicy i czyny moje rozniosły wszędzie wieść, iż żyję i cieszę się wolnością. Chociaż większość sądzi, iż jakiś samozwaniec podszywa się pod imię Angulimali, to postrach padł już taki, że tylko dobrze uzbrojone liczne karawany, idące pod ochroną wojska, wąż się ruszać w drogę ku wschodnim okolicom lesistym, gdzie jest moje stałe osiedle. Widocznie nic o tem nie słyszałaś, ale rozumiem dobrze, iż niebaczną na nic, pogrążoną w żalobie po utraconem szczęściu, żyjesz samotna, i nie obchodzą cię wieści ze świata.

- Słyszałam co prawda o zuchwałych napadach - odrzekłam - ale nikt mi nie wymienił twego imienia, przeto pewną byłam, że mam przed sobą ducha.

- Satagira za to słyszał me imię - odrzekł - i zaręczam ci, że wierzy, iż ma do czynienia z prawdziwym Angulimalą, oraz że się boi straszliwie. To też wyruszy pewnie z większym oddziałem wojska, a także przedsięweźmie środki ostrożności, mając się nawet chytrych sztuczek i zwodzących forteli. Banda, na czele której stoję, nie jest liczna i silna jeszcze, mimo to jednak na nic się nie zdadzą wybiegi Satagiry, o ile dowiem się całkiem na pewno, o której godzinie wyruszy i jaką obierze drogę. Otóż tego właśnie chcę się dowiedzieć od ciebie.

Dotąd słuchałam słów jego w milczeniu, owładnięta jakąś siłą przemożną bezwładu, nie myśląc jak dalece wchodzę w kompromis ze zbrojcem, ostatnie jednak słowa oburzyły mnie i spytałam, co go upoważnia do przypuszczenia, że tak nisko upadłam, by brać za sprzymierzeńca mordercę i złodzieja.

- Sprzymierzeniec - odparł Angulimala powinien w pierwszym rzędzie być zaufania godnym, a sama czujesz, że w sprawie tej zawieść cię nie mogę. Ja potrzebuję twej pomocy, bo ty jedna możesz mi dostarczyć koniecznych wiadomości. Posiadam, co prawda, niejedno źródło i ludzie moi znają niektóre szczegóły zamierzonej podróży Satagiry, atoli fałszywa pogłoska może wszystko zmienić zasadniczo. Ty zaś potrzebujesz mojej pomocy, gdyż dumna, szlachetna dusza zaspokoić się może jeno śmiercią zdrajcy. Gdybyś była mężczyzną, zabiłabyś winowajcę sama, ale jako kobieta, mojem ramieniem posłużyć się musisz.

Chciałam odmówić i odprawić go, ale uczynił ręką gest, świadczący, że nie skończył, to też zamilkłam mimo woli i słuchałam dalej.

- To jest zemsta, szlachetna pani. Ale istnieje jeszcze rzecz inna, ważniejsza. Tobie należy się szczęście i winnaś poń sięgnąć, ja zaś muszę odpokutować mą winę. Słusznie powiadają, iż nie znam litości dla człeka ni zwierza. Tak jest, dopuściłem się wielu czynów, za które, jak mówią kapłani, trudnoby odpokutować tysiącletnimi mękami w piekle. Miałem przyjaciela imieniem Vajasrawa, uznanego przez lud za świętego, a na grobie jego do dziś hojne składam ofiary. Przyjaciel ten udawał mi nieraz jak na dłoni, że kar zaziemskich nie ma i być nie może, zaś przeciwnie rozbójnik jest koroną stworzenia i istotą bogom najmilszą. Niestety jednak nie byłem nigdy w stanie uwierzyć wymownym słowom jego.

Mniejsza zresztą o kary piekielne! Nie ulega natomiast wątpliwości, że z pośród wszystkich złych czynów moich jeden mnie tylko gnębi, a mianowicie to, że cię oszukałem za pomocą chytrego i wykrętnego sądu bożego. Wówczas nie śmiałem ci spojrzeć w oczy, a wspomnienie to trapi mnie do dziś nieustannie i jest mi cierniem w nodze. To też pragnę w miarę możliwości naprawić krzywdę, jaką ci uczyniłem, a dokażę tego, niwecząc skutki występku. Z winy mojej rozłączono cię z rzekomo zabitym Kamanitą i zaślubiono podstępnemu Satagirze. Więzy te chcę zerwać, tak że będziesz wolna i połączysz się z ukochanym. Sam udam się do Ujjeni i przywiodę ci go w jak najlepszym zdrowiu, ty zaś uczyni również coć czynić przystoi. Nietrudna to rzecz dla pięknej kobiety przeniknąć tajemnicę męża. Przybędę jutro, skoro się tylko ściemni po wieści, a proszę, by były dokładne.

Skłonił się nisko i znikł z terasy równie tajemniczo i szybko, jak się zjawiał, zanim zdołałam poskromić zmieszanie i opanować się do tyła, by wyrzec słowo.

XXXII.

SATAGIRA.

Spędziłam na terasie całą noc, targana nieznanymi dotąd namiętnościami, a serce moje i myśli polatały bezwolnie w wichrze burzy na wszystkie strony, niby liście.

Ukochany mój Kamanita żyje, myślałam, ale wieść o małżeństwie mojem doszła doń, choć mieszka daleko i dlatego nie przybył. Jakże wiarołomną, a przynajmniej jak słabą wydać mu się musiałam! Satagira winien był tego poniżenia mego, to też nienawiść ku niemu wzrastała we mnie z każdą chwilą i przyznawałam słuszność twierdzeniu Angulimali, że, będąc mężczyzną, winnabym go była zabić.

Poza tem nęciła mnie nadzieja niespodzianie rozbudzona przez rozbójnika. Gdy będę wolną, mogę wyjść za ukochanego. Na tę myśl wzburzenie mnie takie ogarnęło, iż pulsowanie krwi omal nie rozerwało mi serca i skroni. Nie mogąc nawet dowlec się do ławki, padłam na marmurową posadzkę i straciłam zmysły.

Rzeźwa rosa poranna przywróciła mi świadomość nieszczęsnego bytu mego i przywiodła na pamięć straszliwy problem.

Nie mogłam uwierzyć, iż rzeczywistością było me przymierze ze zbójem w celu zgładzenia człowieka, który mnie zawiódł przed domowe ognisko.

Z drugiej strony nie wiedziałam, kiedy mąż mój zamierza wyjechać. Jakże miałam się tego dowiedzieć, a co więcej wy badać, jaką obierze drogę, gdy trzyma to wszystko w tajemnicy?

Słowa zbója, czyniące aluzję do sposobów, jakich może użyć piękna kobieta wobec mężczyzny, ukazywały mi całą nikczemność zamierzonego podstępu. Za nic w świecie nie użyłabym zalotności, by uwiedzionego tak wydać w ręce wroga, ale to właśnie rozważanie uświadomiło mi, że nie mam skrupułów co do samego Satagiry, jeno budzą we mnie odrazę niskie i zbrodnicze metody wyrwania mu tajemnicy. Gdybym ją posiadała, gdybym miała w ręku tabliczkę notatkową z wykreśloną linią marszu, nie zawahałabym się ni chwili i zwierzyłabym wszystko Angulimali.

Zadrzałam, bowiem uczułam się współwinną śmierci męża i podziękowałam losowi, który mi rzecz ową uniemożliwił. Choćbym wiedziała, kiedy jedzie, to o drodze zamierzonej

dowiedzieć się mogłam jeno od niego samego, lub jego zaufańca.

Na niebo wypłynęło słońce, złocąc kopuły miasta, ja zaś patrzyłam na cudny widok, atoli wśród innych zgoła uczuć, niż czasu pamiętnych świtów po nocy z tobą spędzonej na „Terasie Beztroskich”. Nieszczęśliwa, jakby postarzała o całe stulecie, wróciłam do pałacu męża.

Chcąc dojść do mego mieszkania, minąć musiałam długą galerję, na którą wychodziło kilka zakratowanych okien. Przechodząc mimo, posłyszałam głosy. Jeden z nich, a był to głos Satagiry, brzmiał jak następuje:

- Dobrze! Wyruszymy przeto dziś jeszcze w godzinę po północy.

Stałam mimo woli. Dowiedziałam się, kiedy ruszą. Ale nie znałam drogi. Krew rzuciła mi się do twarzy, a głos sumienia począł wołać: - Uciekaj! Uciekaj! Jeszcze czas! - Ale chociaż czułam całą nikczemność podsłuchiwania, nie mogłam uczynić kroku.

Satagira umilkł. Zapewne usłyszał kroki, które ustały nagle, bo rozwarł szybko drzwi i stanął przede mną.

- Usłyszałam, przechodząc, głos twój - powiedziałam, decydując się szybko - i chciałam spytać, czy nie każesz podać sobie czegoś do zjedzenia, pracując o tak wczesnej porze. Zawahałam się jednak, nie chcąc przeszkadzać.

Satagira patrzył na mnie bez podejrzenia, a nawet z wielką życzliwością.

- Dziękuję ci, - powiedział - pokrzepiłem się już, a także nie przeszkadzasz mi wcale. Przeciwnie, miałem właśnie posłać z prośbą, byś przyszła, ale obawiałem się zbudzić cię ze snu. Potrzebuję bardzo twojej pomocy.

Zaprosił mnie do komnaty, gdzie weszłam zdziwiona wielce i zaciekawiona, jakiej może żądać pomocy od osoby, zajętej właśnie zamachem na jego życie.

Na niskim stołku siedział dowódca jazdy, zaufaniec Satagiry. Ujrzawszy mnie, wstał i skłonił się. Satagira posadził mnie koło siebie, uczynił gest dowódcy, by zajął swe miejsce poprzednie i, zwracając się do mnie, zaczął:

- Idzie, droga moja Vasitthi, o rzecz następującą: Muszę udać się niezwłocznie w podróż celem załatwienia sporu w wschodnim obwodzie państwa. Tymczasem ukazały się w okolicy, tuż pod Kosambi groźne bandy zbójckie, a wieść niesie, iż przywódcą największej z nich jest słynny rozbójnik Angulimala. Ludzie twierdzą z niesłychaną bezczelnością, że schwytany przeze mnie półtora roku temu Angulimala uciekł z więzienia, ja zaś zatknąłem na bramie miasta głowę fałszywą, podobną do jego głowy. Jest to oczywiście śmieszna bajka. Niestety, nowy przywódca bandy nie ustępuje wcale tamtemu łotrowi w zuchwałości, a to, że podszywa się pod jego imię, świadczy, iż zamierza popisać się jakimś świetnym czynem.

Muszę być tedy niezwykle ostrożny.

Na małym, wykładanym kosztowną mozaiką stoliku leżała jedwabna chustka. Wziął ją i otarł czoło, mówiąc, że mimo wczesnej pory dzień jest nader upalny. Wiedziałam, że strach przed Angulimalą sprowadza mu pot na czoło, ale, miast litości, uczulam dlań jeno pogardę. Nie był zgoła bohaterem i przypadek jeno dał mu w rękę Angulimalę, a olbrzym ten wydał mi się w tej chwili podobnym do straszliwego Bimy z Mahabaraty, przy boku którego ty, mój drogi Kamanito, walczyłeś na równiach Kurukczetry.

- Nie mogę, - ciągnął dalej Satagira - nie mogę iść do wiosek owych na czele wielkich wojsk i radbym wziąć z sobą trzydziestu jeno jezdnych. Tem bardziej mi jest atoli potrzebna chytrość, a nawet jąc się muszę podstęp i wybiegów. O tem właśnie mówiłem z wiernym mym Panduką, który mi podał doskonały plan. Wyłożę ci go, abys nie niepokoila się o mnie zbyt w ciągu dni najbliższych.

Wyrzekłam kilka niezrozumiałych słów, mających być podzięką za względy, a Satagira mówił dalej:

- Panduka poczyni jawnie przygotowania do odjazdu, który ma rzekomo nastąpić rano, iść ma ze mną niby to znaczny oddział wojsk w celu wyłapania rozbójników, grasujących po lasach na wschodzie. Mają oni, wiem to dobrze, pomocników i zaufanych w mieście, a przeto dowiedzą się i zostaną w ten sposób oszukani. Ja tymczasem wybiorę się w godzinę po północy z trzydziestu jezdnymi, opuszczę miasto bramą południową i, zataczając wielki łuk, przez wzgórza, pociągnę na wschód. W tej drodze nie chcę się posuwać gościńcami, przynajmniej jak długo nie oddalę się znacznie od Kosambi. Właśnie w miejscowości, przez którą mi jechać wypadnie, leży letni pałacyk ojca twego, gdzie przebywałaś, będąc dzieckiem, musisz więc znać każdą ścieżynę i przesmyk i dlatego to umyśliłem zasięgnąć twej rady.

Oświadczyłam gotowość dania informacji i, kazawszy sobie podać tabliczkę, wykreśliłam na niej dokładną mapę marszu, czyniąc krzyżyki w miejscach, które szczególnie zapamiętać należało. Zalecałam jedną zwłaszcza ścieżkę, wiodącą przez rozpadlinę, zwężającą się tak, że na znacznej przestrzeni dwu jezdnych obok siebie iść tamtędy nie mogło. Droga ta była zupełnie nieznaną, a gdyby nawet rozbójnicy przypuszczali, że istnieje, nie szukaliby tam na pewno nikogo.

W jarze tym zabawiałam się, będąc dzieckiem, piłką z Medini, braćmi i malcami naszych dzierzawców łąk i pól.

Satagira zauważył, że drży ręka moja kreśląca na tabliczce linje i spytał, czy nie mam dreszczów. Odpowiedziałam, że znużyła mnie bezsenna noc. Ujął mą dłoń i z troskliwością

wielką powiedział, iż dziwnie zimna jest i wilgotna. Uspokajałam go, bagatelizując rzecz całą, on zaś prosił, bym się szanowała, nie puszczał mej ręki i spozierał w ten sam sposób, jak ongi, w czasie upornych konkurów swoich. Łakoma owa czułość wzbudziła we mnie wstręt, a nawet przerażenie, oświadczyłam tedy, że czuję się słabą i muszę zaraz spocząć.

Satagira wyprowadził mnie na galerję i, gdyśmy zostali sami, zaczął się usprawiedliwiać. Mówił, że przez czas długi zaniedbywał mnie, forytując matkę swego syna, jednak po powrocie zmienił postępowanie i nie będę już zmuszona spędzać samotnie nocy na terasie.

Serdeczność ta, zwiastująca miłość młodzieńczą, wierną, wytrwałą i wyłącznie ku mnie skierowaną, wzruszyła mnie zrazu, tak że zawahałam się w postanowieniu. Ostatnie atoli słowa wyrzeczone z słodkawą obłęsnością i obrzydłym uśmiechem poufałości zniweczyły wszystko na powrót, bowiem przywiodły mi na pamięć prawa, jakie zdobył do mojej osoby, używając do tego celu podstęp, kłamstwa i zdrady.

XXXIII.

ANGULIMALA.

Wróciwszy do swych komnat, uczułam zupełny spokój. Nie miałam potrzeby nad niczem już rozmyślać, żadnych zwalczać wątpliwości ni odpowiadać na pytania. Wszystko zostało rozstrzygnięte. Jego karma domagała się widocznie śmierci, a podwójna zdrada oddała go w moje i Angulimali ręce.

Byłam tak spokojna, że, położywszy się, zasnęłam od razu i sen ten dopomógł mi znakomicie do przetrwania przykrych godzin czekania zmierzchu.

Gdy noc zapadła, udałam się na terasę. Księżyc nie wszedł jeszcze, ale nie czekałam długo. Potężna postać Angulimali ukazała się za barjerą i za chwilę olbrzym zbliżył się do ławki, na której siedziałam na poły odwrócona od niego.

Nie poruszyłam się i, wpatrzona w tafle posadzki, powiedziałam:

- Wiem wszystko o co ci idzie. Znam dokładnie czas odmarszu, siłę, jaką za sobą wiodzie, kierunek, oraz drogi i ścieżki, którymi się udać zamierza. Pod wpływem złej karmai swojej sam mi się narzucił ze zwierzeniami, inaczej bowiem, niezdolna do obłudnej zalotności, nie wiedziałabym nic.

Zawczasu ułożyłam sobie co mam mówić, gdyż duma ludzka jest tak zdrożną, że nie pozwala wydać się człowiekowi złym, nawet w oczach sprzymierzeńca zbrodni. Pragnęłam, by mnie uważał nie za nikczemną morderczynię, ale za narzędzie losu.

Dalsze słowa moje były równie rozważne.

- Nie dowiesz się atoli niczego, o ile mi nie przyrzekniesz, że go jeno zabijesz, nie dręcząc wcale, a także że nie zabijesz żadnego z jego ludzi, o ile nie będziesz do tego zmuszony dla własnej obrony. Oznaczę ci miejsce, gdzie możesz go pokonać z wielką łatwością, bez walki. Wszystko to musisz mi zaprzysiąc uroczyście, inaczej, nawet pod grozą śmierci, nie wyznam jednego słowa.

- Przysięgam na straszliwą Kali, której byłem do dziś dnia wiernym i pokornym sługą, że nie zabiję żadnego z ludzi Satagiry, a jego samego męczyć nie będę - rzekł uroczyście, dobitnie Angulimala.

- Dobrze! - odrzekłam. - Wierzę ci. Słuchaj uważnie i zapamiętaj wszystko dokładnie.

Masz pewnie pomocników w mieście i wiesz, że czyni się przygotowania, by jutro rano ruszyć z wojskiem na obławę za zbójcami. Jest to jeno pozór i wybieg, by cię wywieść w pole. W rzeczywistości ruszy dziś Satagira, na czele trzydziestu jezdnych, w godzinę po północy, opuści miasto południową bramą i, mijając z lewej strony lasek sinsapowy, posunie się dalej na południe, a potem, zataczając łuk, skieruje się na wschód przez wzgórza.

Opisałam mu wiernie całą drogę, podając szczegóły dotyczące owej wąskiej rozpadliny, gdzie może z łatwością zabić Satagirę.

Gdym skończyła, zapadła cisza tak głęboka, że słyszałam własny oddech. Siedziałam, nie czując się na siłach, by wstać i odejść, jak to było w mym planie.

Po długiej chwili zabrał głos Angulimala, a łagodność jego brzmienia i smutek jakiś nieznany dotąd zdziwiły mnie tak bardzo, że zadrżałam i zapałam oddech, słuchając.

- Stało się tedy! - powiedział. - Łagodna, spokojna kobieta, która zapewne nie uczyniła dotąd rozmyślnie krzywdy najmniejszemu stworzeniu połączyła się przymierzem z najohydniejszym z pośród ludzi, którego ręce broczą krwią niewinnych. Śmierć małżonka zacięży na jej sumieniu, czarne nici karmy sięgną na samo dno piekieł i przez wieki niezliczone trwać będą skutki niehumanitarnej zbrodni. Taki jest pakt i tak by się stało, gdybyś zwierzenia swoje, szlachetna pani, uczyniła rozbójnikowi Angulimali.

Nie wierzyłam uszom własnym. Do kogóż tedy mówiłam? Wszakże to głos Angulimali, zmieniony jeno w brzmieniu. Spojrzałam i ujrzałam najwyraźniej przed sobą herszta bandy, postawa jego tylko była inna jakaś, nie przerażała mnie już i nie obezwładniała tak jak pierwszej nocy.

- Nie bój się! - powiedział. - Wszystko to nie stanie się. Niech ci się wydaje, że słowa twe skierowane były do tego oto drzewa.

Mówił zagadkowo, jak zaczął, a ja zrozumiałam tyle tylko, że z jakiegoś powodu zaniechał planu zemsty nad Satagirą.

Zdobywszy się z trudem nadludzkim na okropną zbrodnię, nie mogłam znieść nagłego rozwiania się całego dzieła i rozczarowanie sprawiło, iż wybuchłam przekleństwami i szyderstwami. Rzucałam je w twarz Angulimali, nazywając go nikczemnym szubrawcem, wiarołomnym pyszałkiem, tchórzem... używałam najokropniejszych słów, pewna, że ten w całych Indjach z gwałtowności znany człowiek jednym uderzeniem żelaznej pięści położy mnie trupem.

Zamilkłam wreszcie z braku tchu, nie słów, a wówczas odparł Angulimala z takim spokojem, że uczułam wstyd wielki:

- Zasłużyłem na wszystko to i na gorsze jeszcze słowa, mimo że każdego mężczyznę, nie

tylko dawnego Angulimalę, mogłaś nimi przywieść do takiej pasji, że byłby cię uśmiercił. Miałaś nawet widocznie zamiar doprowadzić mnie do tej ostateczności. Ale zmieniłem się całkiem i choćbym usłyszał dużo gorsze wyzwiska, zniósłbym je pokornie, a nawet uczułbym wdzięczność za to, że mi dano sposobność zbawiennego ćwiczenia. Wszakże sam mistrz powiedział:

Ucz się spokoju i cierpliwości od ziemi, Angulimalo. Na ziemię rzucają rzeczy czyste i nieczyste, a ona ani się nie przeraża, ani broni. Taką winienesz posiadać cierpliwość i spokój, Angulimalo, jaką ma ziemia. Potem dodał:

- O szlachetna Vasitthi, wiedz, iż przed tobą stoi, już nie rozbójnik, ale pielgrzym i uczeń Angulimala.

- Czymże jesteś uczniem? Jak się zowie mistrz twój? - spytałam pogardliwie i niecierpliwie, mimo, że dziwne słowa niepojętego człowieka tego wywarły na mnie silne wrażenie.

- Zwą go doskonałym, znawcą świata, obudzonym w pełni Budda! - odparł. - Oto mistrz mój. Zapewne doszły cię już o nim wieści?

Zaprzeczyłam gestem.

- Tedy szczęsnym się być mienię, - zawołał - że z ust moich po raz pierwszy usłyszałaś imię jego. Rozbójnik Angulimala uczynił ci wiele złego, a oto uczeń i pokutnik Angulimala wieści ci pierwsze słowo błogosławieństwa!

- Któż to jest ten twój Budda? - spytałam tym samym tonem, nie zdradzając zaciekawienia. - Cóż on ma wspólnego z twym dziwacznym postępowaniem i jakież może na mnie spłynąć błogosławieństwo przez sam dźwięk jego imienia?

- Samo imię tego, którego zowią błogosławionym, - odparł Angulimala - jest to pierwszy promyk jasności dla człowieka tkwiącego w ciemnościach. Ale opowiem ci jak go spotkałem i w jaki sposób odmienił bieg życia mego, bo dla twego to również dobra uczynił dzisiaj właśnie.

Pierwszej już zaraz nocy zadziwiło mnie, że mimo dzikości Angulimala zachowuje się dostojnie i przyzwoicie, teraz uderzała mnie tem więcej godność, z jaką usiadł obok mnie na ławce, właściwa człowiekowi znajdującemu się w towarzystwie równych sobie.

XXXIV.

JASKINIA OSZCZEPÓW.

Niedługo po wschodzie słońca, dziś rano, stałem na skraju lasu i spoglądałem ku wieżom Kosambi, zajęty planami zemsty, rozważając, czy dostarczysz mi żądanych wiadomości. Nagle zobaczyłem na drodze, wiodącej od wschodniej bramy ku lasowi, samotnego, w żółty płaszcz odzianego wędrowca, krocącego żwawo. Po obu stronach drogi pracowali w polu wieśniacy i paśli trzody pasterze. Zauważyłem, że ludzie, znajdujący się bliżej, mówili coś samotnemu wędrowcowi i wołali za nim, a pracujący dalej przerywali robotę i pokazywali nań palcami. Pobliscy ostrzegali go coraz to natarczywiej, a gdy się nie zatrzymywał, biegli, ciągnęli go za płaszcz, machali rękami i wskazywali w stronę lasu. Zdawało mi się niemal, że słyszę okrzyki:

- Stój! Nie idź w las! Tam siedzi straszliwy rozbójnik Angulimala!

Wędrownik kroczył mimo wszystko dalej, prosto w las zmierzając i teraz poznałem po kroju płaszcza i ogolonej głowie, że jest to asceta z zakonu Sakjów, starzec wysokiego wzrostu.

Pomyślałem:

- Dziwne to zaiste i niezwykle, że drogą tą szło nieraz dziesięciu, trzydziestu, a nawet pięćdziesięciu uzbrojonych i wszyscy wpadali w moje ręce, ten zaś oto samotny wędrowiec idzie sam i ma taką minę, jakby był zwycięzcą.

Rozgniewało mnie, iż jawnie urąga mej potędze, to też postanowiłem go zabić, tem więcej, że przyszło mi na myśl, iż jest to szpieg, wysłany do lasu przez Satagirę.

- Ci asceci - powiedziałem sobie - są na równi z wszystkimi mnichami obłudni, przekupni i dają się użyć do wszystkiego, ufni w bezpieczeństwo, które im zapewnia naiwna wiara gminu.

Tak mnie nauczył patrzeć na rzeczy przyjaciel mój Vajasrawa. Szybko tedy ująłem w rękę oszczep, zawiesiłem na ramieniu łuk i kołczan i udałem się śladem ascety, który tymczasem wszedł w las.

Doszedłszy do miejsca, gdzie nie dzieliły mnie odeń drzewa, stanąłem, zdjąłem łuk i posłałem strzałę w ten sposób, że musiała trafić w lewą stronę grzbietu i przeszyć serce

ascety. Ale strzała przeleciała ponad jego głową.

- Musiała się zaplątać do kołczana zła strzała! - pomyślałem i, wybrawszy strzałę pięknie upierzoną, doskonale zrobioną, posłałem ją prosto w kark mnicha. Zboczyła jednak na lewo i utkwiała w pniu drzewa. Następna minęła go z prawej, strony i tak stało się z wszystkimi, aż kołczan mój opróżnił się do cna.

- To coś niepojętego! - zawołałem. - Przecież nieraz zabawiałem się w ten sposób, że, postawiwszy jeńca pod płotem, strzelałem doń, a kiedy ustąpił na bok, strzały układały się w linię konturu jego ciała. W dodatku zwykłem strzelać na większą daleko odległość i tysiące razy dosięgałem orłów bujących w powietrzu. Cóż mi to dzisiaj zepsuć mogło rękę?

Asceta oddalił się tymczasem dość znacznie, pobiegłem za nim przeto, chcąc go przebić oszczepem. Dobiegłszy na jakieś pięćdziesiąt kroków, nie mogłem zbliżyć się doń bardziej, mimo że biegłem co sił w nogach, on zaś kroczył, jak się zdawało, wolno i spokojnie.

- To jest rzecz jeszcze nieprawdopodobniejsza! - zawołałem znowu. - Nieraz dopędzałem wszakże spłoszone słonie i jelenie, a dziś nie mogę, pędząc z całej siły, dogonić tego oto ascety? Cóż mi to dziś u licha wlało w nogi?

Stałem i krzyknąłem:

- Stój, mnichu! Stójże raz!

On kroczył dalej i odkrzyknął, nie oglądając się wcale.

- Ja stoję, Angulimalo! Stańże i ty!

Zdziwiłem się bardzo i pomyślałem:

- Niezawodnie ten mnich unicestwił moje strzelanie i mój bieg jakimś sądem bożym, jakże więc może teraz kłamać jawnie, twierdząc, że stoi, kiedy idzie, mnie zaś wzywać, bym stanął, gdy właśnie stoję jak to drzewo. Tak samo mogłaby lecąca gęś rzec do dębu: - Stój, dębie, jako ja stoję! - Niezawodnie musi coś tkwić w tych słowach. Może lepiej się opłaci poznanie sensu tego powiedzenia, niż zabicie marnego mnicha? Zawołałem tedy:

- Sam idąc, mówisz, że stoisz, asceto, mnie zaś, który stoję, zowiesz idącym. Wyjaśnij mi to! Jakoż ty stoisz, ja zaś idę?

Odpowiedział, nie zatrzymując się:

- Ja nie czynię nic złego żadnemu stworzeniu, przeto trwam na jednym miejscu, ty zaś mordujesz, przeto musisz bez odpoczynku wędrować z jednego miejsca cierpień na drugie.

Powiedziałem mu:

- Słyszałem, że ludzie wędrują ciągle, jednak nie rozumiem, coby ich mogło zatrzymać w tej wędrowce. Zechciej mi, o czcigodny, szczegółowo objaśnić to przykrótkie powiedzenie. Patrz, odrzuciłem od się oszczep mój i przysięgam uroczyście, że udaruję cię pokojem.

- Po raz drugi już przysięgłeś fałszywie, Angulimalo! - powiedział mnich.

- Jak to po raz drugi? - spytałem.

- Pierwszy raz skłamałeś na sądzie bożym!

Oślupiałem, był to bowiem cud oczywisty. Znał tedy ową tajemnicę, nieznaną nikomu. Nie zważając na to, starałem się usprawiedliwić swój postępek.

- Słowa moje były wykrętne, o czcigodny, ale nie poprzysięgłem fałszu. Sens złudził słuchającą, teraz jednak przysięgłem szczerze i zgodnie z znaczeniem słów moich.

- Nieprawdę rzekłeś, - odparł - albowiem nie możesz mnie udarować pokojem. Rad będę, jeśli zechcesz przyjąć ode mnie dar pokoju!

Rzekłszy to, obrócił się i skinął uprzejmie, wzywając, bym się zbliżył.

- Chętnie to uczynię, o czcigodny! - powiedziałem z pokorą.

- Słuchaj tedy uważnie! - rzekł, siadając w cieniu wielkiego drzewa i wskazując mi miejsce u stóp swoich.

*

Zaczął wyklądać o dobrych i złych czynach oraz ich skutkach, tłumacząc wszystko jasno i dobitnie jak się czyni, mówiąc do dziecka. Byłem nieokrzesany, asceci zaś wywodzą się z braminów i nieraz znają nawet księgi Wedy. Nie słyszałem równie głębokich nauk od czasu, kiedy siadywałem w lesie u stóp Vajasrawy, o którym ci mówiłem i o którym pewnie słyszałaś.

Asceta tłumaczył, że nie jakieś bóstwo zewnętrzne, ale własne serce nasze przez myśli i czyny zmusza nas do ciągłych wcieleń na ziemi, w niebie, czy piekle. Słuchając go, wspomniałem Vajasrawę, który udowadniał argumentami rozumu i powagą Pisma, iż nie ma zgoła kar piekielnych, a wszystko co na ten temat mieści się w Wedach, zostało sfalszowane przez nikkzemników i tchórzów w tym celu, by zastraszyć silnych i mężnych i uchronić ich samych przed napaścią.

- Vajasrawa... - dumałem sobie - nie mógł mnie nigdy w zupełności przekonać! Ciekawym, Czy uda się temu ascecie. Jest to walka poglądów, spór mędrca z mędrce. Być może nauczyciel mój zalicza się do wybitnych mnichów zakonu Sakjów, ale i Vajasrawę cenili wysoko jego zwolennicy, a teraz nawet dostąpił godności świętego. Trudno powiedzieć tedy, który z owych mężów bożych ma słuszność i któremu z nich mam uwierzyć.

- Nie uważasz, widzę, Angulimalo, na to, co mówię! - powiedział asceta. - Myślisz o Vajasrawie i jego bredniach!

Zdumiony wielce, przyznałem, że tak było.

- Znałeś, o czcigodny, przyjaciela mego, Vajasrawę? - spytałem.

- Pokazywano mi grób jego pod bramą miasta, gdzie nierozsądni podróżni modlą się, składają ofiary i wielbią go, jakby był świętym.

- Nie jest więc świętym?

- Jeśli chcesz, udamy się doń i zobaczymy, jak stoi sprawa jego świętości.

Asceta powiedział to, jakby szło po prostu o wstąpienie do czyjegoś domu.

Spojrzałem nań przerażony bardzo.

- Udamy się do niego... do Vajasrawy? Przecież jest to rzecz niemożliwa!

- Daj mi rękę! - powiedział. - Zanurzę się w kontemplacji, w której duszom wytrzymałym ukazywaną bywa droga, wiodąca do bogów i demonów, a co ja zobaczę, zobaczysz również i ty.

Podąłem mu dłoń. Przez czas pewien siedział nieruchomy, milczący, spuściwszy oczy i obróciwszy wstecz źrenice, ja zaś nie odczuwałem niczego.

Nagle jednak wydało mi się, że pływam, a demon mieszkający w wodzie, chwytając mnie za ramię i ciągnie w dół. Znikło mi z przed oczu niebo, drzewa i brzeg, fale zawarły się nad moją głową i ciemność otoczyła mnie, gęstniejąc coraz to bardziej. Czasem błyskały płomienie i rozbrzmiewał wielki łoskot.

Znalazłem się na koniec w ogromnej, zupełnie ciemnej jaskini, którą rozjaśniały niespokojne, migotliwe blaski. Przywykłszy do ciemności, spostrzegłem, że ruszają się ustawicznie i błyszczą żelazne groty oszczepów, miotanych niewidzialnymi rękami, jakby duchy wiodły z sobą bój. Słyszałem również krzyki, ale nie były to okrzyki wojenne, jeno płaczliwe zawodzenia bólu i jęki rannych. Dochodziły z głębi jaskini, gdzie z migotania grotów wytworzyła się jakby półświatlista mgła; plan pierwszy pusty był zupełnie.

Po chwili trzy postacie wyłoniły się z czerni, jakby nagle z niej urodzone i w jednej z nich poznałem Vajasrawę, nagiego zupełnie i drżącego niby z zimna. Towarzysze jego mieli ludzkie torsy, ale miast nóg szpony ptasie, głowę ludzką zastępowała jednemu psia mordą, drugiemu zaś rybia głowa. Każdy dzierżył w ręku długi oszczep.

Rybogłowy zaczął pierwszy:

- Oto jest, czcigodny Vajasrawo, jaskinia oszczepów, gdzie masz z wyroku sędziego piekiel poddać się karze. Będziesz mianowicie przez dziesięć tysięcy lat przeszywany nieustannie oszczepami, potem zaś stosownie do reszty twych czynów odrodzisz się ponownie na ziemi.

Potem rzekł psiogłowiec:

- Wiedz, o czcigodny, że ile razy spotykają się dwa groty w twym sercu, mija tysiąc lat kary.

Skończywszy mówić, podnieśli obaj broń i jęli klucz Vajasrawę, a jednocześnie skierowały się weń inne oszczepy tak, że ciało pokryła niby chmura ptaków krwiożerczych, szarpiących dziobami ścierwo padliny.

Widok ten, oraz przeraźliwe wycie Vajasrawy, odebrały mi zmysły.

Zbudziwszy się, spostrzegłem, że leżę pod drzewem w lesie, u stóp ascety.

- Czyś widział, Angulimalo? - spytał.

- Widziałem panie! - odparłem.

Nie śmiałem dodać: ratuj mnie... bo jakże mógłby zostać uratowany taki jak ja potwór.

- Gdy po śmierci znajdziesz się na tamtym świecie, Angulimalo, czy sądzisz, że kara taka za surową dla ciebie będzie? - spytał.

- Nie będzie za surową!

- Czy warto, Angulimalo, wieść dalej życie, jakie wiesz?

- Nie warto panie! Wyrzekam się życia dotychczasowego! - zawołałem, - Porzucę chętnie szatańskie nawyki za jedno słowo prawdy z ust twoich!

- W dawnych czasach, sędzia dusz, wymierzający kary, dumiał w ten sposób: - O gdybym też mógł osiągnąć byt człowieczy w czasie, kiedy na ziemi zjawi się prawdziwy, zbudzony, doskonały Budda, tak bym chciał się u stóp jego, słuchać słów nauki i zrozumieć ją dokładnie!

To, czego sobie tak gorąco życzył sędzia dusz, stało się twym udziałem, Angulimalo. Osiągnąłeś byt człowieczy. Ale podobnie jak na kontynencie Indyj więcej jest okolic niemiłych, rwących rzek, przepastnych lasów, dżungli, pustaci skalnych i piaszczystych rozłogów, niżli miłych gajów, cienistych lasów, uroczych wzgórz i ponętnych lotosowych stawów, podobnie niewiele istot jawi się w ciele ludzkim, w porównaniu z bezlikiem stworzeń, do innego królestwa tworów żywych zaliczanych, podobnie niewiele jeno pokoleń ludzkich jawi się na ziemi jednocześnie z Buddą, zaś bezlik ich żyje w czasach, kiedy Buddy żadnego nie ma na świecie, podobnie też w końcu, z pośród współczesnych Buddzie, niewielu jeno może usiąść u stóp jego i słuchać nauki zbawienia.

Tyś atoli, o szczęśny Angulimalo, osiągnął człowieczeństwo i to w czasie, kiedy znajduje się pośród żywych prawdziwy, doskonały, obudzony Budda, widziałeś go własnymi oczyma i danem ci było usiąść u stóp jego, słuchając nauki...

Posłyszawszy te słowa, złożyłem nabożnie ręce i zawołałem:

- Bądź błogosławiony, o święty mężu! Wiem i czuję, iż ty sam jesteś doskonale zbudzonym Buddą. Najszlachetniejsza istota ziemi ulitowała się nad najnikczemniejszym tworem! Pozwól mi tedy, o doskonały mistrzu, siedzieć u stóp twoich i słuchać nauki

zbawienia.

- Niech się stanie, jako żądasz, - powiedział - a teraz uważaj pilnie, bo nie skończyłem. Otóż, podobnie, jak niewielu słucha nauki, jeszcze mniejsza liczba jest tych, którzy ją rozumieją należycie. Ty zaś będziesz słuchał i rozumiał jak trzeba. Chodź ze mną, uczniu mój umiłowany!

Mistrz udał się tedy w las, niby myśliwy jadący na oswojonym słoniu, opuścił go jednak znowu, niby myśliwy, który sztuką poskromił słonia dzikiego, idącego za nim teraz posłusznie jak pies za swym panem.

Przyszedł do ciebie, Vasitthi, nie rozbójnik, ale Angulimala, uczeń boskiego mistrza.

Odrzuciłem miecz i oszczep, wyrzekłem się morderstw i dręczenia i od dziś żadnemu z żywych tworów krzywdy nie uczynię.

XXXV.

CZYSTA OFIARA.

Nie wiem jak długo siedziałam w milczeniu, nie otwierając ust. Musiało to trwać czas niemały, gdyż rozważałam słowo po słowie, wszystko, co mi powiedział Angulimala. Przypomniałam sobie każdy moment zdarzenia i dziwowałam się coraz to bardziej. Małemi i dziecinnymi wydały mi się w porównaniu z tem, co się stało w lesie z Angulimalą, wszystkie słyszane w dziecięcych latach legendy o cudach czasów dawnych, oraz czyny Kryszny, gdy bawił na ziemi w ludzkiej postaci.

Zadawałam sobie pytanie, czy ów mąż święty, mistrz nad mistrze, który uczynił w ciągu godziny łagodnego baranka z najstraszniejszego potwora i krwawego zbrojnego, jakim był Angulimala, czy ten doskonały Budda, z łatwością ujarzmiający naturę, potrafi dokazać, by znalazło pokój i otuchę biedne serce moje, nękanie namiętnością, czy słowo jego przebić będzie w stanie chmurę smutku, jaka osiadła na mej duszy. Zaprawdę, było to zadanie nierównie trudniejsze i sądziłam, że przekracza siły takiego nawet, jak on, ascety.

Drżąc z niepewności co się ze mną stanie, spytałam Angulimali, gdzie przebywa mistrz i czy będzie mi wolno udać się do niego.

- Dobrze czynisz, że zaraz o to pytasz, Vasitthi! - pochwalił mnie Angulimala. - Przybyłem umyślnie, by ci udzielić informacji. Byliśmy sprzymierzeńcami w zbrodni, bądźmyż przyjaciółmi na drodze cnoty. Mistrz bawi w tym właśnie lasku sinsapowym, o którym mi wspominałaś. Udaj się tam jutro, ale dopiero wieczorem. O tej porze mnisi kończą swą kontemplację i gromadzą się w świątyni Kryszny, a mistrz przemawia do nich i do wszystkich zebranych. O tej porze przybywa do lasku dużo mężczyzn i kobiet z miasta, w celu ujrzenia Buddy i posłuchania słów jego. Napływa ich coraz więcej każdego dnia, a nauczanie trwa często późno w noc. Wszystko to wiem od kilku już dni, bowiem w zatwardziałości grzesznego serca mego powziąłem haniebną plan napadnięcia na zgromadzenie wiernych, chcąc zrabować dary i ofiary w szatach i środkach żywności, znoszone zakonowi. Nie bogaty to, ale dostatni łup, myślałem sobie, a przytem umyśliłem wziąć do niewoli kilku co najprzedniejszych mieszczan i wzbogacić się okupem. Kreśląc ów plan zuchwały, sądziłem, że przez napad, dokonany u samych bram miasta, wywabię Satagirę. Jak ci

mówiłem, nie wiedziałem jeszcze, iż wybiera się w drogę. Nie zapomnij tedy, szlachetna pani, udać się jutro do świątyni Kryszny, a zaręczam ci, że odniesiesz stąd wielką korzyść duchową. Teraz odchodzę, mam nadzieję, iż zdołam posłyszeć jeszcze słów parę. Podczas pięknych księżycowych nocy, przesiadują mnisi długo na rozmowie i nikomu słuchać nie bronią.

Skłonił się głęboko i odszedł.

Nazajutrz posłałam po Medini, która wraz z mężem swym Somadattą zgodziła się równie ochotnie towarzyszyć mi teraz do świątyni Kryszny, jak wówczas, kiedy szło o spotkanie zakochanych. Prosiła już dawniej męża, by ją tam zaprowadził, gdyż była wielce ciekawa i chciała widzieć każdą osobliwość, o której mówiono w mieście. Ale Somadatta wzbraniał się z obawy, co na to powie domowy bramin, teraz więc, będąc wyraźnie wezwany przez żonę ministra uradował się nie mało, gdyż bramin nie mógł mu czynić wyrzutów.

Udałyśmy się do hal targowych i z pomocą Somadatty, który znał się na handlu, zakupiłyśmy dużo materij przydatnych dla zakonników i zakonnice, a także lekarstw potrzebnych pielgrzymom w drodze. Wróciwszy, splondrowałyśmy doszczętnie spiżarnie i składy zapasów, zabierając dzbany i flaszki z najlepszą oliwą, skrzynie z miodem, masłem i cukrem, oraz misy z wszelkiego rodzaju potrawami i konserwami. Opróżniłam własne szafy, dobywając wonności, proszek sandałowowy i kamforę, potem zaś spustoszyłam po prostu ogród, ścinając wszystkie kwiaty rozwinięte.

Nim nadeszła upragniona godzina, wszystkie owe rzeczy spakowane zostały na wóz, zaprzężony mułami, my zaś zajęliśmy we troje miejsca w paradnym powozie, ciągnionym przez srebrzystobiałe sindajskie ogiery pełnej krwi, które codziennie jadły z mej ręki trzyletni, suchy ryż. W ten sposób wyekwipowani opuściliśmy miasto.

Słońce zniżyło się już, muskając promieniami kopuły i wieże, oraz złocąc tumany pyłu, snujące się drogą, wzniesione przez rzesze tych, którzy, jak my... chociaż przeważnie pieszo... ciągnęli długim korowodem, by ujrzeć świętego męża i posłyszeć jego słowo.

Niebawem dostaliśmy się na skraj lasu. Pojazdy stanęły, my zaś udaliśmy się dalej pieszo na czele służby, niosącej dary nasze.

Nie byłam tutaj od czasu rozłąki z tobą. Gdym się znalazła na znanym miejscu i to w tem samym co przedtem towarzystwie, ogarnęła mnie taka fala wspomnień, że doznałam zawrotu głowy. Wspomnienia owe czekały tu na mnie nienaruszone, a nawet tak stężałe i skoncentrowane, że działały jak trucizna. Miłość zbudziła się tak silna, że zastąpiła mi drogę i poczęła wyrzucać, iż to co czynię jest odstępstwem i zdradą ukochanego. Nie przybyłam oddychać tem co minęło i marzyć, ale szukałam spokoju i zapomnienia. Czyż bowiem

wyrzeczenie się miłości nie jest zdradą i wiarołomstwem?

Pod wrażeniem tych wątpliwości przystanąłam ku wielkiemu niezadowoleniu Medini, która widząc, jak inni nas wyprzedzają, tupiała z niecierpliwości nogami.

Wnętrze lasu oświetlone skośnymi promieniami słońca, przepojone było słodkim poszumem liści. Ludzie, znalazłszy się tu, milkli i rozglądali się z trwożnym jakby zaciekawieniem. Pod drzewami zatopieni w kontemplacji siedzieli asceci w żółtych płaszczach. Raz po raz wstawał któryś z nich i, nie oglądając się, kroczył w kierunku, dokąd zdążali wszyscy. Wszystko to miało tak podniosły i dostojny charakter, taka panowała pewność, iż dzieją się tu rzeczy nieznanne, a święte, niepodległe żadnej z ziemskich potęg, że miłość nawet musiała utracić swe całe, boskie prawo na korzyść rzeczy wyższych.

Szłam dalej pewnym krokiem a w uszach, niby dzwony świątynne brzmiały mi słowa Angulimali, powtórzone za mistrzem, o tem mówiące, że całe pokolenia ludzkie żyją, nie mogąc doczekać się Buddy, zaś współcześni w małej jeno liczbie doznają szczęścia słuchania go i rozumienia nauki. Czułam się błogosławioną, wybraną, i wiedziałam, że pokolenia następne zazdrościć mi będą.

Doszedłszy na polanę, gdzie stała ruina świątyni, zastaliśmy tam tłum mnichów i ludzi świeckich, w pobliżu miejsca, któreśmy przyszli, zgromadziło się kilkunastu zakonników, a uwagę moją zwrócił jeden z nich przewyższający najroślejszego o całą głowę. Był to istny olbrzym.

Rozglądaliśmy się, gdzieby stanąć, a w tej chwili wyszedł z lasu tuż w pobliżu nas stary asceta. Wysoka postać jego odznaczała się tak królewską dostojnością i promieniała takim weselem i pokojem, że mi zaraz przyszło na myśli, iż ten mnich musi być Sakją, którego zowią Buddą.

Nióś w dłoni kilkanaście listków sinsapu i rzekł, zwracając się do zakonników.

- Jak sądzicie uczniowie moi, czy li większa jest ilość onych liści, które dzierzę w dłoni, czy też liści na drzewach w lesie.

A mnisi odparli:

- Małą jest ilość liści, które dzierzysz w dłoni, mistrzu dostojny, natomiast bez porównania większą jest ilość liści w tym lesie.

- Podobnie też - rzekł mąż, o którym już wiedziałam, że był Buddą - podobnie, o uczniowie moi, większą jest liczba spraw, których wam nie objawiłem, niżli liczba spraw objawionych. A dlaczegoż to postąpiłem w ten sposób? Bowiem nie wiodą one do świętobliwości, nie przynoszą korzyści, nie pomagają do pogardzenia ziemią i jej uciechami, nie zmierzają do unicestwienia zła i cierpień, nie odwodzą od tego, co znikome, kierując ku

pokojowi i nirwanie.

- Tedy sprawiedliwie mówił ów nierozsądny starzec! - zawołał Kamanita.

- Jaki starzec? - spytała Vasiṭṭhi.

- Stary asceta, z którym, jak już wspomniałem, spędziłem ostatnią noc mego ziemskiego żywota w przedsiönku domu garncarza pod Rajagaha. Chciał mi wyjawić naukę Buddy, ale jak to zauważyłem, nie znał jej sam dobrze. Powtórzył mimo wszystko wiernie, a nawet dosłownie niektóre zdania, jak te, któreś wyrzekła, podał nawet dokładnie miejsce zdarzenia i poruszył mnie tem do żywego. Gdybym był wiedział, że tam jesteś, oczywiście wrażenie odniesione byłoby o wiele żywsze jeszcze.

- Może był również pośród tłumu - odparła Vasiṭṭhi. - Powtórzył bowiem wszystko wiernie. Mistrz dodał jeszcze te słowa:

- A cóż to wam objawiłem, o uczniowie moi? Objawiłem wam, czym jest cierpienie, objawiłem wam jak powstaje, objawiłem co znaczy zniweczenie cierpień i na koniec jaka do tego celu wiedzie droga. Dlatego to, o uczniowie moi, niech pozostanie objawionem co objawiłem, a to czego nie objawiłem niech pozostanie w ukryciu.

Powiedziawszy te słowa, rozwarł dłoń, a liście posypały się na murawę. Jeden przeleciał, kręcąc się tuż przy mnie, a ja zebrawszy odwagę, pochwyciłam go, zanim dotknął ziemi, otrzymując go niejako z jego dłoni. Potem ukryłam na piersi ową nieocenioną pamiątkę, niby symbol tych niewielu, a zarazem jedynie potrzebnych nam prawd, których ludziom użyczył mistrz, stanowiący nieprzebraną krynicę mądrości. Prawdy owe nie opuściły mnie już po ostatnią chwilę życia na ziemi.

Ten ruch ściągnął na mnie uwagę mistrza. Olbrzymi mnich pochylił się przed nim w pokłonie i udzielił szeptem objaśnienia, poczem mistrz spojrział na mnie powtórnie i dał znak mnichowi, który zbliżył się do nas.

Pokłoniliśmy się wszyscy, ja zaś powiedziałam, że jestem żoną ministra królewskiego i proszę o przyjęcie darów, które przywiozłam dla zakonu mistrza, oraz pozwolenie słuchania nauki jego.

- Zbliż się, szlachetna pani! - rzekł mnich, a ja poznałam zaraz głos Angulimali. - Mistrz sam chce przyjąć dary twoje.

Postąpiliśmy kilka kroków i, pochylając się nisko przed mężem bożym, złożyliśmy na czołach dłonie modlitewnym ruchem.

- Bogate są twe dary, córko moja, - rzekł mistrz - a małe są potrzeby uczniów moich, bowiem spadkobiercami prawdy są, nie zaś spadkobiercami niedoli. Ale każdy Budda czasów minionych przyjmował dary zwolenników swoich, by im dać możność składania czystej

ofiary jałmużny.

Gdyby ludzie wiedzieli, jaki jest skutek i owoc daru, jak ja to wiem, żaden z nich nie zachowałby dla siebie samego garstki ryżu, ale udzielił go biedniejszemu. Wszystkie chciwość, jaka ćmi dusze, znikłaby ze świata. Przyjmuję tedy ofiarę twą dla zakonu i dziękuję za nią, jest to bowiem ofiara czysta. Ofiarą czystą zowie taką ofiarę, która czyni czystym dającego i tego komu daną jest.

Ofiara twoja, Vasitthi, czysta jest, bo z czystych rąk pochodzi i czysty zakon ją bierze.

Zwrócił się potem do Angulimali:

- Idź, drogi bracie, i poleć, by złożono dary tam gdzie mamy zapasy, przedtem jednak wskaż dostojnym gościom naszym miejsca na stopniach świątyni, gdyż z tego miejsca będę dziś głosił naukę zbawienia.

Angulimala kazał służbie zaczekać i wezwał nas, byśmy szli za nim. Przedtem jednak zabraliśmy przywiezione kwiaty, oraz kilka pięknych dywanów. Potem prowadzeni przez olbrzymiego mnicha, przeszliśmy środkiem tłumów, rozstępujących się przed nami z szacunkiem.

Rozpostarliśmy dywany na stopniach świątyni i otoczyliśmy wieńcami stare potrzaskane kolumny. Potem wraz z Medini naskubałyśmy cały kosz róż i rozsypałyśmy płatki na najwyższym stopniu, gdzie miał stanąć mistrz dostojny.

Zebrani ustawili się półkolem, ludzie świeccy po lewej, mnisi, uczniowie i mniszki po prawej stronie świątyni, a pierwszy rząd usiadł na trawie. My usiedliśmy również na obalonej kolumnie opodal stopni.

Było tu około pięciuset osób, ale panowała cisza bezgłośna, przerywana jeno poszumem boru i szelestem liści drzew.

XXXVI.

BUDDA I KRYSZNA.

Promienie zachodzącego słońca padały snopami pomiędzy pnie drzew, złocąc milczący tłum, a różowe chmurki wieczorne żeglowały ponad czubami drzew i łączyły się, tworząc inne jakby zebranie na niebie, ciche i żądne słuchać nauki równie bożego męża.

Ruiny świątyni piły ową poświatę promienną, jak starzec pije łakomie napój odmładzający, a cud światła ożywiał w przedziwny sposób kamienne, rozpadające się masy. Zarysowało się czystymi linjami szczerbate żłobienie kolumn, wypełniły się pootrącane gzymsy, ślimaki zataczały jak dawniej spirale, falisty ornament pienił się złotem, zaczęło na nowo rosnać listowie. Wzdłuż schodowatego cokołu oraz plint, kapiteli, belek i na kopulastym dachu zarysowała się zbita ciżba niesamowitych, mistycznych postaci. Nimby zajaśniały nad głowami bóstw, otoczonych tłumem zjaw wielogłowych, wielorękich o bujnych, okaleczających członkach. Prężyły szyje, kikuty rąk wznosiły się w górę, odsłaniały piersi, lędźwie i biodra rozłożystych, jędrnych bogiń, pochylały ich głowy pod ciężarem wielopiętrowych fryzur, zwieńczonych diademami, uśmiechały oczy i zmysłowe, pełne wargi. Wężowe ciała demonów wiły się, rozpościerały skrzydła gryfów, potwornie wykrzywione maski djabłów, zgrzytały zębami, tłoczyły się ciała ludzkie, błyskały trąby słoni, głowy koni, rogi byków i jeleni, rozwierały paszcze krokodyle, małpy i tygrysy, tworząc nierozwikłany kłęb zjaw niesamowitych.

Nie była to już architekuralna ozdoba świątyni, ale ciżba ożyłych tworów, wrywających się z masy kamiennej, która im służyła jeno za podstawę i podporę. Zbudziły się z wiekowego, kamiennego snu i cisnęły jedne przez drugie, by słuchać człowieka, który stał w cieniu portyku na najwyższym jego stopniu w fałdzistym płaszczu złotym, spływającym do kostek, sam jeden naprawdę żywy i naprawdę spokojny pośród szaleńczego rozpadu martwych istot.

Zapadła głębsza jeszcze cisza, a nawet, jak mi się wydawało, przestały się chwiać korony drzew i liście szeptać przestały.

Mistrz otworzył usta.

Mówił o tej świątyni, na której stopniach stał, o przybytku, gdzie przodkowie nasi przez

całe stulecia cześć oddawali Krysznie, gdzie brali go sobie za pierwowzór życia bohaterskiego, ucząc się działać i znosić niedolę tej ziemi. Tam czerpali łaskę, która ich umacniała na życie i dozwalała bez trwogi przekraczać próg śmierci, poza którym czekały ich wieki rozkosze raj. Dzisiaj gromadzą się tutaj ich potomkowie, spragnieni słów prawdy z ust Buddy doskonałego, które uprawiają, że zaczynają żywot czysty, który im pozwala przezwyciężyć posiadanie rzeczy przemijających, i osiągnąć po śmierci błogosławioną nirwanę. W ten sposób Budda doskonale zbudzony kończy dzieło na poły zaśnionego boga, tak dopełniamy my, dojrzały do tego, co w sposób zgoła dziecięcy i naiwny rozpoczęli nasi przodkowie.

- Spójrzycież - mówił - na dzieło znakomitego mistrza czasów dawnych, który wyrwał w kamieniu walkę słoni Kryszny!

Wskazał ręką płaskorzeźbę, leżącą u stóp moich niemal, zarytą jednym końcem w trawę, a drugim opartą o kapitel obalonej kolumny. W świetle słońca, padającym skośnie na omszały kamień, wyraźnie rysowała się grupa, na której czele widniał młodzieniec, depczący głowę obalonego słonia i wyłamujący mu potężny kieł.

Mistrz opowiadał, jak to raz pewnego król Mathura, straszliwy tyran Kamsy, wyzwawszy na pojedynek Krysznę, na dwór swój, rozkazał potajemnie poganiaczowi rozjuszyc najpotężniejszego bojowego słonia, jaki był w stajni królewskiej i puścić na niewiedzącego o podstępie młodzieńca. Kryszna zabił potwora i ku wielkiemu przerażeniu tyrana zjawił się na arenie, obłany krwią, z potężnym kłem w dłoni.

- Pewnego dnia - ciągnął dalej - nieprzyjaciele męża bożego puścili nań podobnie, jak na Krysznę, rozjuszonego dzikiego słonia. Widząc pędzącego potwora, mąż boży uczuł litość. Krew spływała nieszczęsnemu zwierzęciu z głowy i grzbietu, albowiem lance szczujących zadały mu wiele ran. Żal mu się zrobiło, że cierpi, ale większą jeszcze litością zapłonął na widok owej ślepej, wścieklej namiętności tej istoty, obdarzonej przez naturę odwagą i siłą olbrzymią a pozbawionej przez ludzi tej odrobiny rozumu, jaką posiadała. Żli, okrutni ludzie ci wprawili go w taki szal, że nie zawahałby się zabić samego nawet Buddy, zesłanego tymże ludziom na ratunek. O jakże trudno było biednemu stworzeniu temu przejść niezmiernie długi łańcuch wcieleń, osiągnąć człowieczeństwa i, żyjąc zbożnie, dostać się na drogę zbawienia. Przepojony taką litością, nie mógł mąż boży odczuwać strachu, a nie przyszła mu nawet do głowy myśl o niebezpieczeństwie. Przeciwnie rozważał, że gdyby mu się powiodło najślabszy choćby promyk światła wprowadzić w tę ciemną okropną, to nasionko owo zesłoby niezawodnie i, osiągnąwszy przy jego blasku człowieczeństwo, istota ta zastałaby na ziemi naukę Buddy, którego zamordowała ongiś, a nauka ta dopomogłaby mu do zbawienia.

Tak rozmyślając, stanął mistrz pośrodku drogi, podniósł w górę rękę łagodnym gestem, spojrział życzliwie na szaleńca i przemówił doń słowami, które znalazły dostęp do serca słonia. Olbrzym zwolnił biegu, stanął, zaczął chwiać olbrzymią, podobną górze głową, a z paszczy jego, miast gromowych ryków, dobywało się teraz trwożne niemal, jęklive trąbienie. Ruszał w powietrzu trąbą na wszystkie strony, jakby w poszukiwaniu zgubionych śladów ukrytego w lesie nieprzyjaciela. W istocie omylił się co do wrogów swoich. Potem zbliżył się zwolna do męża bożego i zgiął przed nim kolana, jak to zwykł czynić, gdy pan jego i władca chciał go dosiąść. Mistrz ruszył, ku zawstydzeniu tych, którzy czyhali na jego życie, do gaju, dokąd zmierzał właśnie, a za nim kroczył zupełnie już spokojny słoń.

- W ten sposób - zakończył Budda swą przypowieść - pojmuje mąż boży walkę słoni boga Kryszny, uszlachetnia ją, przepaja duchem i udoskonala.

Słuchając tych słów, nie mogłam się oprzeć myśli o Angulimali. Ten to bowiem najokrutniejszy pośród zbójców, który wczoraj jeszcze chciał zabić męża bożego, został oblaskawiony nieprzepartym urokiem jego osoby i światłem nauki, a co więcej jeszcze, stał się od razu zwolennikiem, uczniem i wyznawcą, tak że dzisiaj siedział pośród mnichów, zmieniony do niepoznania w zewnętrznej nawet postaci. Wydało mi się też, że słowa mistrza skierowane są w szczególności do mnie, albowiem, poza mnichami, ja jedna znałam całą sprawę i mogłam zrozumieć ukryte dla innych znaczenie przypowieści.

Budda mówił w dalszym ciągu o Krysznie jako małżonku szesnastu tysięcy i stu dziewic, pod którym to imieniem czcili go dawni wyznawcy. I znowu wydało mi się, że słowa te odnoszą się do mnie w tajnym sensie swoim, bowiem przypominałam sobie, że w oną ostatnią noc naszego spotkania w lasku Kryszny takim imieniem nazwała boga stara czarownica, nabawiając mnie tem strachu. Z niejakiem humorem opowiadał Budda jak to raz Kryszna, posiadłszy skarby zabrane z pałacu Nareki, króla demonów, ku uświetnieniu onego dnia szczęśliwego, zaślubił od razu wszystkie dziewice, więzione przez tego potwora, jawiąc się każdej z osobna jako małżonek. Było ich szesnaście tysięcy i sto, to też w tyle postaci poszczególnych wcielił się Kryszna, a każda z dziewcząt była pewna, że ją jedynie wybrał za oblubienicę swoją.

- Podobnie - rzekł mąż święty - kiedy stoję tu pośród was, otoczony kilkuset mnichami, mniskami i zwolennikami płci obojga i głoszę naukę, każdy z was myśli sobie: - Oto do mnie jeno przemawia asceta Gautama - albowiem kieruję ducha mego na ducha każdego z żadnych pokoju i świadomości i czynię to, czego dlań potrzeba.

- W ten sposób - zakończył Budda tę drugą przypowieść - pojmuje mąż boży legendę o Krysznie jako oblubieńcu szesnastu tysięcy i stu dziewic, uszlachetnia ją, przepaja duchem i

udoskonala.

Wydało mi się, że mistrz odgadł myśli moje i udzielił mi tajemnej nagany w tym celu, bym nie unosiła się pychą z powodu marnej złudy wybitnego stanowiska na świecie.

Następnie mówił Budda o tem, jak Kryszna, wedle wierzeń przodków naszych, zdjęty litością dla istot niższych, zstąpił z nieba, urodził się na ziemi i wyzbył w ten sposób części siebie samego, mimo że był bogiem, najwyższym twórcą i żywicielem świata. Nawiązał do tego, iż sam miał swego czasu ochotę nie udzielać ludziom nauki, ale trwać w wieczystej szczęśliwości, kiedy to po nieskończone ciężkich walkach osiągnął doskonałe, pełne objawienie i posiadał niewzruszalną wiedzę zbawienia.

- Ludzie - tak rozmyślałem - są to istoty żądne użycia i rozkoszy. To też wyswobodzenie się z wszelkiej formy, stłumienie pożądań i wygaszenie złudy będą to dla nich sprawy zgoła niezrozumiałe, a przez to nauka moja napełni ich jeno smutkiem i troską. Duch mój zawarł się w sobie i stał się niepodatnym dla głoszenia innym prawdy. Spojrzałem jasnowidzącymi oczyma istoty, zbudzonej zupełnie, na świat i ujrzałem na nim istoty nieszlachetne, szlachetniejsze i szlachetne, podobnie jak spoglądając na jezioro spostrzegamy lotosy, rozwijające się pod wodą, zanurzone w fali, dobywające się na powierzchnię i pływające po niej, a wreszcie kwiaty wzniesione ponad toń, kwitnące w powietrzu, niezroszone jedną kroplą. Widząc to, pomyślałem: Jeśli nie usłyszą nauki, poginą owe istoty szlachetne, któreby ją zdolne były zrozumieć. Zdjęty litością dla istot ziemskich, zdecydowałem się wyrzec niezmaconych rozkoszy nirwany na czas jakiś i zniżyć na świat dla głoszenia nauki.

- W ten sposób - zakończył Budda tę trzecią przypowieść - pojmuje mąż boży legendę o zstąpieniu i wcieleniu się Kryszny na ziemi, uszlachetnia ją, przepaja duchem i udoskonala.

Ogarnęła mnie nieopisana radość, wiedziałam bowiem, że Budda zalicza mnie do lotosów, które wydostały się z głębi na powierzchnię wody, że z pomocą jego uniosę się kiedyś ponad nią i rozkwitnę w powietrzu, niezroszona kroplą materji.

Potem opowiadał Budda o czynach bohaterskich Kryszny, przez które dla dobra ludzkości oczyścił świat z potworów i z tych władców, pokonywając węża wód Kolji, zabijając bykokszałtnego demona Aristę, niweczając potwory Denukę i Kisę wraz z ich władcą Naraką, zwyciężając w boju złych królów Kamsy i Paundraki, oraz innych krwawych tyranów, będących postrachem ludzkości, oraz łagodząc w różny sposób cierpienia i poprawiając los biedaków. Mąż boży nie zwalcza atoli zewnętrznych wrogów, zagrażających ludziom, ale potwory w ich sercach mieszkające, mianowicie chciwość, nienawiść, złudę, miłość własną, żądę rozkoszy, pożądanie rzeczy znikomych, a zarazem nie uwalnia ludzi od tego, czy owego zła, ale od wszystkich cierpień w ogóle.

Mąż boży mówił o cierpieniu, które wlecze się za nami wszędzie niby cień, i w tej chwili wydało mi się, że czyjaś dłoń zdejmuje z mej duszy jarzmo bólu i ciska je na olbrzymią górę cierpień świata, gdzie niknie z oczu moich w ogólnym chaosie. Zrozumiałam, że nie mam prawa być szczęśliwą stale, gdy cierpią wszyscy. Doznałam szczęścia, jakie mi było przeznaczone, zrodziło się ono, rozkwitło i minęło, podobnie jak wszystko na tej ziemi, gdzie włada przyczyna, wywołująca zjawy ginące z konieczności po dłuższym, czy krótszym trwaniu. Ta właśnie znikomość, świadcząca o bezistotności każdej rzeczy, jest to ostateczna, nieusuwalna przyczyna cierpienia. Nie da się ona usunąć, jak długo trwa i pełni się żądza bytu, bowiem ta żądza stwarza coraz to nowe zjawy i kształty. Każdy, z racji własnego istnienia, jest współwinnym cierpień świata, przeto i ja, gdybym oszczędzoną została przez cierpienie, musiałabym się teraz czuć podwójnie winną i pożądać podjęcia swojej części bólu. Przestałam żalić się na smutny los mój, a słysząc słowa boskiego męża, pomyślałam: - O gdybyż to istoty ludzkie mogły raz przestać cierpieć, o, gdybyż powiodło się mistrzowi doprowadzić dzieło zbawienia do tego stopnia, by wszyscy, wszyscy ludzie i wszystkie istoty żywe zostali rozgrzeszeni, oświeceni i osiągnęli koniec cierpień swoich!

Mistrz mówił także o owym zakończeniu cierpień, o końcu świata i przewycięzeniu wszelkiej formy bytu, o zbawieniu, o spokoju doskonałym bez pragnień, o wygubieniu złud i nirwanie, a słowa jego dziwne były, głębokie i słodkie. W zakończeniu przywiódł nam przed oczy jedyną niewzruszalną wyspę na wzburzonym oceanie nieskończonych przemian, o której skalne ściany bezsilnie rozbijają się rozhukane bałwany śmierci. Do wyspy tej bezpiecznie zdąża łódź jego nauki, wioząc wyznawców. Nakreślił nam także obraz owego przybytku ciszy i ukojenia, a mówił nie jak ten, który powtarza słowa innych, słowa kapłanów, nie jak poeta, który pozwala bujać wyobraźni, ale jak ten, który mówi o tem, co przeżył, doświadczył i widział sam.

Nie będąc uczoną, nie wszystko co mówił zrozumiałam, a wiem, że nawet największym mędrcom trudnoby było pojąć całą głębię onej nauki. Różnych rzeczy nie mogłam powiązać z sobą, bowiem mieszał mi się byt z niebytem, a niejedno nosiło cechy życia i martwoty jednocześnie. Miałam jeno wrażenie, że słyszę nową, zgoła innym niepodobną pieśń. Słów nie chwytam, ale tony jej przenikają mi w głąb serca i mówią wszystko. TONY owe były tak krystalicznie czyste, że w porównaniu z nimi wszystkie inne wydać się musiały skrzypliwym hałasem. Pływały one z wyżyn jakichś niesiężnych, budząc nieznaną dotąd tęsknotę, której nic co ziemskie, co niskie, co małe ukoić nie byłoby w stanie, a że owa tęsknota nieukojna wieczystą jest i zniknąć nie może, czułam całą duszą i całym sercem swoim.

Tymczasem noc zapadła, księżyc świecił słabo z poza świątyni, więc cień zaległ całą

polaną. Zaledwo dostrzec mogłam postać mówcy. Nadludzkie słowa płynęły, zda się, z samej wprost starej świątyni, która, pochłonawszy całą masę rozpętanych, udających ruch zjaw, kreśliła się na tle nieba prostymi, masywnymi kształtami, podobna do grobowca wszelakiego życia ziemi i nieba.

Siedziałam, oplótszy ramionami kolana, słuchając i patrząc w niebo, gdzie ponad czubami drzew błyszczą gwiazdy. Przez cały rozłóg szafiru płynął Ganga niebiański. Wspomniałam chwilę, gdyśmy oboje na tem samym miejscu podnieśli w górę ręce i poprzysięgli na srebrne jego fale, zasilające lotosowe jeziora, że spotkamy się w raju zachodnim, w osiedli szczęśliwości, podobnem do królestwa Krysny, ku któremu dążą, jak mówił mistrz, wszyscy jego wyznawcy. Na myśl tę uczyniło mi się smutno w sercu, ale nie odczuwałam żadnego pożądanego takiego rajskiego życia, bowiem blask czegoś nierównie wyższego dotknął już oczu moich.

Bez uczucia rozczarowania, bez odruchu bólu, jakiego doznaje ten, który traci najdroższą nadzieję swoją, wysłuchałam słów mistrza:

*Wszystko co żyje zdąża do zraty,
Jak ziemskie, wędną także raju kwiaty.*

XXXVII.

WIĘDNAĆY RAJ.

- Tak, ukochany mój - dodała Vasitthi - bez rozczarowania i bólu słuchałam tych słów, które tobie wydały się tak beznadziejne, podobnie też bez bólu, a nawet z radością spostrzegam, jak prawdziwość słów onych iści się tutaj dokoła nas.

Podczas opowiadania Vasitthi więdnienie lotosów rajskich postępowało z wolna, ale bez przerwy, tak, że nie sposób było powątpiewać, iż wszystkie owe twory i całe otoczenie zmierza ku zupełnemu zniszczeniu i rozplynięciu się w nicość.

Lotosy postradały już większą część swych płatków, woda gdzie niegdzie jeno ukazywała się z pośród mnóstwa małych czółenek kwiatnych i drżała ustawicznie od spadania coraz to nowych. Na ogołoconych z ozdoby tronach siedziały postacie, skulone w różnych pozach, z pozwieszanemi na piersi lub na bok głowami, dygocąc, ile razy dreszcz zimny przenikał gaje, chwiejąc koronami drzew tak gwałtownie, że za każdym razem spadał na poźółkłą murawę dreszcz liści i kwiatów. Przerzywana coraz częściej dysonansami muzyka duchów niebiańskich rozbrzmiewała coraz to smutniejszymi akordami, i mieszały się z nią głębokie westchnienia i bolesne jęki. Wszystko, co błyszczało przedtem, przygasło teraz, twarze i szaty błogosławionych i duchów napowietrznych, chmury i kwiaty, wszystko stało się szarawe, nikłe, a w dali szafirowy mrok zaczął snuć pasma swego przędzy. Rzeźwy przedtem, weselący serca zapach kwiatów przemienił się teraz w woń duszącą, co oszołomiała zmysły i działała usypiająco.

Kamanita wskazał wokół leniwym ruchem ręki i rzekł:

- Jakże możesz, o Vasitthi, doznawać radości na taki widok?

- Cieszę się dlatego, - odrzekła Vasitthi - że widok znikomości tych oto zjaw świadczy, iż istnieją rzeczy wyższe. Byłoby to niepodobieństwem, gdyby były wiecznotrwałe. Istnieją rzeczy nieprzemijające i niepowstałe. To miał na myśli mistrz, mówiąc o „radości przemijania”. Dlatego też powiedział: Poznawszy skon tego co stworzone, poznałeś to co niestworzone.

Te nacechowane pewnością słowa sprawiły, że rysy Kamanity ożywiły się jako kwiat ożywia się deszczem po suszy.

- Błogosławioną bądź, o Vasitthi! - zawołał. - Dana mi zostałaś dla dobra mej duszy, czuję to. Zbłądziliśmy tylko przez to, iż tęsknocie swej wyznaczyliśmy zbyt niski cel. Pragnęliśmy jeno raju kwietnego, a kwiaty z natury swej więdnąć muszą. Natomiast gwiazdy są niezniszczalne i toczą się ciągle drogą swą wedle praw wiekuistych. Spójrz tylko! Gdy wszystko wokół nosi znamiona rozkładu, to ramię niebiańskiej Gangi, które zasiląo przez tysiące tysięcy lat nasze jezioro, połyska ciągle wspaniale i toczy tę samą obfitość fal. Jest ono niezniszczalne, albowiem pośród gwiazd ma swój początek. Ktoby zdołał odrodzić się pośród bóstw gwiazdzistych, ten wniósłby się ponad koło przemian zjaw znikomych i trwał wiecznie.

- Czemuż byśmy tego dokazać nie mogli? powiedziała Vasitthi. - Słyszałam, że mnisi, którzy całą potęgą serca pragną tego, odradzają się w państwie stutysięcznego Brahmy. I dla nas nie może być na to za późno, bo wszakże prawdą muszą być słowa:

*Ten kto umiera o innym śniąc bycie,
W istnieniu owem wszczyną nowe życie.*

- Vasitthi! - zawołał. - Napelniasz mnie nadludzką odwagą! Tak, zaprawdę, odtąd całym pragnieniem serc naszych będzie odrodzić się w państwie stutysięcznego Brahmy.

Zaledwo powzięli to postanowienie, zerwał się potężny wicher i poleciał przez gaje i stawy. Zawirowały chmury kwiatów i liści, istoty siedzące na lotosach skuliły się, jękły i otuliły płaszczami drżące ciała swoje.

Doznali wrażenia, jakie ma człowiek zamknięty w izbie, duszący się gęstem, cuchnącem powietrzem, gdy nagle przez otwarte okno wpadnie rzeźwy powiew, niosący słony dech morza. Pierś jego oddychać zaczyna swobodnie i życie wraca. To samo stało się z Kamanitą i Vasitthi, gdy poczuli ów wiew przeczysty, którym oddychali ongiś nad brzegiem niebiańskiej rzeki.

- Pamiętasz ten zapach? - spytała.

- Pozdrowienie Gangi! - zawołał. - Słuchaj jak woła!

Żałośliwa, obumierająca muzyka duchów niebiańskich zatoneła w uroczystych, tętniących gromowo akordach.

- Dobrze, że znamy już drogę! - radowała się Vasitthi. - Wszak nie lękasz się, mój jedyny?

- Jakże mógłbym się lękać? - odparł. - Lećmy tam co prędzej!

Zerwali się jak para ptaków z gniazd polatujących ku prądowi wichru i znikli w oddali.

Wszystkie postacie patrzyły za nimi zdumione, iż istnieje tu jeszcze ktoś mający siłę i odwagę do odlotu.

Uniósłszy się w górę, spostrzegli, że pod nimi trąba powietrzna zmiotła wszystko i rozwiała kędyś dusze tak, że starczy byt Sukhavati skończył się skonem ostatecznym.

Rychło dopadli palmowego lasu, przelecieli go i ujrzeli przed sobą srebrzystą tafłę gwieździstej rzeki, ścielącą się aż do granic ciemnogramatowego horyzontu.

Popłynęli nad falą i natychmiast porwał ich zamaszysty prąd powietrza, unosząc z sobą, jak burza pyłki unosi. Zawrotna chyżość lotu, przeraźliwy huk toczących się światów i muzyka jakichś śródgwiezdnych dzwonów pozbawiły ich zmysłów...

XXXVIII.

W PAŃSTWIE STUTYSIĘCZNEGO BRAHMY.

Kamanita i Vasitthi odrodzili się ponownie w państwie stutysięcznego Brahmy, w postaci duchów podwójnej gwiazdy.

Świetlna materja astralna, z którą związana była istność duchowa Kamanity, otaczała równomiernie ciało niebieskie, ożywiane jego siłą i kierowane jego wolą. Wola ta sprawiała przede wszystkim, że gwiazda wirowała dokoła swej osi i ruch ten był jej swoistem życiem, jej miłością własną.

Kamanita - gwiazda przeglądała się w blasku gwiazdy - Vasitthi i odbijała ten blask. Wymieniając owo promieniowanie, krążyli dokoła wspólnego środka, gdzie się niby w ognisku przecinały ich promienie. Ten punkt był ich miłością, wirowanie dokoła niego ich życiem miłosnem, a wymiana odbić była ich rozkoszą miłosną.

Spoglądali jednocześnie na wsze strony, każde widziało jednocześnie, wszystko co się działo w wszystkich kierunkach nieskończonej przestrzeni. Wszędzie dostrzegali niezliczonych bogów gwiazdnych podobnych sobie, ślali im oni spojrzenia promieni, a oni odwzajemniali te pozdrowienia. Spostrzegli, że niektórzy bogowie są im bliżsi i tworzą wraz z nimi grupę oddzielną. Obok tej grupy istniały grupy inne, tworzące razem układ gwiazdny. W dalach przepastnych błyszcząły coraz to inne układy, tworząc łańcuchy układów, poza którymi istniały coraz to nowe złańcuchowania, pierścienie łańcuchów i sfery pierścieni łańcuchowych.

Kamanita i Vasitthi kierowali harmonijnym lotem swej gwiazdy podwójnej pośród gwiazd pojedynczych i wielokrotnych swej własnej grupy, trzymając się w tym ściśle unormowanym tanie tak, by nie zbliżyć się nadto, ni nie oddalić od sąsiadów, przy czem ogólna sympatja podawała wszystkim kierunek i tempo ruchów. Wytwarzało to rodzaj zbiorowej woli, która kierowała całą grupą w locie pośród grup innych całego układu, zaś układ poruszał się znowu na tych samych zasadach pośród zrzeszeń swego typu.

Owo partycypowanie w niezmiernym tańcu przestrzennym ciał niebieskich, ten wzajemny, wspólny i nieskończenie wielokrotny ruch, było to ich życie zewnętrzne, społeczne, a jednocześnie, przenikająca wszechbyć i obejmująca wszystko miłość bliźniego.

To, co tutaj jest harmonją ruchów, przedstawia się bogom niższym, pod poziomem bogów gwiazdnych istniejącym bogom jako harmonją dźwięków. Duchy niebiańskie raju zachodniego, biorąc w tej harmonji udział, naśladują ją w akordach muzycznych, a poszczególne dźwięki dochodzą czasem aż do ziemi, ale tak cicho i niewyraźnie, że słyszą je jeno święci mężowie boży. Jasnowidze wspominają tajemniczo o tak zwanej harmonji sfer, zaś wielcy muzycy naśladują to, co pochwycić zdołali w chwili natchnienia i muzyka taka zachwyca ludzi. Stosunek, w jakim stoi byt realny do złudy onych bytowań coraz to niklejszych, jest miarodajnym dla zrozumienia, czem jest zachwyt ludzi wobec rozkoszy bytu bogów gwiazdnych.

To właśnie, ta harmonja ruchu była treścią i rozkoszą ich życia.

Wszystkie owe ruchy, cały ten wir niewymierny układów gwiazdnych miał za punkt centralny królującego pośrodku wszechświata stutysięcznego Brahmę, którego otaczały wszystkie gwiazdy, chłonąc w siebie niepojęty blask jego i odbijając go z powrotem, tak że były jakby zwierciadłami, w których się przeglądał. Nieogarnięta jego siła była wiekuiście żywym źródłem wszystkich ruchów, które się rozchodziły od jednej gwiazdy do drugiej, koncentrując się jednocześnie w punkcie centralnym, to jest w Brahmie.

I to właśnie stanowiło przebóstwienie wszechświata, wspólnotę z duchem najwyższym, stan błogosławiony, modlitwę i szczęśliwość wiekuistą.

Wszechświat, mający punkt centralny i ognisko swe w Brahmie, był, mimo że nieskończony, przez sam ten fakt ograniczony. Podobnie jak oczy ludzkie dostrzegły już w czas prastary na niebie, tzw. zwierzyniec niebieski, czyli koło zodiacalne, tak i bogowie gwiazdni widzieli wokół siebie niezliczone koła złańcuchowane z sobą, tworzące sferyczną powierzchnię, obrazami zapełnioną. Najodleglejsze grupy stapiały się w błyszczące figury, opromieniając się wzajem, rozbłyskując na wsze strony i tworząc kształty, formy astralne wszystkich stworzeń, żyjących na ciałach niebieskich lub w przestrzeniach międzyplanetarnych. Były to niezniszczalne prawzory tego wszystkiego, co biorąc na się grubą powłokę materji, nieustannie powstaje i ginie w zmiennych ciągle kolejach stawania się.

Owo patrzeć na te praksiętały stanowiło ich wiedzę i świadomość wszechświata.

Ponieważ byli wszechwidzący i, nie potrzebując przenosić spojrzeń z jednego na drugie, ogarniali jednocześnie jedność bożą i wielość stworzeń wszechświata, przeto poznanie Boga i świata było im jednym i tem samem. Gdy bowiem człowiek zwróci spojrzenie na jedność Boga, to traci z oczu wielokształt świata przemian i przeciwnie, patrząc na świat, zatracą świadomość jedności. Dlatego to wiedza jego jest ciągle urywkowa, łamana, chwiejna i pełna

wątpliwości.

W owym państwie Brahmy czas płynął cicho i niepostrzeżenie. Jak czysta, spokojna i niczem w ruchu niehamowana rzeka płynie tak, że tego nie dostrzegamy, tak samo nie dostrzegali, że czas mija, nie wytyczało bowiem ruchu tego żadne falowanie myśli, ni uczuć i nie stawało mu na przekór.

Owa niedostrzegalność czasu stanowiła ich wieczność.

Ale wieczność owa była złudą.

Wszystko tedy, co w sobie mieściła: wiedza, szczęśliwość, rozkosz istnienia, udział w żywocie wszechświata, miłość i ich własne życie, było zatopione w złudzie i nosiło jej znamiona.

XXXIX.

ZMIERZCH ŚWIATÓW.

Kamanita doznał pewnego razu uczucia niezadowolenia i braku.

Mimo woli skierował swą uwagę na stutysięcznego Brahmę, jako na źródło wszelkich uczuć. Ale wrażenie owo nie znikło, przeciwnie z każdą tysiącletnią dekadą stawało się niemal dostrzegalnie przykrzejszem.

Skutkiem owego uczucia niedostrzegalnie dotąd płynący czas natrafił na opór, jak rzeka, gdy napotka wyspę, lub rafę skalną, począł tedy szumieć i zaznaczać swój byt. Natychmiast zjawilo się „przed” i „po”, jak w rzece oznaczyć można miejsce „przed” i „po” przeszkodzie.

Wydalo się Kamanicie, że stutysięczny Brahma nie błyszczy tak jasno jak przedtem.

Patrzył nań przez pięć milionów lat i przyszedł do przekonania, że patrzył dość długo, a jednak nie może nabrać poglądu należytego na tę sprawę.

Zwrócił uwagę na Vasitthi.

Spostrzegł, że i ona obserwuje Brahmę z uwagą.

Zasmucił się. Wraz ze smutkiem zjawily się uczucia, za nimi przyszły myśli, a z myśli wyłoniły się słowa.

I rzekł:

- Vasitthi, czy widzisz jak ja, że coś się dzieje ze stutysięcznym Brahmą?

Po stu tysiącach lat odparła Vasitthi:

- Blask stutysięcznego Brahmy zmniejszył się.

- I mnie się tak wydaje! - przyznał Kamanita po upływie takiegoż czasu. - Może jest to jednak zjawisko przemijające. Ale to mi się już samo dziwnem wydaje, że stutysięczny Brahma może podlegać przemianom!

Umilkł na jakichś kilka milionów lat, potem zaś dodał:

- Nie wiem, czym nie doznał olśnienia, ale wydaje mi się, że stutysięczny Brahma błyszczy teraz coraz silniej.

Po pół miljonie lat rzekła Vasitthi:

- Blask stutysięcznego Brahmy nie zwiększa się, ale ciągle słabnie.

Podobnie jak rozżarzone do białości żelazo po wyjęciu z pieca staje się niebawem

czerwonym, tak samo blask stutysięcznego Brahmy nabrał odcieniu czerwonego.

- Dziwi mnie to bardzo i nie wiem, jak sobie sprawę wytłumaczyć! - powiedział Kamanita.

- To znaczy - odparła Vasitthi - że blask stutysięcznego Brahmy zaczyna gasnąć.

- To niemożliwe! - zawołał. - Zważże, Vasitthi, w cóżby się obrócił blask i świetność całego wszechświata?

- O tem - odparła - on myślał, mówiąc:

*Blask życia sięga w krainy, których nie znamy,
Lecz wiedźcie, przeminie wszystko, nawet świat Brahmy.*

Już po kilku tysiącach lat spytał trwożnie i popędliwie Kamanita:

- Któż to wyrzekł te straszliwe, światoburcze słowa?

- On... doskonały... zbudzony... mistrz Budda!

Zadumał się Kamanita.

Przez czas długi rozważał owe słowa, wspominając różne rzeczy, potem rzekł:

- Już raz przytoczyłaś, Vasitthi, słowa Buddy, które spełniły się w oczach naszych, a było to w Sukhavati, w raju zachodnim. Pamiętam, że powtórzyłaś mi tam cały jego wykład, zakończony oną sentencją. Ale nie było tam tak światoburczego zdania jak obecne, wnioskuje tedy, iż słyszałaś więcej jeszcze nauk Buddy.

- Słyszałam dużo mów jego, - odrzekła gdyż przeszło pół roku przebywałam u jego boku.

Słyszałam nawet ostatnie słowa, jakie wyrzekł na ziemi.

Kamanita spojrział na nią z podziwem i czią wielką i powiedział:

- Z tego to, widzę, powodu jesteś najmędrszą istotą wśród całego świata Brahmy. Wszystkie bogi gwiazdne wkoło nas popadły w przerażenie, świecą nierówno, błyskają i migocą. Sam nawet stutysięczny Brahma zaniepokoił się, z mdlejącego jego blasku wypadają często jakby błyskawice gniewu. Ty zaś świecisz jasno i spokojnie, niby lampa osłonią od wiatru. Dostrzegłem i inne jeszcze oznaki, że coś się psuje, oto ruchy ciał niebieskich stały się dosłyszalne i zewsząd dochodzą nas teraz gromowe, potężne tony i jakby dźwięki dzwonów śródgwiazdnych podobne to tych, jakie słyszeliśmy ongiś, daleko stąd, nad brzegiem niebiańskiej Gangi. Znaczy to, że harmonia ruchów została zwichnięta, że nastąpiło rozdzielenie i wyodrębnienie poszczególnych sił. Prawdą jest twierdzenie, że hałas jawi się tam, gdzie powstaje brak, zaś pełnia cichą jest i skupioną w sobie. Nie wątpię tedy, że masz słuszność, Vasitthi. Ale pragnę uzyskać ten sam, co ty, spokój, przeto podziel się ze mną

wspomnieniami o mistrzu, podczas kiedy gasnąć będzie i rozpadać się w nicość cały ów świat stutysięcznego Brahmę. Powiedz mi wszystko, nie zatajając niczego, bowiem po raz może ostatni spotkaliśmy się w miejscu, gdzie można porozumiewać się duchowo i dzielić myślami. Dotąd nie mam pojęcia jak i dlaczego zjawił się Angulimala w Ujjeni, chociaż opisałaś mi jego nawrócenie się na drogę ascezy. Owo przybycie jego było mi podniętą do rozpoczęcia pielgrzymki i jemu to zawdzięczam, że nie stoczył się w dół, ale zasłużył na odrodzenie w raju zachodnim, skąd przy pomocy twojej dostałem się do najwyższych sfer widzialnego wszechświata, gdzieśmy wiedli żywot bogów przez niezmierzone eony lat. Mam przecucie, że z twojej strony wyszło to, co mnie pchnęło na drogę pielgrzymstwa.

Pragnę się tedy tego dowiedzieć, przede wszystkim zaś jeszcze zechciej mi wyjaśnić jak się stać mogło, że wcieliłaś się i zjawiłaś ku zbawieniu memu właśnie w Sukhavati, nie zaś na jakimś innym odległym, nieskończone wyższym miejscu szczęśliwości.

Vasitthi powiedziała tedy Kamanicie ostatnie przeżycia swe na ziemi z całym spokojem, nie pomijając żadnego szczegółu, a tymczasem zachodziły wielkie zmiany w świecie stutysięcznego Brahmę.

Coraz to niespokojniej świeciły gwiazdy, łyskając i mrugając. Z kręgu, otaczającego Brahmę, wylatywały niezmierne snopy ognia, przenikając wszechświat w wszystkich kierunkach. Zdawało się, że bóg szukał stu olbrzymimi ramionami niewidzialnego wroga, który mu zagrażał.

Skutkiem zwichnięcia harmonji ruchu ciał niebieskich powstały wiry i prądy, które wyrzywały całe układy gwiazdne z wszechświata stutysięcznego Brahmę, a na ich miejsce wciskały się czarne fale pustki przestrzennej, podobnie jak woda morska ciśnię się w dziurę wyrwaną w boku okrętu.

W wielu miejscach jedne układy gwiazdne wpadły na drugie i powstawały pożary światów nieprzeliczonych, a huk wybuchów i zagwie płomieniste spadających gwiazd dolatywały aż do samego kręgu świetlnego Brahmę.

Ryczały pioruny, rozlegał się trzask zapadającej się budowli, harmonji i równowagi świata, a muzyka sfer niebieskich konała w charkotliwych jękach, które toczyły się jak fale zalewu z jednej części przestrzeni w drugą.

XL.

W GAJU KRYSZNY.

Począwszy od tego pierwszego wieczoru nie zaniedbywałam żadnej sposobności udania się do gaju Kryszny, celem posłyszenia mistrza, lub któregoś z jego wielkich uczniów, celem wniknięcia w istotną treść nauki Buddy.

Mąż mój nie wrócił jeszcze podówczas z podróży, a strach obywateli Kosambi przed rozbójnikiem Angulimalą wzrastał z dniem każdym. Wprawdzie nie zaszedł żaden nowy fakt napaści, atoli właśnie owo tajemnicze milczenie pobudzało fantazję. Rozeszła się nagle pogłoska, że Angulimala umyślił napaść zebranych w gaju Kryszny słuchaczy, a nawet uprowadzić z sobą samego mistrza. Wzburzenie doszło do szczytu i nastąpiła panika. Powiedziano sobie, że gniew bogów zniweczy miasto, jeśli mistrzowi stanie się krzywda skutkiem rozbójniczej napaści.

Ulice zapełniły się tłumami, które obieżyły pałac królewski, domagając się stanowczo zaradzenia złemu, a nawet miotając pogrozki przeciw królowi Udanie, jeśliby natychmiast nie unieszkodliwił Angulimali.

Nazajutrz po tej manifestacji wrócił Satagira.

Zasypał mnie pochwałami, dziękował za doskonałą radę, twierdził, że mnie jeno zawdzięcza, iż wrócił żywy do domu. Odprawił oziębłą drugą żonę Vajirę, która wyszła na powitanie z synkiem na rękę, i zaprosił mnie na ważną, jak mówił, naradę.

Gdyśmy zostali sami, zaczął zaraz ku wielkiemu memu niezadowoleniu mówić o swej miłości, rozwodząc się nad tem, że bardzo tęsknił za mną w drodze i cieszył się chwilą powrotu.

Miałam mu właśnie opowiedzieć, jakie wzburzenie panuje w mieście, gdy zjawił się podkomorzy i wezwał go do króla.

Wrócił po godzinie zmieniony do niepoznania, blady, wpadł do mojej komnaty, rzucił się na ławę i zaczął wyrzekać, że jest najniezwyklejszym człowiekiem w całym państwie, że karjera jego przepadła, że stanie się nędzarzem, a nawet grozi mu więzienie i wygnanie. Wszystkiemu zaś winna bezgraniczna miłość ku mnie, której nie odwzajemniam nawet. Poprosiłam, by mi powiedział o co idzie, on zaś uspokoiwszy się nieco, powtórzył mi

rozmowę z królem, wybuchając co chwila łzami rozpacz i ocierając kroplisty pot z czoła.

Król przyjął go bardzo niełaskawie i, nie chcąc słuchać o załatwieniu sporu na wschodzie, rozkazał groźnie, by wyznał całą prawdę w sprawie wypuszczenia Angulimali. Musiał wyznać, a powtarzając swe słowa, nie wiedział, że są to dla mnie rzeczy znane dobrze. Opowiadając ciągle, kładł nacisk na swą miłość, zaś o mej miłości ku tobie wyrażał się jak o młodzieńczej mrzonce, która nie mogła do niczego doprowadzić.

Król dowiedział się o postępkach Satagiry w następujący sposób:

Podczas nieobecności ministra, schwytano jednego z podrzędnych członków bandy i tenże wyznał na torturach, iż rozbójnikiem niepokojącym miasto jest w istocie Angulimala, który wcale nie zmarł w więzieniu, ale uciekł. Potwierdził również plan zamachu na gaj Krysny. Król oburzony tem, że Satagira pozwolił wymknąć się straszliwemu zbrojcy i oszukał go fałszywą głową, zatknętą nad bramą, a wraz z nim całe państwo, zagroził mu, nie słuchając obrony ni wyjaśnień, że odczuje dotkliwie niełaskę królewską, jeśli w ciągu trzech dni nie pochwyli Angulimali, jak się tego domagają wszyscy mieszkańcy Kosambi.

Skończywszy opowiadanie, Satagira rzucił się z płaczem ponownie na ławę, wrywał sobie włosy i zachowywał się, jak szaleniec.

- Nie oddawaj się rozpacz, mężu mój! - powiedziałam spokojnie. - Uśłuchaj mojej rady, a jeśli wedle niej postąpisz, nie za trzy dni, ale dziś jeszcze, odzyskasz łaskę królewską, co więcej, staniesz się bliższym jeszcze niżli przedtem monarsze, który obsypie cię szczytami.

Satagira usiadł i spojrzał na mnie zdziwiony, jakbym była niezemiem jakimś zjawiskiem.

- Jakaż to rada twoja? - spytał.

- Wróć zaraz do króla i namów go, by udał się dziś wieczór do sinsapowego lasu pod miastem, gdzie stoi świątynia Krysny. Niech stanie wobec Buddy i spyta co czynić, a o resztę nie troszczcie się obaj.

- Rozsądna z ciebie niewiasta! - przyznał Satagira. - Radzisz dobrze, a chociaż nie spodziewam się takich jak mówisz skutków, to jednak spróbuję. Ten asceta jest pono najmędrszą wśród ludzi istotą.

- Zaręczam ci honorem, - powiedziałam - że skutki będą jak najlepsze.

- Wierzę ci, Vasitthi! - zawołał, zrywając się i chwytając mą dłoń. - jakżebyem mógł nie wierzyć? Na Indrę! Jesteś najcudniejszą kobietą i teraz widzę, iż nie omyliłem się, kiedy będąc niedoświadczonym jeszcze młodzieńcem wzgardziłem wszystkimi pięknościami Kosambi, instynktownie wybrałem cię, chociaż odpłaciłaś mi oziębłością i nie zmieniłaś się do tej pory.

Zapał jego wzbudził we mnie uczucie żalu, iż mu udzieliłam pomocnej rady, ale słowa dalsze uspokoiły mnie znacznie, gdyż zaczął mnie zapewniać o swej wdzięczności, która miała być bezgraniczną, choćbym żądać miała rzeczy niesłychanych.

- Mam jedną jeno prośbę, - powiedziałam - a spełnienie jej przekona mnie w zupełności, iż umiesz być wdzięcznym.

- Mów! - wykrzyknął. - Uczynię wszystko, choćbyś żądała, bym natychmiast odesłał rodzicom Vajirę wraz z synem moim!

- Prośba moja jest sprawiedliwą i zbożną, Satagirowie, nie grzesz! - odparłam. - Ale wyrażę ją wówczas dopiero, kiedy okażą się w całej pełni dobre skutki mej rady. Spiesz do pałacu i nakłoń króla, by się zgodził na rozmowę z ascetą.

Wrócił niedługo uszczęśliwiony, bo król zdecydował się na wycieczkę do gaju Kryszny.

- Przysłał wówczas dopiero, gdy mu powiedział, że tyś podała tę radę, ręką honorem za jej skutki. Udena ma o tobie jak najlepszą opinię, ja zaś dumny jestem z takiej żony.

Te i tym podobne słowa, któremi wyrażał swój pełen nadziei nastrój ducha, byłyby mi nader przykre, gdybym nie miała pewnych, ukrytych celów.

Udaliśmy się do pałacu, gdzie poczyniono już przygotowania do drogi.

Gdy tylko złagodniał żar palących promieni słońca, dosiadł król Udena swego słońca państwowego, słynną Bhadarataki, używaną z powodu wielkiej starości jedynie do najuroczystszych obchodów. My, podkomorzowie, skarbnik i inni wysocy dygnitarze jechaliśmy w powozach, zaś pochód otwierały i zamykały oddziały jazdy po dwustu ludzi każdy.

Przybywszy do skraju lasu, rozkazał król Bhadarataki, by ukłękła, zsiadł, my również wysiedliśmy i orszak ruszył ku świątyni Kryszny, gdzie oczekiwał nas uprzedzony o królewskich odwiedzinach mistrz, otoczony mnichami.

Król pozdrowił męża bożego pełnym szacunku ukłonem i usiadł obok niego, a gdyśmy wszyscy zajęli miejsca, spytał mistrz dostojny:

- Cóż ci się przydarzyło, szlachetny panie? Czyżby król Benaresu lub inny władca zagroził ci wojną?

- Nie stało się to, mistrzu dostojny, - odrzekł król - nikt mi nie zagraża wojną. Ale w kraju moim grasuje straszliwy rozbójnik, zwany Angulimalą, okrutny, krwiożerczy, nawykły do morderstwa i dręczenia niewinnych ofiar, nie mający litości dla ludzi, ni zwierząt. On to napada wsi, miasta i całe okolice, zabija ludzi, rabuje, pali, a z palców odciętych pobitym robi sobie naszyjniki. W zapamiętałości serca powziął plan napaść na ten święty gaj, porwać do niewoli dla okupu znaczniejszych obywateli, a ponadto porwać ciebie, święty mężu, i

kapłanów twoich. Wobec tak wielkiego niebezpieczeństwa wzburzył się lud, otoczył mój pałac i zażądał, bym unieszkodliwił owego Angulimalę. Oto cała sprawa, w jakiej przybywam do ciebie po radę.

- Powiedz szlachetny panie, - spytał mistrz - cobyś uczynił z Angulimalą, gdybyś ujrział, że siedzi z ogoloną głową i brodą, ubrany w zgrzebny płaszcz, zaniechawszy morderstw, zaniechawszy rabunków, zadowolony jednym dziennie posiłkiem, czysty, skromny, nawykły do pobożnych pielgrzymek, słowem uszlachetniony i nawrócony zupełnie... Powiedz, jakbyś z nim postąpił o panie?

- Pozdrowiłbym go, mistrzu, z czcią wielką - odrzekł król - wskazałbym mu miejsce obok siebie, wyraziłbym radość, że się nawrócił, poprosiłbym, by raczył przyjąć odzież, zapas jadła, pościel i lekarstwa na wypadek choroby, potem zaś, jak przystało panującemu, zapewniłbym go o opiece mojej, bezpieczeństwie zupełnym i przebaczeniu win jego. Ale to chyba niemożliwe, mistrzu dostojny, by człowiek taki mógł stać się cnotliwy i czysty...

Angulimala siedział opodal mistrza, który, skinąwszy nań, rzekł królowi:

- Człowiek ten, o królu, jest to Angulimala.

Pobladł z strachu król, ale daleko bardziej przeraził się Satagira. Oczy mu wyszły z orbit, włosy podniosły się na głowie, a zimny pot pociekł mu z czoła.

- Biada mi! - zawołał. - Zaprawdę, człowiek ten jest Angulimalą, ja zaś dałem się uwieść i oto wydałem króla i pana mego w ręce rozbójnika.

Widziałam wyraźnie, że drżał jeno dlatego z strachu, bo sam znalazł się w mocy swego śmiertelnego, jak sądził, wroga.

- Ten okrutnik - wołał dalej - oszukał nas wszystkich, oszukał samego mistrza nawet, oraz mą łatwowierną małżonkę, która, jak wszystkie kobiety, ślepo idzie na lep, gdy jej ktoś powie, że się nawrócił.

Rozglądał się wokoło błędnie, sądząc, że za każdym drzewem czyhają rozbójnicy. Jąkając się i wyciągając drżące ręce, zaklinał króla, by ratował swe cenne życie szybką ucieczką.

Wówczas wstawszy, powiedziałam:

- Uspokój się, małżonku mój. Mam zupełną możność przekonania cię, a także szlachetnego króla i pana naszego, że nie ma tu mowy o żadnej pułapce i niebezpieczeństwo nie zagraża nikomu.

Opowiedziałam jak podmówiona przez Angulimalę uplanowałam razem z nim zamach na życie Satagiry i jak zamach ten udaremniony został jedynie przez nawrócenie się mego sprzymierzeńca.

Satagira, słysząc to, omal nie umarł z strachu i musiał się oprzeć o ramię podkomorzego,

by nie upaść.

Padłam przed królem na kolana, błagając, by przebaczył memu małżonkowi, jak ja mu przebaczyłam, zawinił bowiem uniesiony namiętnością, a przy tem działał pod przymusem siły wyższej, która chciała w oczach wszystkich uczynić cud. Rozbójnik miał zostać stracony, a przemienił się w świętego.

Król przyrzekł mi przywrócić w zupełności do łask swych Satagirę, a wówczas powiedziałam, zwracając się doń:

- Dotrzyłam danej obietnicy, przeto spełń również coś przyrzekał, wysłuchaj mej jedynej prośby i pozwól, bym wstąpiła do zakonu mistrza dostojnego, jako mniszka.

Satagira skinął przyzwalająco głową, gdyż nie mógł uczynić inaczej.

Król zaś, uspokojony już teraz zupełnie, zbliżył się do Angulimali i przemówił doń serdecznie, a nawet z szacunkiem, przyrzekając mu przebaczenie i opiekę prawa. Potem podszedł do Buddy, skłonił się nisko i rzekł:

- Przedziwną posiadasz, o dostojny, siłę, która poskramia to co nieuskramialne. Angulimali pokonać nie mogliśmy mieczem, ani karą, tyś go zaś słowem jeno bez miecza ni kary pokonał. Ten święty, po trzykroć święty gaj, w którym posłyszeliśmy wszyscy wieść o cudzie niesłychanym, od dziś po koniec wieków stać się ma własnością zakonu twego, o mężu święty. Pozwól też, bym wybudował tu dwa budynki klasztorne, dla mnichów i mniszek, gdzie znajdą schronę i pomieszczenie przystojne, wracając znużeni z pielgrzymki.

Mistrz przyjął podarunek królewski z dostojną godnością, poczem król ze świtą oddalił się, ja zaś zostałam pod opieką sióstr zakonnych celem złożenia zaraz nazajutrz ślubowań.

XLI.

ŁATWA SENTENCJA.

Zostałam mniszką i co dzień rano udawałam się do Kosambi z miseczką jałmużniczą, chodząc od domu do domu, aż została napełniona. Czyniłam to, mimo że wiedziałam dobrze, iż Satagira oszczędziłby mi chętnie tej zebraniny.

Pewnego dnia stanęłam u wniścia do jego pałacu, gdyż starsze zakonnice poradziły mi poddać się i tej próbie. Wyszedł na ulicę Satagira, lecz spostrzegłszy mnie, uskoczył na bok i zakrył w porywie smutku twarz swoją. W chwilę potem przyszedł zarządca pałacu, skłonił się nisko i płacząc błagał, bym pozwoliła posyłać sobie codziennie wszystko, czego mi potrzeba. Odmówiłam, zwracając mu uwagę, że winnam przestrzegać reguły zakonnej.

Wróciwszy z wędrówki jałmużniczej, zjadałam to, co mi dano i w ten sposób załatwioną była na cały dzień sprawa pożywienia. Potem starsza zakonnica udzielała mi nauki, a wieczorem wraz z mnichami i mniszkami słuchałam wykładu mistrza, lub jednego z wielkich jego apostołów, Sariputty, lub Anandy. Po wykładzie zdarzało się, że jedna mniszka mawiała do drugiej:

- Przecudny jest dziś nasz las zalany światłem księżyca, drzewa pełne kwiatów i woń przepaja wszystko isticie niebiańsko. Chodźmy do siostry Sumedy! Jest ona wierną strażniczką słowa i prawdziwym źródłem wiedzy. Słuchając jej w lesie, będziemy zażywały podwójnej rozkoszy!

Często spędzałyśmy w ten sposób część nocy na pobożnych rozmowach.

Życie na wolnym powietrzu, żywa i nieustanna praca umysłowa, oraz ciągła wymiana myśli nie zostawiały czasu na próżne zatapianie się w własny smutek, czy nieokreślone marzenia, a dusze oczyszczone i podniesione działaniem prawdy nie błądziły po padolach ziemi. Wszystko to wzmocniło mnie fizycznie i duchowo w sposób isticie cudowny. Żyłam teraz zgoła inaczej, szlachetniej, zażywając szczęścia, spokoju i wesela, o czym przed kilku jeszcze tygodniami i marzyć nie śmiałam.

Gdy nadeszła pora deszczów, gotowy był już budynek dla zakonnice. Posiadał obszerną halę, w której gromadziłyśmy się razem, oraz małe celki dla każdej z osobna. Małżonek mój, oraz wielu bogatych obywateli, mających krewne pośród mniszek, wyposażyli nasz klasztor

matami, dywanami, meblami i pościelą, tak że nam nie brakło niczego, co stanowi rozsądną wygodę życia, a ujawniło nam to jednocześnie bezcelowość przepychu.

Czas spędzony w zamknięciu zbiegł nam jako tako wśród regularnie następujących po sobie w ciągu dnia, wspólnych rozmów na religijne tematy, rozmyślaniach i kontemplacji, wieczorami zaś, o ile pogoda na to zezwalała, udawałyśmy się do wielkiej hali mnichów, by słuchać mistrza. Czasem przychodził on sam do nas, lub przysyłał jednego z wybitnych mnichów.

Zaledwo las okrył się nowym listowiem, rozkwitły kwiaty i wiosna wybawiła nas z zamknięcia, zaledwośmy na murawę przeniosły się z rozmowami naszymi i ćwiczeniami nabożnymi, rozeszła się smutna wieść, że mistrz nasz święty sposobi się do wędrówki w okolice wschodnie. Nie mogliśmy sobie rościć prawa, by na zawsze pozostał w Kosambi, wiedziałyśmy, że jest wielkim nierozsądkiem użalać się na coś, co nastąpić musi, a ponadto okazując smutek, stałybyśmy się niegodnymi naszego nauczyciela.

To też pewnego dnia wieczorem udałyśmy się spokojne i zrezygnowane do świątyni Kryszny w celu wysłuchania po raz ostatni przed odejściem słów mistrza, oraz w celu pożegnania się z nim.

Stojąc na stopniach, mówił o przemijaniu wszystkiego co powstało i rozkładzie wszystkiego co złożone jest z części, o znikomości wszelkich zjawisk i bezistotności wszelkich kształtów i form. Wykazał nam on, że nigdzie w tym, czy innym świecie, gdziekolwiek pleni się żądza bytu, nie ma pośród przestrzeni i czasu trwałego schronienia i wówczas to wyrzekł owe słowa, które słusznie nazwałeś światoburczemi, a których słuszność stwierdzamy naocznie, spoglądając teraz wokół siebie:

*W krainy sięga blask życia, których nie znamy,
Lecz wiedzcie, przeminie wszystko, nawet świat Brahmy.*

Jeden z uczniów zawiadomił nas, że po wykładzie ma się każda z nas udać z osobna do mistrza w celu pożegnania się z nim i otrzymania pewnej sentencji pożegnalnej dla rozmyślenia i kontemplacji, gdy jego nie stanie. Byłam jedną z najmłodszych i usuwałam się rozmyślnie na bok, to też udało mi się być ostatnią. Nie chciałam dopuścić, by po mnie któraś miała mówić z mistrzem i zdawało mi się, że uzyskam rozmowę dłuższą, gdy żadna już nie będzie czekała swojej kolei.

Pokłoniłam się z wielką czcią, a mistrz spojrział na mnie wzrokiem, który mnie na wkróś przeniknął i przeświecił.

- Tobie, Vasitthi - powiedział - daję tutaj oto, na progu onej rozpadającej się świątyni małżonka szesnastu tysięcy i stu dziewic, na pamiątkę po mnie i dla przemyślenia pod zielonym dachem onego lasu sinsapowego, którego liść jeden nosisz na sercu, okrytem cieniem smutku, następującą sentencję: *Wszędzie gdzie rodzi się miłość, powstaje cierpienie...*

- Tylko tyle? - spytałam nierozsądnie.

- Tylko tyle, - odrzekł - i dość ci tego!

- Czy wolno mi będzie, skoro przemyślę już dobrze ową sentencję i całą treść jej zrozumieć, czy wolno mi będzie przybyć do ciebie i prosić o nową sentencję?

- Wolno ci będzie, Vasitthi, - powiedział mistrz - o ile odczujesz jeszcze potrzebę pytać o coś męża bożego.

- Jakżeby nie miała odczuwać potrzeby? - zdziwiłam się. - Jesteś wszakże, mistrzu, jedynym dobrem i ucieczką naszą!

- Szukaj w sobie samej ucieczki, Vasitthi, uciekając się do nauki.

- Tak uczynię! Lecz tyś, o panie, jest samą krynicą uczniów twoich, tyś jest nauką żywą! Przybędę tedy, gdyż rzekłeś: wolno ci będzie!

- Przybądź tedy, o ile droga cię nie odstraszy.

- Niema tak złej i dalekiej drogi!

- Długa to zaiste droga, Vasitthi, dłuższa i dalsza niż sądzisz, dalsza, niż ją zdolny umysł ludzki wymarzyć, mierzący przestrzeń bezkresną.

- Chociażby wiodła poprzez tysiąc wcieleń i tysiąc światów, nie znużę się.

- Dość tego, droga Vasitthi. Bądź zdrowa i pamiętaj o swojej sentencji.

W tej chwili zjawił się król z świtą dla pożegnania mistrza.

Cofnęłam się do ostatnich szeregów i byłam dość nieważnym świadkiem wydarzeń tego ostatniego wieczoru. Przyznaję, że doznałam rozczarowania z powodu tak łatwej sentencji, jaką mi dał mistrz. Inne mniszki dostały nierównie trudniejsze zadania dla duchowej przeróbki i opracowania. Jedna miała rozważać powstawanie zjaw z przyczyn, druga tezę bezistotności, inna wreszcie znikomość zjaw. Zdawało mi się, że zostałam zlekceważoną i martwiło mnie to bardzo. Rozmyślając nad przyczyną, doszłam do wniosku, że mistrz dostrzegł we mnie nieco zarozumiałości i chciał ją w ten sposób wyplenić. To też postanowiłam wystrzegać się wszelakich form pychy, by nie doznać przeszkody w rozwoju duchowym. Zresztą niedługo będę mogła powiedzieć sobie, że uporałam się z zadaniem i wówczas skorzystam z pozwolenia udania się do mistrza po nową sentencję.

Pocieszona w ten sposób, patrzyłam świtem następnego ranka, jak Budda odchodził w daleką pielgrzymkę, biorąc z sobą pewną liczbę uczniów, a między innymi również naturalnie

Anandę, który nie odstępował mistrza na krok i miał o nim staranie. Ananda był dla mnie tak wyjątkowo życzliwy, że odczułam boleśnie, iż odtąd zbraknie mi jego dodającego otuchy spojrzenia. Było mi to przykrzejsze nierównie, niżli wyruszenie wraz z mistrzem mądrego Sariputty, który logiką swego rozumowania i wyjaśnieniami nader trafnymi ułatwiał mi nieraz zrozumienie trudnych punktów nauki. Teraz musiałam poprzestać na sobie samej.

Wróciwszy z zebraczej wycieczki i spożywszy co mi dano, siadłam u stóp pięknego drzewa, stojącego na polance leśnej i zaczęłam rozmyślać nad zadaną sentencją mistrza.

Wróciwszy wieczorem pierwszego zaraz dnia do wspólnej hali, spostrzegłam, że rozmyślanie napełniło mnie wielkim niepokojem. Zaczęłam przeczuwać co miał na myśli mąż boży, wyznaczając mi to zadanie, a następnego wieczoru posiadałam już pewność zupełną.

Sądziłam, że kroczę drogą ku spokojowi doskonałemu, a miłość swoją i namiętność mam już poza sobą. Ten niedościgniony znawca serca ludzkiego wiedział dobrze, iż nie przezwyciężyłam dotąd uczucia, ale przycichło ono tylko pod głębokim wrażeniem nauki i nowego życia, że zaszyło się w najtajniejszy kąt duszy i tam czeka, aż czas jego nadejdzie. Umyślnie tedy zwrócił mi uwagę, bym je wyśledziła w tej ostatniej kryjówce i stoczyła walkę zwycięską.

I tak też było, miłość stanęła przede mną ponownie, i tak mocną się okazała, iż musiałam zebrać wszystkie siły ducha, by stoczyć bój.

Od kilku już miesięcy wiedziałam, że ukochany mój nie został zabity, ale prawdopodobnie oddycha jeszcze powietrzem tej ziemi. Zjawienie się na terasie Angulimali i przyniesiona przez niego wieść, były to rzeczy tak nagłe i niespodziewane, iż namiętności rozpełtały się we mnie, ogarnęły i zatopiły niemal w swym wirze. Nienawiść, plany zemsty, zbrodnicze knowania, wszystko to było niby demoniczny tan, a zaledwo się rozpoczął, przyszło nagłe nawrócenie się rozbójnika, przemożne wrażenie nauki Buddy, nowe życie, i wreszcie świt nieznanego, nieprzeczuwanego nawet poglądu na świat, który domagał się wykorzenia wszystkich elementów składowych dawnych przekonań i wierzeń. Były to wszystko rzeczy nowe, a kiedy minęło pierwsze oszołomienie, gdy sprawca onego świętego czasu znikł mi z przed oczu i, zostawszy sama, skierowałam uwagę na miłość moją... natenczas stanęła mi przed oczyma duszy w całej doniosłości owa wieść o życiu ukochanego i odczułam niezmierną, nieprzewyciężoną tęsknotę.

- Czy żyje naprawdę? Czy mnie kocha?

Pytanie te, na które odpowiedzi nie było, przepełniły mnie niepokojem i wzmogły do tego stopnia uczucie, iż rozmyślałam jeno o miłości mej i nie mogłam skierować uwagi na cierpienia, jakich była przyczyną.

Te walki duchowe nie uszły baczności innych mniszek, spostrzegły, że są coraz to bardziej daremne, i słyszałam jak mówią do siebie.

- Byłą żonę ministra królewskiego, Vasitthi, chwalił nawet surowy i wymagający Sariputta za szybkie i trafne pojmuwanie najtrudniejszych nieraz punktów nauki, a teraz nie może sobie dać rady z tak łatwym zadaniem.

To mi jeszcze więcej odebrało otuchy. Ogarnął mnie wstyd i rozpacz tak, że pewną byłam, iż dłużej tego znieść nie będę w stanie.

XLII.

CHORA MNISZKA.

W tym czasie przychodził do nas raz na tydzień któryś z braci zakonnych i wykladał nam naukę.

Kiedy przyszła kolej na Angulimalę nie udałam się do wspólnej hali, ale zostałam w swojej celi, położyłam się na ławce i poprosiłam jednej z sióstr, by mu powiedziała:

- Siostra Vasitthi, czcigodny bracie, czuje się słabą i nie może przybyć na wspólną naukę. Prosi, byś po skończeniu wykładu udał się do niej i powtórzył pokrótce dzisiejszą lekcję.

Czcigodny Angulimala uczynił to, o com prosiła, przyszedł po wykładzie, pozdrowił mnie z szacunkiem, i usiadł obok.

- Masz przed oczyma, bracie - rzekłam mu - to, czego nikt widzieć nie powinien, mianowicie mniszkę, usychającą z miłości. Sam temu winien jesteś, gdyż pozbawiłeś mnie ukochanego. Przywiodłeś mnie wprawdzie potem do wielkiego lekarza, który uwalnia z całej choroby życia, ale niestety cała jego wiedza jest wobec cierpień mych bezsilną. Sam to spostrzegł, w mądrości swej niezmiernej, i dał mi w rękę środek, który wydalić ma szkodliwe zarazki chorobowe przy pomocy gorączki przełomowej. Właśnie gorączka owa mnie ogarnęła teraz i oto przypominam ci obietnicę daną mi onej nocy, kiedyś mnie kusił do zbrodni, udaremnionej przez samego jeno mistrza i jego cudowną interwencję. Powiedziałeś, że udasz się do Ujjeni i przyniesiesz mi pewną wieść, czy żyje on i co się z nim dzieje. Od mnicha domagam się spełnienia zobowiązań, zaciągniętych przez rozbójnika. Pragnienie dowiedzenia się, czy Kamanita żyje i jak żyje, jest tak potężne we mnie, że nie ma w duszy mej miejsca na żadne uczucie inne i zanim zaspokojone nie będzie, nie uczynię kroku na drodze zbawienia. Musisz mi tedy uczynić zadość i serce me ukoić, dając jakąś pewność.

Gdym skończyła, wstał Angulimala i powiedział:

- Stanie się, jak żądasz, siostro!

Skłonił się głęboko i wyszedł.

Udał się prosto do swojej celi, zabrał miseczkę jałmużniczą i tejże jeszcze samej godziny opuścił las sinsapowy. Wszyscy pewni byli, że ruszył śladem mistrza, a ja tylko jedna wiedziałam, jaki jest cel jego podróży.

Ten czyn Angulimali uspokoił mnie znacznie, niebawem jednak zaczęłam dumać, czy nie należało przesłać ukochanemu jakiegoś pozdrowienia czy wieści. Nie wypadało jednak czynić zakonnika pośrednikiem miłosnym, natomiast mógł bez żadnej dla siebie ujmy iść do danego miasta i zdać z tego sprawę, co tam widział i słyszał. Inaczej też zgoła będzie, myślałam z tajemną nadzieją, gdy bez żadnego zlecenia, wedle własnego uznania pomówi o mnie z ukochanym.

- Sam udam się do Ujjeni i przyprowadzę ci go w jak najlepszym zdrowiu!

Słowa te brzmiały mi w głębi duszy. Czy mnich dopełni obietnicy rozbójnika? Czemużby nie, jeśli się przekona, że koniecznym jest dla nas obojga, byśmy się zobaczyli i rozmówili z sobą.

Napłynęły zaraz nowe myśli i przepoiły mnie rozkoszną nadzieją, aż do oszołomienia całkowitego. Gdyby ukochany mój wrócił, cóż mogło stać na przeszkodzie wystąpieniu z zakonu i połączeniu się z nim?

Uświadomiwszy to sobie, uczułam, że krew zalewa rumieńcem policzki moje, i zakryłam twarz rękami, by ktoś nie zobaczył, co się ze mną dzieje. W jakże opaczny sposób mogłoby zostać wytłumaczony mój postępek. Powiedzianoby, że użyłam zakonu za pośrednika dla rozwiązania niepożądanego małżeństwa i zawarcia innego. Takie by było zdanie wielu. Lecz z drugiej strony cóż mi zależeć mogło na ludzkiej opinii? Wszakże lepiej zostać świecką, szczerą zwolenniczką mistrza, niż mniszką, której serce tęskni do świata.

Ach, jeśli mi tylko, myślałam, Angulimala przyniesie wiadomość, że Kamanita żyje i z rozmowy ich wywnioskuję, że za mną tęskni i serca mi swego nie odebrał, to natychmiast sama wybiorę się do niego. Wyobrażałam już sobie, jak stanę u wrót domu twego z miseczką żebraczą, jak przystało wędrowniej mniszce, a ty ją napełnisz i poznasz mnie. Doznawałam naprzód radości, jaka nas ogarnie, gdy się spotkamy w sposób tak niespodziany.

Daleka była droga do Ujjeni, a nie przystało mniszce wędrować samej. Nie potrzebowałam jednak długo szukać towarzyszkę. Właśnie w onym czasie Somadatta zakończył życie w sposób tragiczny. Ogarnięty coraz większą żądzą gry w kości, stracił cały majątek i utopił się w Gangesie, a zasmucona tem Medini wstąpiła do zakonu naszego. Przypuszczam, że skłoniła ją do tego raczej chęć przebywania w moim towarzystwie, niż powołanie do ascezy, zmuszającej do surowego życia i dążenia do wysokich, zaziemskich celów. Widząc jej przywiązanie, nie wątpiłam, że gdy jej powiem co uczynić zamierzam, pójdzie ze mną nie tylko do Ujjeni, ale na sam koniec świata. Byłam jej całą pociechą po stracie męża, którego kochała ciągle jednako, mnie zaś obecność Medini dodawała otuchy i łączyła z ziemią i wspomnieniami dawnego życia.

Gdy się zbliżał czas powrotu Angulimali, wychodziłam co dzień po południu na południowo-zachodni skraj lasu, siadałam pod drzewem na wzgórzu, wpatrując się w drogę, którą iść musiał i obliczając, że zdąży do Kosambi pod wieczór.

Przez tydzień stałam tak daremnie na straży, ale gotowałam była czekać nawet cały miesiąc. Ósmego dnia, kiedy słońce zeszło tak nisko, że musiałam przysłaniać oczy dłonią, patrząc ku skrajowi horyzontu, dostrzegłam jakąś postać, zbliżającą się do naszego osiedla. Niebawem zobaczyłam żółty płaszcz, połyskujący w promieniach słońca, a kiedy nieznajomy mijął jednego z robotników rolnych, zauważyłam, że go znacznie przewyższa wzrostem. Był to w istocie Angulimala, ale wracał sam. Nie prowadził mego Kamanity. Ale nie straciłam nadziei, szło mi jeno o dobre wieści i w takim razie gotowałam była wybrać się zaraz w drogę.

Biło mi gwałtownie serce, gdy Angulimala stanął przede mną, pozdrawiając mnie grzecznie i z uszanowaniem wielkiem.

- Kamanita - powiedział - żyje w swym mieście rodzinnym w wielkim dostatku. Widziałem go i rozmawiałem z nim.

Opowiedział mi, jak znalazł się pod twym pałacem, jak go zelżyły obie żony twoje, jak się potem zjawiał sam, odpędził kobiety i przemówił doń uprzejmie, przeprasząc i chcąc ugościć.

Skończywszy opowiadanie, którego szczegóły są ci znane, skłonił się ponownie, okrył się lepiej płaszczem i obrócił się, kierując z powrotem na drogę, którą przybył.

Zdziwiona spytałam, czemu nie idzie do wspólnej sali mnichów.

- Dopełniłem twego zlecenia wiernie - powiedział - i nic mi teraz nie stoi na przeszkodzie udać się na wschód śladami mistrza mego, ku Benares i Rajagaha, gdzie go mam nadzieję spotkać.

Powiedziawszy to, poszedł ten niezwykle człowiek skrajem lasu i kroczył szybko, nie dawszy nawet chwili spoczynku utrudzonemu ciału.

Patrzyłam za nim długo i widziałam cień jego postaci, ścielący się po ziemi aż do samego podnóża pagórka, na którym siedziałam. Wydłużał się coraz to bardziej, zostawał w tyle, on zaś wyprzedzał go, dążąc tam, gdzie żyła nadzieja jego. Ja zaś zostałam jak sparaliżowana bez celu życia, bez nadziei, na poły już umarła.

Serce spopielalo, marzenia rozwiały się. Surowe słowa ascety: życie rodzinne jest śmietnikiem... tętniły w mej opustoszałej duszy. Ojczyznę miłości mojej była „Terasa Beztroskich”, środowiskiem jej noc gwiaździsta i księżycowa, jakże mogłam bezrozumnie posyłać ją na żebrzy do Ujjeni i wystawiać na obelgi z strony kłótliwych kumoszek?

Zawlokłam się z trudem do celi i położyłam się na pościeli. To nagle zniweczenie

gorączkowych, rozegzaltowanych marzeniami nadziei moich złamało do reszty me ciało, wyczerpane już wielomiesięczną walką duchową. Zachorowałam, a Medini pielęgnowała mnie po całych dniach i nocach z poświęceniem wielkiem.

Gdym wróciła, dzięki jej wysiłkom, po pewnym czasie do sił tak, że podnieść się mogłam i chodzić, postanowiłam urzeczywistnić plan podróży, zmieniając tylko jej cel i kierunek. Chciałam iść nie tam, kędy wyprawiłam Angulimalę, ale tam, dokąd udał się sam, to jest postanowiłam kroczyć śladami mistrza tak długo, aż go spotkam. Wszakże skończyłam medytację nad zadaną mi sentencją. Dowiedziałam się i poznałam, jak niepodobna lepiej, że miłość rodzi cierpienie. To też, sądziłam, wolno mi iść do mistrza i zaczerpnąć sił z tego niewyczerpanego, świętego źródła, by potem móc kroczyć znowu ku wysokim celom, wskazanym nauką jego.

Zwierzyłam się z mego planu Medini, która zgodziła się towarzyszyć mi z dziećciem wprost uniesieniem, rozkoszując się myślą, że będziemy we dwie wędrowały przez urocze okolice, wolne niby ptaki przelotne, które ruszają w dal nieznaną, gdy instynkt je woła na pielgrzymkę.

Musiałśmy jeszcze nieco poczekać, aż wrócę zupełnie do sił, gdy się to zaś stało, nadeszła pora deszczów i zmusiła do dalszej jeszcze cierpliwości.

W ostatniej mowie swej powiedział mistrz:

- Podobnie jak słońce rozprasza brzemienne wodą chmury w ostatnim miesiącu pory deszczowej i rozbłyska promiennie na niebie, podobnie, o uczniowie moi, nauka i żywot wedle niej rozprasza pustą gadaninę zwykłych pokutników i kapłanów i świeci wszystkim ku ich zbawieniu w tem i następnem życiu.

Gdy natura urzeczywistniła te słowa, opuściliśmy gaj Krysny pod Kosambi i skierowałyśmy kroki swoje ku wschodowi, tam, kędy błyszczał symbol owego światła duchowego.

XLIII.

NIRWANA MISTRZA.

Mimo, że przyszedłam do siebie, nie mogłam odbywać długich marszów, musiałyśmy często spoczywać, nieraz przez dzień cały. To też dopiero po miesiącu znalazłyśmy się w Vesali, gdzie, jak nam powiedziano, mistrz przebywał przez czas dłuższy. Opuścił tę miejscowość przed sześciu tygodniami.

Przedtem jeszcze dowiedziawszy się w pewnej wsi o śmierci Sariputty i Moggalany doznałam silnego wrażenia. Uczułam żal, iż już nie ma na ziemi tych dwu wielkich apostołów i filarów nauki. Byli oni ludźmi jak my, jak sam nawet Budda, jednak nigdy nie uświadomiłam sobie, że nas mogą opuścić, zwłaszcza Sariputta, który w sposób tak jasny i tak głęboki zarazem tłumaczył mi najzawilsze rzeczy. Uczeń ten podobny był niezwykle do mistrza i liczył jak on ośmdziesiąt lat wieku. Czyżby i sam Budda zbliżał się do końca ziemskiej wędrówki swojej?

Być może, obawa ta wzmogła tkwiącą jeszcze we mnie gorączkę, gdyż chora przyszedłam do Vesali. Tutaj żyła bogata zwolenniczka zakonu, opiekująca się nader troskliwie wędrownymi mnichami i mniszkami. Dowiedziawszy się, iż przybyła chora zakonnica, zajęła się mną, zabrała nas obie z Medini do siebie i otoczyła wszelkimi wygodami.

Zwierzyłam jej się z obaw i zauważyłam, że mistrz jest równie stary jak Sariputta, przeto zachodzi możliwość utraty tego naszego przewodnika, który jest pierwowzorem niedoścignionym.

Pocziwa kobieta na słowa te wybuchła rzewnym płaczem i zawołała, łkając:

- Ach, nie wiesz tedy, że tu w Vesali, przed dwoma mniej więcej miesiącami przepowiedział mistrz swój skon, który ma nastąpić za trzy miesiące. Widziałyśmy go tedy po raz ostatni! I pomyśl tylko... Gdyby ten Ananda miał więcej rozsądku i przemówił w stosownej chwili, nigdy by się to nie stało, zaś pan nasz Budda żyłby do końca tego okresu istnienia świata.

Spytałam zdziwiona, w jaki sposób pocziwy Ananda mógł oddziaływać na życie mistrza i czem zasłużył na tak straszny zarzut.

- Stało się tak - odparła. - Pewnego dnia znalazł się mistrz wraz z Anandą pod miastem, w

świętyni Sitali. Powiedział Anandzie wówczas, że ten kto rozwinął w sobie wszystkie siły ducha w sposób doskonały może żyć, jeśli chce, przez jeden cały okres istnienia świata. A ten nierozsądny Ananda nie zrozumiał wskazówki i nie powiedział zaraz: - Prosimy cię, mistrzu, byś raczył dla zbawienia naszego i ludzkości całej żyć do końca tego okresu istnienia świata! - Niezawodnie duszę jego opętał Mara król demonów, bo prośbę swą wyraził dopiero po niewczasie!

- Jakże mógł to uczynić po niewczasie, - spytałam - skoro mistrz żyje jeszcze?

- Stało się tak! - odparła. - Przed laty pięćdziesięciu, kiedy mistrz utworzył już naukę swą i, mieszkając w Uruveli, oraz przesiadując pod drzewem nyagrodhy, będąc własnością pewnego pasterza, w ciągu lat siedmiu osiągnął doskonały spokój ducha, zbliżył się doń pewnego dnia król djabłów, Mara. Bał się on bardzo o swoje władztwo, któremu w razie rozpowszechnienia się nauki, wielka groziła klęska, przeto powiedział:

- Bądź pozdrowiony, mistrzu doskonały. Teraz przyszła dla ciebie pora nirwany! - Na to rzekł mu Budda: - Nie wejdę do nirwany, zanim nie ogłoszę ludziom nauki, zanim nie posiędę uczniów którzy będą w stanie głosić ją dalej i bronić jej przed napaściami. Wówczas dopiero, szatanie, wejdę do nirwany, gdy utrwale królestwo prawdy.

Otóż kiedy, jak ci mówiłam, mistrz rozmówił się z Anandą pod świątynią Sitali, a nierozsądny Ananda odszedł nie rozumiawszy wskazówki, znowu zbliżył się do Buddy demon Mara i rzekł:

- Bądź pozdrowiony, mistrzu! Teraz czas ci już do nirwany, stało się bowiem wszystko, co mi rzekł pod drzewem nyagrodhy w Uruveli u pasterza kóz i spełnione zostały wszystkie warunki. Utwierdzone jest królestwo prawdy, przeto zechciej wniknąć do nirwany, jako ci się to należy.

- Na to odrzekł mistrz: - Nie bój się, djable! Niedługo wejdzie mąż boży do nirwany a to w ciągu trzech miesięcy od dnia dzisiejszego! - Przy tych słowach, jakieś sama pewnie zauważyła, zadrżała ziemia.

W samej rzeczy zdarzyło się przed miesiącem w Kosambi, zanim jeszcze opuściłam święty gaj, lekkie trzęsienie ziemi, co jej też przyznałam.

- Widzisz! - zawołała żywo. - Wszędzie ludzie odczuli to drżenie ziemi. Trzęsła się z strachu cała i grzmiały trąby niebieskie, gdy mąż boży nie chciał żyć dłużej. Ach! Gdybyż to naiwny Ananda był zrozumiał zaraz wskazówkę zawartą tak wyraźnie w słowach mistrza naszego? Zbudzony z kontemplacji trzęsieniem ziemi, wstał i, rozumiawszy wreszcie wszystko, pospieszył z prośbą, by Budda raczył żyć do końca tego przynajmniej okresu istnienia ziemi. Ale było już za późno, bo święty mąż dał już słowo szatanowi i zrezygnował

z dalszego życia.

Wywnioskowałam z tej gadaniny pobożnej, ale zabobonnej kobieciny, że przez czas pobytu w Vesali mistrz zauważył już oznaki zbliżającej się śmierci i powiedział uczniom, że wnet ich opuści.

Nie chciałam tedy przedłużać pobytu pod gościnnym dachem mej gospodyni. Musiałam dotrzeć do Buddy, zanim żyć przestanie. Było to nam jedyną pociechą, że mogliśmy się doń zawsze zwracać jako do niewyczerpanego źródła prawdy. On tylko sam mógł usunąć wątpliwości mego zbolełego serca, on jeden na całym świecie mógł mi przywrócić spokój, jakiego zażywałam przez czas pewien, siedząc u stóp jego w gaju Kryszny.

Ruszyliśmy po dniach dziesięciu, gdy tylko siły mi na tyle wróciły, że mogłam iść Pocziwa gospodyni moja nie chciała na to zezwolić, ale zjednałam ją obietnicą, że złożę u stóp Buddy pozdrowienie od niej.

Udałyśmy się w kierunku północno-zachodnim, natrafiając na coraz to świeższe ślady pobytu mistrza. W Ambagamie był przed tygodniem dopiero, zaś z lasku pod Bhoganagara wyruszył na trzy dni przed naszym przybyciem, udając się do Pawy.

Zdążyliśmy tam pewnego dnia po południu bardzo zmęczone.

Pierwszy dom, jaki nam wpadł w oczy, był to dom kotlarza, o czym świadczyło mnóstwo stojących pod murem naczyń. Ale jak gdyby w dniu świątecznym nie słychać było kucia młotów. U studni służące myły statki tak liczne, jakby się tu odbywało wesele.

Mały, odświętnie ubrany człeczyna ukazał się w progu, prosząc o pozwolenie napelnienia naszych miseczek.

- Szkoda, żeście nie przybyły kilka godzin wcześniej. Mistrz uczynił mi zaszczyt obiadowania z uczniami w domu moim. Byłbym miał jeszcze dwie miłe osoby w gościnie.

- Więc mistrz znajduje się jeszcze w Pawie? - spytałam?

- Już poszedł, czcigodna siostrzo! - odrzekł kotlarz. - Zaraz po jedzeniu zapadł mistrz na ciężką chorobę połączoną z bólami tak, żeśmy się wszyscy przerazili bardzo. Omal że nie zemdlął. Ale przezwyciężył niemoc i przed godziną ruszył dalej do Kusinary.

Rada bym była iść niezwłocznie, bo opowiadanie kotlarza przejęło mnie wielką trwogą. Niestety, było nieodzowną koniecznością pokrzepić ciało nie tylko jadłem, ale także krótkim bodaj spoczynkiem.

Droga z Pawy do Kusinary była zupełnie pewna, biegła przez uprawne pola, potem krzaki i wrzosowiska coraz to głębiej w dżunglę. Przeszłyśmy w bród niewielką rzeczkę i orzeźwiły się kąpielą. Po krótkim spoczynku ruszyliśmy spiesźnie dalej, ale zapadł wieczór i ledwo się wlec mogłam.

Medini usiłowała mnie namówić, byśmy przenocowały na niewielkiem wzgórzu. Przekładała mi, że nie ma potrzeby spieszyć się tak bardzo.

- Ta Kusinara - mówiła - to nędzna, w dżungli zakopana, wioska. Jakże można przypuszczać że mistrz tam zechce umrzeć? Zapewne dokona życia w parku Jetavana pod Saritti albo w którymś z gajów swych pod Rajagahą. Któż kiedy słyszał o Kusinarze? Mistrz nie zechce chyba umierać w pustyni!

- Może zaczną teraz ludzie mówić o Kusinarze! - odparłam, idąc dalej.

Niebawem wyczerpałam siły do tego stopnia, że musiałam zdecydować się wejść na najbliższe bezdrzewne wzgórze i usiąść, żywiąc przy tem nadzieję, iż dojrzę stamtąd Kusinarę. W każdym razie lepiej tu było spędzić noc, niżli na dole, bo mniejsze nam groziło niebezpieczeństwo ze strony dzikich zwierząt i węży, a także nie dochodziły tu malaryczne wyziewy.

Daremnie rozglądałyśmy się u szczytu owego wzgórza. Nigdzie nie było śladów ludzkich siedzib. Teren dżungli wznosił się jak zielony dywan, rozpostarty u stóp gór. W dali widniały coraz to wyższe drzewa, złączone w grupy, zlewające się w las, a nikła rzeczka, w której kąpałyśmy się niedawno, rwała tutaj silnym prądem, szumiąc po kamieniach. Na wszystkie strony rozwierały się głębokie jary i czarne przepaści.

Przez cały dzień powietrze było parne i mgliste. Tutaj wiał rzeźwy wiatr i rozjaśniało się coraz to bardziej, jakby z krajobrazu sphywał gęsty welon.

Ponad lasem piętrzyły się niebotyczne turnie a czuby ich zdobila zieleń. Wyglądała jak nikły mszar, musiały to być jednak potężne bory, pnące się coraz wyżej i wyżej w samo kędyś niebo.

Ponad górną ich linją zawisła jedna jedyna, białosina chmura.

Patrzyłam na nią, a chmura zaczęła coraz to mocniej rozjarzać się czerwienią. Podobna kawałowi złota, dobytego przez ojca mego z pieca i po ostudzeniu położonemu na szafirowem podłożu, chmura owa żółkła i świecić zaczęła płaszczyznami, pomiędzy którymi widniały błękitno zielone cienie. Cienie owe przezroczyściejąc u dołu, bladły i tonęły w bezbarwnej warstwie powietrza, chcąc jakby sięgnąć ciemnosedynowych zwieńczeń skał. Coraz to jaśniejsze stawały się złociste płaszczyzny, coraz to ciemniejszą zieleń.

Ach, to nie była chmura!

- Himavat! - szepnęła Medini wzruszona i chwyciła mnie za ramię.

Tak było. Miałyśmy przed sobą górę świętą, osiedle wieczystych śniegów, dworzyszczce bóstw i przybytek świętych! Himavat! Od najwcześniejszej młodości nazwa ta budziła we mnie uczucie trwogi i czci głębokiej. Ileż razy powtarzały się w baśniach i legendach te

wyrazy: - Udał się na Himavat i wiódł tam życie ascety! - Szukający zbawienia udawali się tam tysiącami i, trwając w pustaci, umartwiali swe ciała sądząc, że osiągną coś niesłychanego. Każdy żył złądą. Mimo to mistrz nasz, wolny od wszelkiej złądy, pogromca majaków tej ziemi, szedł w tymże samym kierunku, a my kroczyliśmy śladem jego.

Kiedy tak rozmyślałam, zgasło jarzenie złote, jakby szczyt wessany został przez niebo, ja zaś uczułam, że widok ten ożywił mnie cudownie i wzmocnił. Zapomniałam całkiem o spoczynku. - Gdyby nawet mistrz chciał iść na sam szczyt - rzekłam do Medini - by stamtąd wnijsć do najświętszego miejsca pobytu dusz, poszłabym tam za nim.

Ruszyłam mężnie dalej. Nie szłyśmy dłużej nad pół godziny, gdy nagle znikły krzaki i ukazały się orne pola. Ściemniło się całkiem, ale wszedł księżyc ponad lasem przeciwnym i przy czerwonym blasku pełni doszłyśmy na koniec do Kusinary.

Była to w istocie bardzo licha wioszczyna, zamieszkała przez Malasów, a domy zbudowane były z plecionek oblepionych gliną. Na pierwszy rzut oka wydało mi się, że miejscowość tę nawiedziła jakaś straszliwa choroba. Na każdym progu siedzieli starzy, chorzy ludzie i zawodzili głośno.

Spytałyśmy o przyczynę.

- Ach! - wołali załamując ręce - lada chwila umrze mistrz dostojny! Może tej jeszcze godziny zgaśnie światłość świata! Malasowie poszli do gaju, by ujrzyć jeszcze świętego męża. Zaraz po zachodzie słońca przybył tutaj Ananda i powiedział zebranim na targowisku mieszkańcom: - Dzisiaj, przed północą wnijdzie mistrz do nirwany. Baczcież, byście sobie nie wyrzucali potem, że we wsi waszej zeszedł Budda ze świata, a wyście zaniedbali sposobności upadnięcia mu do stóp, bodaj w ostatniej chwili. - Ruszyli tedy Malasi z żonami i dziećmi, płacząc i wyrzekając, my zaś zostaliśmy, bowiem sił nie mamy iść i pokłonić się mistrzowi w ostatniej chwili jego ziemskiego żywota.

Kazałyśmy sobie pokazać drogę do gaju. Gdyśmy jednak znalazły się na niej, była zapelniona tłumem wracających Malasów. Zboczyłyśmy przeto, zdążając przez pola.

Na skraju lasu stał oparty o drzewo mnich i płakał. W chwili, gdy się zatrzymała wrzuszona, podniósł oczy w niebo, światło księżyca oblało twarz jego skurczoną bólem niewysłowionym i poznałam Anandę.

- Więc przybyłam za późno! - powiedziałam do siebie, czując jednocześnie, że mnie opuszczają siły do reszty.

Nagle posłyszałam szelest, w gęstwie ukazał się mnich olbrzymiego wzrostu i rzekł, kładąc dłoń na ramieniu Anandy:

- Bracie, chodź, mistrz cię wzywa!

Odzyskałam nadzieję ujrzenia Buddy w ostatnim bodaj momencie. Wróciła mi odwaga i siły i ruszyłam za nimi.

Teraz dopiero spostrzegł mnie i poznał Angulimala. Domyślając się co znaczy jego zakłopotane spojrzenie, powiedziałam:

- Nie obawiaj się, bracie, byśmy głośnemi kobiecemi żalami miały mącić ostatnie chwile mistrza. Idziemy bez spoczynku od samej Vesali, by go zobaczyć jeszcze. Nie broń nam dostępu, potrafimy bowiem zachować się mężnie.

Skinał, byśmy szły za nim.

Droga nie była daleka.

Około dwustu mnichów stało półkolem na niewielkiej leśnej polanie. Pośrodku rosły dwa drzewa, a korony ich usłane białym kwieciem tworzyły jeden dach. Pod nimi leżał mistrz z głową wspartą na dłoni, na posłaniu z żółtych płaszczów, umieszczonem pomiędzy pniami. Kwiaty spadały nań z góry.

Widziałam w duchu wznoszący się w niebo szczyt Himavatu, niewidzialny teraz, okryty wieczystym śniegiem, zamajaczył mi on niedawno jak senne marzenie, a zjawie tej zawdzięczałam, że stanęłam tu oto przed mistrzem. Podobnie jak ów szczyt nie związany z ziemią, wydawał się sam mistrz zjawą niebieską, a jednak wznosił się z tego jeno niżu, po którym stąpamy wszyscy i wzrastał coraz to wyżej, aż dosięgnął onych niewysłowionych sfer, z których miał teraz oto ulecieć poza krąg dostrzegalny oczom śmiertelnych i bogów nawet samych.

Otwarł usta i powiedział stojącemu przed nim Anandzie:

- Wiem, Anando, żeś stał na uboczu, płacząc i myśląc: - Nie jestem jeszcze wolny od grzechów, nie osiągnąłem jeszcze celu mego, a oto mistrz mój wniść ma do nirwany! - Nie płacz i nie żal się, Anando! Czyż ci nie mówiłem, że rozłączyć się musi człowiek z wszystkim co miłuje? Jakżeby mogło nie przemijać to, co powstało? Tyś jednak przez czas długi czcił mistrza twego, kochałeś go, byłeś dlań dobry i nie chowałeś fałszu w sercu swoim. Pełniłeś dobre uczynki. Dąż dalej w tym kierunku, a niebawem uwolnisz się od pożądania zmysłów, osobowości własnej i wszelakiej złudy.

Chcąc okazać, że nie poddaje się smutkowi, spytał Ananda, panując nad swym głosem, co mają począć uczniowie z ziemską powłoką mistrza po jego śmierci.

- Nie troszczcie się tem! - odrzekł mistrz. - Znajdzie się sporo zwolenników pośród rycerstwa, braminów i mieszczaństwa i ci oddadzą cześć należną zwłokom męża bożego. Wy macie rzeczy ważniejsze przed sobą. Myślcie o tem co wieczne, nie o znikomościach ziemskich. Dążcie przed się, nie oglądając się wstecz.

Ogarniając spojrzeniem wszystkich, stojących w półkolu, mówił dalej:

- Możliwym jest, o uczniowie moi, iż myślicie: - Słowo nauki straciło mistrza swego, nie masz go już! - Tak wam myśleć nie przystoi. Oto nauka, którą wam wpoilem, mistrzem waszym będzie, gdy mnie zabraknie. Nie trzymajcie się żadnej podpory zewnętrznej. Niech nauka będzie podporą waszą! Bądźcież sobie sami światłem i mocą!

Dostrzegł i mnie także. Pełnem litości spojrzeniem objął postać moją i zrozumiałam, iż pielgrzymka nie była daremną.

Po krótkiej chwili rzekł:

- Możliwym jest, o uczniowie moi, że w którymś z was zjawiły się wątpliwości co do mistrza albo co do nauki. Pytajcie śmiało, byście śnać nie żalowali, mówiąc: - Oto staliśmy twarzą w twarz z mistrzem naszym a zaniedbaliśmy pytać!

Ale po wezwaniu ten nikt się nie odezwał.

Jakże mogły jawić się jeszcze wątpliwości wobec śmierci mistrza? Leżał obłany łagodnym światłem księżyca, jakby zanurzony w kąpielu przysposobionej mu przez duchy raj, ziemia zęgnęła go padającym kwieciami drzew, on zaś pozostał niewzruszony, spokojny, radosny. Każdy czuł tedy, że święty mąż odrzucił na zawsze wszystką niedoskonałość, przewyciężył wszystko zło. W świetlanych rysach opuszczającego świat Buddy widzieliśmy wyraźnie to, co nauka jego zowie „nirwaną dostrzegalną”.

Ananda złożył ręce i rzekł wzruszony:

- O, jakże to cudowne, panie mój! W całym tem zgromadzeniu nie masz jednego, któryby, odczuwał wątplenie w duszy swej!

A mistrz odpowiedział:

- Z pełni wiary twej rzekłeś, Anando. Ja zaś wiem dokładnie, że w żadnym z was nie jawi się wątpliwość najmniejsza. Ten nawet kto był najniżej, dotąd dostąpił objawienia i osiągnięcia w końcu cel swój.

Słyszając tę obietnicę, uczuł każdy z nas, że jakaś mocarna dłoń rozwiera przed nim wrota wieczności.

Raz jeszcze rozwarły się usta tego, który objawił światu najwyższą i ostateczną prawdę.

Mistrz rzekł:

- Słuchajcie, uczniowie moi, zaprawdę powiadam wam: Przemija każdy kształt i znika! Przeto walczycie bez przestanku!

Te były ostatnie słowa Buddy.

XLIV.

TESTAMENT VASITTHI.

Były to ostatnie słowa mistrza na ziemi.

Siły mnie opuściły, gorączka zaćmiała mi oczy. Widziałam przed sobą jak we śnie rozmaite zjawy i postacie. Twarz Medini czułam często koło swojej twarzy. Potem ściemniło się i znikło wszystko. Nagłe uczułam, że coś koi gorączkę moją, niby chłodna kąpiel, a raczej doznawałam uczuć wędrowca, stojącego podczas upału nad stawem, lub uczuć lotosu, chłonącego ożywczy płyn, wsysany przez włókna. Jednocześnie rozjaśniło się kędyś w górze i ujrzałam pływający ponad sobą wielki kwiat czerwony, poza koronę którego wychylało się twe ukochane oblicze. Zaczęłam się również wznosić i zbudziłam się tuż przy tobie w rajach zachodnim.

- Bądź błogosławioną za to, że kierowana miłością, tę obrałaś drogę! - zawołał Kamanita.
- W cóżbym się obrócił, gdybyś nie zjawiała się przy mnie? Nie wiem, co prawda, dokąd schronić się mamy przed straszliwą katastrofą wszechświata, ale wlewasz we mnie otuchę, bo okropności owe nie są w stanie zachwiać tobą, podobnie jak burza wstrząsnąć nie może promieniem światła.

- Nie wzruszą drobiazgi tego, kto widział rzeczy wielkie! - odrzekła. - Czymże jest śmierć tysięcy milionów światów w porównaniu ze wstąpieniem do nirwany doskonałego Buddy? Wszakże wszystko co widzimy, to jeno przemiana, a twory owe odrodzą się ponownie. Sam stutysięczny Brahma, buntujący się z wściekłością przeciw konieczności nieuniknionej, spoglądający zawistnie na nas, bo świecimy dotąd spokojnie, odrodzi się znowu, zapewne w jakiejś niższej formie bytu, i ustąpi miejsca śmiałemu duchowi ludzkiemu, który zostanie Brahmą. Każda istota znajdzie się tam, gdzie ją doprowadzi wola serca i siła ducha. Na ogół jednak wszystko pozostanie jak było, świat nie pogorszy się ani poprawi, bowiem wszystko co istnieje, składa się z tej samej substancji. Dlatego zwę to, na co patrzymy, drobnostką, w mych oczach nie jest ono też przerażeniem, ale nawet radością, że widzimy śmierć wszechświata. Gdyby świat Brahmy był wiekuisty, nie istniałoby nic nadeń wyższego.

- Więc istnieje coś wyższego nad świat stutysięcznego Brahmy? - spytał zdumiony.

- Świat Brahmy jest, jak sam widzisz, znikomy! - powiedziała Vasitthi. - Istnieje atoli coś

wiekuistego i trwałego. - Istnieje, powiada Pan, miejsce, gdzie nie ma ziemi ni wody, światła ni powietrza, nieskończonej przestrzeni ni nieskończonej świadomości, wyobrażeń, ni ich braku, w miejscu owem kończą się cierpienia, nastaje spokój, jest to kraina ciszy zupełnej, niewidzialny przybytek nirwany.

- Sprawże, o święta moja, byśmy się tam odrodzili w onej krainie pokoju wieczystego! - zawołał Kamanita.

- Odrodzili...? - spytała. - Wszakże powiedział Pan, że wyrażenie to jest nie na miejscu, jak również nie na miejscu jest pojęcie nieodradzania się więcej. Odnośnie do nirwany jest nie na miejscu każde słowo, którem chciałbyś coś ująć i określić.

- Cóż mi z nieokreślonych pojęć?

- Spytaj raczej czy warto sięgać po to, co określone! - odparła.

- Ach, droga Vasitthi! - zawołał Kamanita. - Musiałem chyba w którymś z wcieleń dopuścić się zamordowania bramina, lub podobnej zbrodni i za to mnie tak okrutna spotkała kara w uliczce Rajagahy. Gdybym tam nie był zginął nagłą śmiercią, znalazłbym się niezawodnie u stóp mistrza i patrzyłbym własnymi oczyma jak wstępuje do nirwany. Wówczas stałbym się czem ty jesteś. Ale dość tego! Droga Vasitthi, uczyni mi jedną łaskę, dopóki dysponujemy jeszcze myślami i wyobrażeniami. Opisz mi dokładnie mistrza, bym go ujrzał w duchu i dopiął tego, co mi danem nie było na ziemi. Niezawodnie napełni mnie pokojem widzenie owo.

- Chętnie uczynię ci zadość, ukochany mój! - powiedziała Vasitthi i opisała mu postać Buddy, szczegółowo, rys po rysie, nie pomijając niczego.

Ale gdy skończyła, rzekł Kamanita ze smutkiem:

- Cóż warte opisywanie? Wszystko co mówisz, odnosić się może równie dobrze do owego starego ascety, z którym spędziłem noc w przedsionku domu garncarza w Rajagaha. Nie był on nawet tak nierozsądny jak sądziłem, bo powiedział kilka rzeczy zgodnych z rzeczywistą nauką mistrza. Droga Vasitthi, nie opisz już, ale przedstaw sobie w duchu Buddę, jakim go widziałas w ostatnim momencie życia na ziemi, może wizja ta udzieli mi się ze względu na duchową łączność naszą.

- Uczynię co chcesz! - zgodziła się.

Vasitthi uprzytomniła sobie mistrza tak jak go widziała w momencie wstąpienia do nirwany.

- Czy widzisz go? - spytała.

- Nie, nie widzę go jeszcze, Vasitthi! - odparł.

- Muszę mu uzmysłowić ów twór fantazji! - pomyślała.

Rozejrzała się wokół po nieskończonej przestrzeni, gdzie gasł świat stutysięcznego Brahmy.

Podobnie jak wielki artysta, odlewający kształt jakiegoś dostojnego bóstwa, gdy mu nie stanie metalu, by napełnić formę, rozgląda się po pracowni i potem chwyta jedną po drugiej figurkę bóstw pomniejszych i rzuca je w kocioł, topiąc ochotnie i bez wahania, by dokończyć odlew, mimo iż są to dzieła jego życia, tak rozglądała się Vasitthi po niezmierzonej przestrzeni wszechświata.

Siłą ducha swego zagarnęła całą resztę znikającego światła i rozpływających się form świata Brahmy, ogołociła przestrzeń i ową masę substancji astralnej wcieliła w obraz fantazji swojej, stwarzając wśród nicości olbrzymi, lśniący obraz mistrza w takiej postaci, w jakiej go widziała onej przedzgonnej chwili.

Ujrzawszy tę zjawę przed sobą nie odczuła miłości ni żalu.

Nawet święty Upagupta, ujrzawszy obraz dawno zmarłego Buddy przy pomocy sztuki czarnoksiężskiej Mary, króla demonów, uczuł miłość i uwielbienie, a rzucając się do stóp złudy, zdjęty żalem zawołał:

- O jakże bezlitosna jest znikomość tego świata, skoro niweczy tak dostojną postać! O czemuż boskie ciało mistrza ulec musiało zniszczeniu!

Nie tak się stało z Vasitthi.

Niewzruszona, skupiona w duchu spoglądała na zjawisko, jak artysta patrzy na dzieło swoje z tym jeno zamiarem, by je udostępnić Kamanicie.

- Zarysowują mi się już kształty postaci! - powiedział Kamanita. - Oświetl ją jeszcze trochę, Vasitthi!

Pośrodku wszechświata majaczył jeszcze purpurowy blask gniewu stutysięcznego Brahmy.

Vasitthi zerwała mocą ducha z tronu owo bóstwo najwyższe i wcieliła jego światłość w kształt zjawy. Rozjarzyła się i nabrała mocy, jak chory po wypiciu posilnego napoju.

- Widzę go nieco wyraźniej, - żalił się Kamanita - ale jeszcze poznać nie mogę!

Wówczas wydało się Vasitthi, że Budda przemawia do niej:

- Przyszłaś, córko moja?... Czyś się już uporała z zadaniem, jakie ci dałem?

Vasitthi odrzekła, jak się odpowiada widziadłu sennemu:

- Już się z nim uporałam, Panie.

- To dobrze, córko moja! - pochwalił. - A nie znużyła cię daleka droga do mnie? Czy potrzebujesz jeszcze pomocy mistrza?

- Nie Panie, nie potrzebuję już twojej pomocy.

- To dobrze! Ucieczkę znalazłaś w sobie samej, córko moja, na sobie samej polegasz...

- Poznałam siebie, o Panie! Poznałam istotę swoją, jak ten, co zdejmuje gęstwę listowiu z pnia pizangowego, chcąc dojść do trwałego drewna, dla położenia przyciesi domu i nie znajduje wewnątrz żadnego jądra, tak ja poznałam istotę swą, o Panie! Wiem, iż tworzy ona jeno zwój zmiennych kształtów bez treści wiekuistej, na której by się oprzeć można. To też porzucam istotę swoją jako szatę cudzą, rozdiewam z siebie łachman, który mną nie jest.

- To dobrze, córko moja! Nieprzywiązana do niczego, odrodzisz się u mnie, w miejscu wieczystego pokoju i ciszy!

- Odrodzę się? - spytała. - Wszakżeś sam rzekł, że pojęcie to jest nie na miejscu, podobnie jak pojęcie przeciwne, które dotyczy nieodradzania się więcej? Dodałeś jeszcze, że pojęcie nicości jest odnośnie do miejsca onego najmniej z wszystkich właściwe.

Zjawa uśmiechnęła się promieniście.

- Ach, teraz dostrzegam rysy! - zawołał Kamanita. - Widzę je jak odbicie w płynącej wodzie, niewyraźnie i nieuchwytnie.

Vasitthi rozejrzała się raz jeszcze po pustce.

Nie było w niej nic...

Wówczas Vasitthi ujęła własną astralną istotę i cisnęła ją w kształt zjawy.

Kamanita zauważył zniknięcie Vasitthi. Jak umierający pozostawia testament spadkobiercom, tak Vasitthi dała mu w spuściźnie obraz Buddy, zostawiając go z nim samego w bezkresach przestrzeni. Teraz dostrzegł wyraźnie wszystko.

- Ach! - zawołał Kamanita. - Wszakże to sam Budda był owym starym ascetą, z którym spędziłem noc w Rajagaha i na którego wygadywałem! Cóż za głupiec ze mnie? Od miliardów już lat posiadałem to, za czym tęskniłem do tej chwili!

Gdy skończył, zbliżyła się doń zjawa świetlana, jak nadpływająca chmura się zbliża, i okryła go mgłą promienistą.

XLV.

NOC I ŚWIT WSZECHŚWIATA.

Kamanita został sam jeden pośród zupełnej nocy wszechświata jak lampka płonąca gdzieś w kącie przed obrazem bóstwa, gdy w wielkiej hali weselnej zagasną wszystkie światła.

Jak jego cielesność okryta była substancją astralną zjawiska Buddy, podobnie duszę jego objęła wyłącznie myśl o mistrzu i to było właśnie oliwą, sycącą płomyk lampki.

Przypomniawszy sobie każde zdanie i każde słowo mistrza, posłyszane w przedsionku domu garncarza w Rajagaha, a skończywszy je rozważać, rozpoczynał na nowo. Każde zdanie stało mu się bramą, która rozwierała się na nowe ścieżki myśli, rozchodzące się w różne strony i rozwidlające bezustannie. Przewędrował wszystkie rozważnie i powoli, tak że w końcu zrozumiał wszystko.

Podczas kiedy duch jego przetrawiał i wchłaniał w siebie myśl Buddy, cielesna jego istota nasiąkała coraz bardziej otulającą ją substancją astralną, tak, że ta substancja stała się przezroczystą. Jednocześnie zauważył, że ciemność nocy wszechświata zaczyna błękitnieć i barwa ta staje się coraz to żywszą.

Wówczas pomyślał Kamanita:

Wokół panuje niezmierna ciemność nocy wszechświata. Ale nadejdzie czas świtu i świat stutysięcznego Brahmy wróci do życia. Gdyby pragnienie me skierowane było całe ku celowi zostania Brahmy, który świat nowy powoła do życia, to nie widzę doprawdy istoty, która by mi mogła zaprzeczyć tej godności. Wszystkie twory świata spoczywają w omdleniu niebytu, ja zaś sam jeden trwam przytomny i żywy. Mógłbym nawet, gdybym jeno chciał w tej chwili wszystkie te istoty stworzyć na nowo, postawić każdą na miejscu właściwym i zacząć nowy dzień wszechświata. Jednego tylko dokazać bym nie zdołał, to jest przywrócić do istnienia Vasitthi, znikła bowiem tak, że nie pozostało po niej zarodu bytu, a żaden bóg ni Brahma odnaleźć jej nie może. Cóż mi po życiu bez niej, która stanowiła najlepszą i najpiękniejszą jego część? Cóż mi to za dostojeństwo, stutysięczny Brahma, skoro są dostojeństwa nierównie wyższe? Cóż mi po trwaniu w czasie, skoro istnieje wieczność?

Istnieje wieczność i droga do niej wiodąca. Pamiętam co mi raz mówił pewien bramin. Oto w ciele mieści się sto żył, ale jedna jeno wiedzie do wierzchołka głowy i tą właśnie ulata

dusza z ciała. Podobnie istnieje w życiu mnóstwo dróg, wiodących poprzez różne osiedla cierpienia, jedne długie, kręte, inne proste, zmierzają do miejsc miłych i przykrych, przechodzą przez świat duchów, ludzi zwierząt i istot piekielnych, ale jedna jeno droga wyprowadzić może poza świat. To jest właśnie droga wieczności, droga w niepoznawalne. Stoję już na niej, przeto pójdę dalej, do samego końca.

Zatopił się w rozważaniu nauki Buddy o drodze, wiodącej do unicestwienia cierpienia.

Wokół niego szafir stawał się coraz to wyrazistszy, ciemniał i gęstniał.

A kiedy zaczął nabierać odcienia czerni, w pewnym momencie rozblysnął w przestrzeni nowy Brahma, stutysięczny Brahma, twórca stu tysięcy światów.

Rozebrzmiał jego radosny głos:

- Wstawajcie na nowe życie istoty wszelakie, spoczywające przez całą noc na łonie niebytu!

Zbudźcie się i spiescie nowy tworzyć świat Brahmy, użyć rozkoszy nowego dnia. Biegnijcie na miejsca swoje, wedle woli i sił swoich obrane.

Z niebytu i ciemni wyłaniać się zaczęły istoty mnogie i światy, rozblyskała gwiazda po gwieździe. Sto tysięcy głosów wrzasnęło radośnie, sto tysięcy bębnow i konch zabrzmiało:

- Hołd i pokłon stutysięcznemu Brahmi, który nas woła na nowe życie i nowy dzień wszechświata zaczyna! Hołd i pokłon nam samym, powołanym do użycia wraz z nim rozkoszy nowego dnia, do odzwierciedlania boskiego jego blasku!

Słyszając to, uczuł Kamanita politowanie wielkie.

- Istoty owe i światy - pomyślał - owe nieprzeliczone bóstwa gwiazdne świata stutysięcznego Brahmy radują się z dnia nowego i cieszą życiem. A dlaczego to czynią? Oto dlatego, że nie znają życia!

Przez politowanie owo, skierowane ku światu, bogom i samemu najwyższemu bóstwu, wyzywał się Kamanita do reszty miłości własnej.

Rozważał dalej:

- Podczas tego dnia wszechświata zjawi się również Budda doskonały, a może kilku nawet mistrzów, głoszących prawdę. Jeśli tedy twory i bóstwa gwiazdne, które dziś wstają do życia, posłyszają ową prawdę, a przy tym przypomną sobie, że kiedy się budziły o świecie nowego dnia wszechświata, widziały jedną istotę odchodzącą poza świat, to wspomnienie to wyjdzie im na korzyść.

Pomyślą bowiem:

- Jeden z pośród podobnych nam uprzedził nas na drodze, o której mówi mistrz.

Przyczyni się to do ich zbawienia.

Tedy pomagając sobie, pomogę wszystkim, bowiem nikt nie może naprawdę pomóc sobie, nie pomagając wszystkim.

Niebawem zauważyły gwiazdne bóstwa, że istnieje jedno w wszechświecie, które miast rozbliyskać, coraz to jaśniej, gaśnie z każdą chwilą bardziej.

Zaczęły wołać:

- Hejże, bracie! Spójrz na stutysięcznego Brahmę i rozetlij od jego blasku jaśnienie swoje! Spójrz, byś zatlił się jako my płoniemy. I ty jesteś powołany do odzwierciadlania światła bóstwa najwyższego!

Kamanita nie zważał na wołanie bóstw, nie słuchał i nie patrzył na nic.

Bogowie, widząc, że tak jest ponury, zwrócili się do stutysięcznego Brahmy, mówiąc:

- Wielki Brahmo, który ożywasz i oświecasz wszechświat cały, spojrzij na tę istotę zbyt słabą, by mogła uczestniczyć w godach nowego dnia, spójrz i uczyn, by rozbliysło jej światło gasnące. Ożyw konającego! Wszakże i to bóstwo gwiazdne powołałeś do życia i do odzwierciadlania blasku twego.

Wielki Brahma, troskliwy ojciec i opiekun istot wszelakich, zwrócił uwagę na Kamanitę, rad orzeźwić go i umocnić.

Ale blask Kamanity malał mimo to coraz bardziej.

Zmartwiło to wielkiego Brahmę, tem bardziej, iż był on jedyną istotą we wszechświecie, która nie dała się rozświecić, nie odbijała jego promieni, a że radość swą czerpał w tem właśnie wzajemnem rozbliyskiwaniu, przeto pragnął, by wszystko grzało się w jego żarze i wszystko wielbiło go jednogłośnie.

Odjął tedy wszechświatowi część swej boskiej, światłotwórczej siły, tak wielką część, że starczyłaby na rozplomienianie stu gwiazd i skierował jej prąd na Kamanitę.

Kamanita nie rozświecił się jednak, przeciwnie, przygasł tak, jakby miał zniknąć na wieki.

Wprawilo to Brahmę w wielki niepokój i napelniło go troską.

- Ta istota, jedna jedyna w wszechświecie, uraga mej potędze... czyż tedy jestem wszechmocny? Nie znam drogi, którą kroczy... czyż tedy jestem wszechwiedzący? Nie gaśnie on jak gasną istoty umierające, po to by się odrodzić na nowo, nie gaśnie jak gasną światy po dniu Brahmy, by się rozetlić na nowo. Jakież światło przyświeca istocie, która gardzi światłem mojem?... Czyż istnieje może światłość od mojej potężniejsza światłości? Czyż może istnieje droga w przeciwnym od mojej wiodąca kierunku? Czyż istnieje może droga w niepoznawalne, kędy nie kroczą twory moje? A może ja sam udam się kiedyś w tę drogę... nienazwaną przez nikogo dotąd?

Bogowie gwiazd popadli również w wielkie zakłopotanie i wątpliwości.

- Jak to? - mówili. - Ta jedna istota wylamuje się z pod władzy Brahmy... więc może wielki Brahma nie jest wszechwładny? Jakaż światłość przyświeca temu, który gardzi światłością Brahmy? Istnieje widać światłość cudniejsza i silniejsza od światłości naszego Brahmy, którą odzwierciedlamy! Istnieje tedy odmienna od naszej droga, droga w niepoznawalne, którą żaden z nas nie kroczył dotąd? Czyż udamy się może kiedyś w tę drogę... nienazwaną przez nikogo jeszcze?

Brahma pomyślał i rzekł do siebie:

- Wchłonę tedy na powrót i złożę na łonie nocy całą ową światłość, którą rozlałem po wszechświecie, a twory wszelakie przywrócę ponownie do niebytu. Potem całą światłość wszechświata skupię w jeden jedyny promień i skieruję go na tę istotę, by ją uratować i wcielić do mego świata.

Stutysięczny Brahma wchłonął, jako rzekł, całą światłość i złożył ją na łonie nocy, a wszystkie twory spoczęły w niebycie. Potem skupił całą światłość swoją w jeden promień i skierował go na Kamanitę.

- Teraz rozbłyśnie najświetniejsza gwiazda mego świata! - pomyślał.

Uczyniwszy co zamierzał, wchłonął Brahma z powrotem ów promień, który starczył na rozpalenie stu tysięcy gwiazd i rozpostarł światłość po przestrzeni, przyglądając jej się z uwagą.

W miejscu, gdzie, jak sądził, rozbłysnąć miała najświetniejsza gwiazda, dojrzał jednak jeno dogasającą, czerwoną iskierkę.

W bezkresnych rozłogach przestrzeni rozbłyскиwały nieprzeliczone światy, radując się z nowego dnia Brahmy, a pielgrzym Kamanita zgaśł onej chwili odrodzenia powszechnego, jak gaśnie lampa, zużywszy ostatnią kroplę oliwy.

KONIEC.